



Collage: Grzegorz Gałasiński

Pogrzeb odbył się 2 grudnia 1988 roku.

Droga do wieczności

RYSZARD BINKOWSKI

Mam trzydzieści cztery lata, jestem z zawodu ekonomistką, pracuję w Państwowym Zakładach Zbożowych i na medycynie się nie znam. Myślałam jednak, że o tym jacy są nasi lekarze i jaki jest ich stosunek do pacjentów, zdecydowałyśmy biedy systemowe, a w szczególności system płacowy w służbie zdrowia. Z jednej strony mamy bezpłatny dostęp do opieki lekarskiej, z drugiej zaś ludzie, którzy mają nam ją zapewniać, po długich i wyczerpujących studiach trafiają do zawodu, który ulega pauperyzacji. Gdy w grę wchodzi pieniądze, w łeb biorą etyka i święte przysięgi Hipokratesa. Nie, tego nie wolno generalizować, bo przecież wszystko zależy od człowieka, od jego charakteru, serca, mentalności. Chciałabym tylko dodać, że jeśli w innym systemie opieka lekarska jest płatna, to jest ona na najwyższym poziomie, a tę lukę, którą tworzą ludzie ubodzy, wypełnia działalność charytatywna. A poza tym w każdym kraju rząd łoży na prowadzenie zakładów dla starców, nieuleczalnie chorych i sierot

Wiem, że w szpitalu, o którym pragnę panu opowiedzieć, zapanowało ogólne poruszenie. Pan tam był? Nie? To dobrze, bo taka historia może się zdarzyć w każdym szpitalu. I dlatego proszę nie wymieniać nazwy ani nazwiska. Ja nie chcę śledztwa ani sprawy karnej. Niech to, co mnie spotkało, będzie przestrogą dla innych, bo każdemu może się coś takiego przytrafić. Oni to chyba zrozumieli, obawiają się kontroli, żalują, że nie zrobili sekcji zwłok. Ktoś mądry i bardziej wrażliwy przemówił im do sumienia.

Przepraszam, zaraz przejdę do sedna sprawy. Swoje już wypłakałam, a teraz muszę się wygadać, pan to rozumie, prawda? Zresztą, proszę popatrzeć na ten pusty pokój, na tę siedzącą samotnie w kącie dziewczynkę. Ania była oczkiem w głowie babci, a teraz... Mój mąż, z zawodu elektryk, także leżał w tym szpitalu, i nabawił się gronkowca. Wspomina, że gdy pacjent spadł z łóżka, musieliby podnieść go chorzy, bo nie miał kto. Przepraszam, znowu odbiegam od tematu...

Ale muszę jeszcze powiedzieć, że człowiekowi, który niezbyt długo naprzykrza się w szpitalu, należy się właśnie pojechać. W każdej sytuacji, nawet przy niechęci pacjenta do

leczenia, należy się troskliwie nim zająć. Kiedy mój ojciec umierał w szpitalu im. Mikołaja Kopernika, okazywano mu dużo życzliwości i współczucia, bo każdy z nas ma przecież rodziców. A moja mama miała sześćdziesiąt trzy lata, była spokojna, pogodna, zrównoważona. Owszem, chorowała już dawniej, leczyla się u kardiologa, miała coś z cukrem, ale nic groźnego, no i nadciśnienie. A w szpitalu miała scysję z lekarzami... Może pomyśleli, że jak mama wyzdrowieje, to uprzykrzy im życie, bo zaskończyć nie może, i machnęli na wszystko ręką? Nie, ja nikogo nie oskarżam! Pragnę tylko opowiedzieć to, czego nie mogła powiedzieć mama. Przepraszam, niech będzie po kolei...

Poniedziałek,
21 listopada 1988 roku.

Od rana mama czuła się źle. Około 15 przyjechało wezwane pogotowie i lekarz stwierdził, że to choroba wieńcowa. A gdyby bóle nie ustępowały, zalecił wezwać drugie pogotowie. Ponieważ bóle się nasiliły, mąż zadzwonił ponownie i druga karetka przyjechała o 17. Mama narzekała na bóle w piersiach i w lewej ręce, toteż lekarz zaaplikował jej środek przeciwbólowy. I powiedział, że jego poprzednik nie poznał się. Babcią przejęła się, i tyle, trzeba więc nasmarować mascią. A my na to, że to może jednak zawał? Lekarz odrzekł, że gdyby to był zawał, mama słowo by się nie odezwała, i pojechał. A myśmy mieli bezsenność.

Wtorek, 22 listopada.

Przyjechało trzecie z kolei pogotowie. Lekarz wystuchał nas, zbadał babcię i oświadczył, że na razie wystarczy środki przeciwbólowe. A gdy się babcia lepiej poczuje, zbada się jej kręgosłup i zaleci, co trzeba. Nikt słowem nie wspomniął o zawał. Wymogliśmy jedynie to, żeby zrobiono mamie ekg. No i tą samą karetką zabrano ją do szpitala, o którym cały czas mówię. Tak, ekg zostało zrobione... Nie wiem, jak to się fachowo nazywa, blok albo zator, dość, że to właśnie miała mama. Ludzi w takim stanie najwygodniej nie leczyć, niech umierają z wola Bożą pośród swoich, więc po tym ekg odesłano ją do domu. Nawet nie wiem, kto miał wtedy dyżur w izbie przyjęć.

- **Poufny raport z Katynia** — str. 5
- **Niebezpieczna gra z Berią** — str. 2 i 10
- **Krajobraz po strajku** — str. 4
- **Seks milionerów** — str. 16

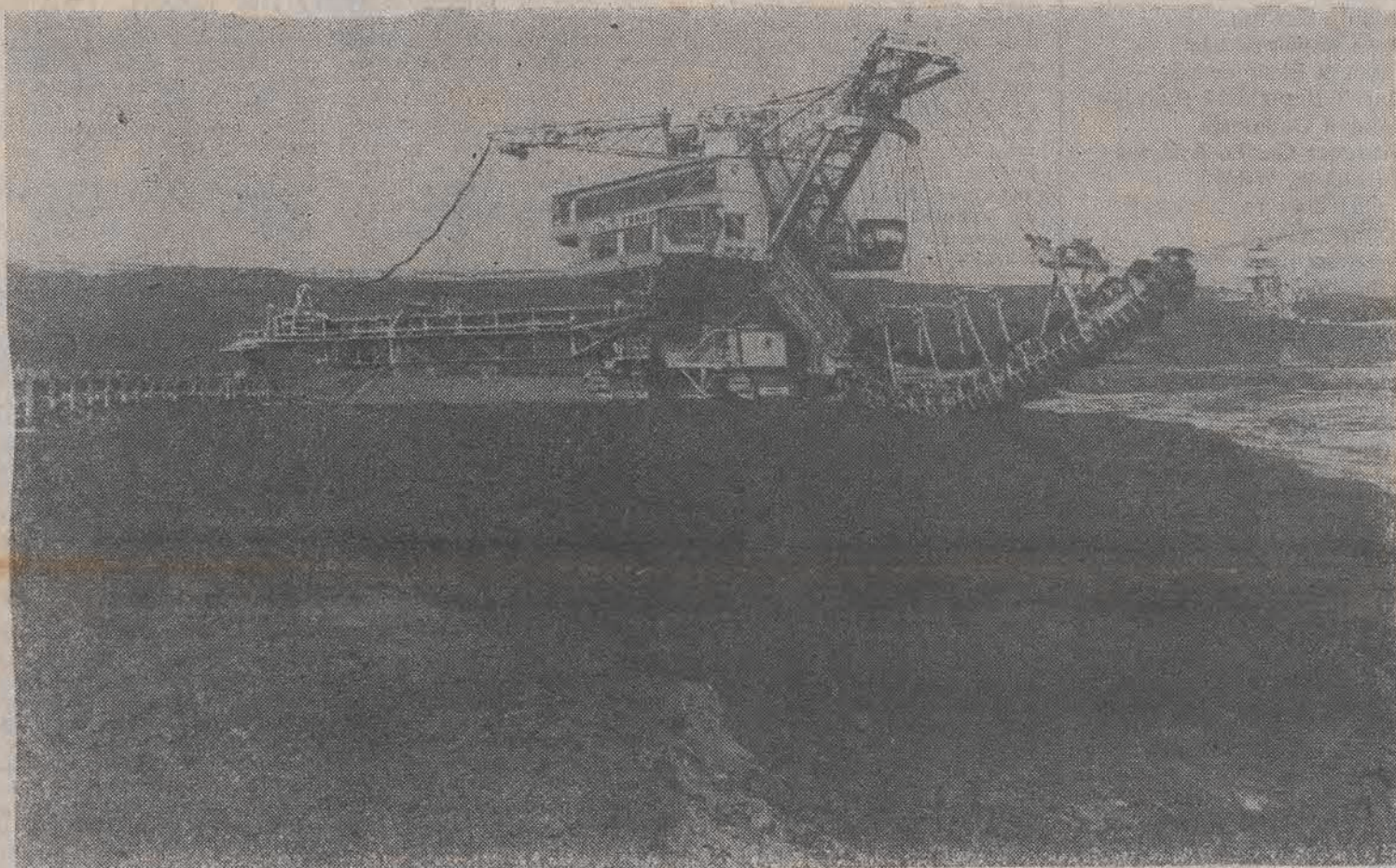
Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NUMER 9 (1613) ROK XXXII

26 LUTEGO 1989 ROKU

CENA 80 ZŁ



Bełchatów, Luty 1989 roku.

Krajobraz po strajku

EUGENIUSZ IWANICKI

1.

W Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów” zawieszono strajk. Strażacy powiedzieli, że ogień został ugaszony, lecz pozostało zarzewie. Wystarczy najmniejszy podmuch, a płomień wybuchnie z dawną mocą. Jest to sytuacja niejasna i niepewna, mimo tego, że zostało podpisane porozumienie pomiędzy dyrekcją KWB a Komitetem Strajkowym.

Do Rogowca, gdzie mieści się dyrekcja kopalni, jechałem w piątek, 10 lutego, a więc w dniu, kiedy — mimo podpisanego porozumienia — trwały rozmowy między stronami w sprawie poprawek do tegoż dokumentu. W Bełchatowie, przez który przejeżdżałem, mimo rannych godzin, ulice były zapelnione przechodniami. Coraz to widziałem się patroli milicji. Granatowe „nysy” stały na wielu dojazdowych drogach i ulicach. Wyglądało to tak, jakby trwało jakieś święto albo lada moment miał pojawić się ważny dygnitarz. Zapytani przeze mnie przechodnie powiedzieli, że nic z tych rzeczy, to tylko strajkuje Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne. Autobusy stoją w zajeźdni, więc ludzie pieszo muszą pokonywać drogę z domu do pracy, do sklepów, do przychodni lekarskich.

— Jaki charakter ma strajk?

— Normalny. Chcą podwyżkę, tak jak ci z kopalni.

— Jak daleko jest do Rogowca?

— Jakies 6–7 kilometrów.

Natomiast na drogowskazie „stoi” wyraźnie: Rogowiec — 14 kilometrów.

Dwie rzeczy zaskakują przybysza: biały, gęsty i skłębiony obłok unoszący się z elektrowni i zasłaniający horyzont oraz rozległość terenu zajmowanego przez kopalnię.

2.

Pierwsze wrażenie: gdy wysiadam z samochodu powietrzem wstrząsa potężny huk. Wkrótce następuje drugi. Potem trzeci, tak już będzie do godziny drugiej po południu. W budynku od wstrząsów dzwonią szyby w oknach, trzęsą się meble, drżą drzwi. To rozstrzeliwuje się kamienie z nadkładu, by potem, już jako żwir, można je było wywieźć na górę.

Pierwsze kroki kieruję do Naczelnego Inżyniera Górniczego — Piotra Parady (dyrektor kopalni Stanisław Drozdowski jest nieosiągalny). Inżynier ma wyraźnie dość dziennikarzy. Nie to, że ich nie lubi, ale przez ostatnie dni nie odstępował go na krok. Dlatego, gdy ledwo wszedłem i przedstawiłem się, powiedział:

— Witam pana, a tu ma pan wszystko, co dotyczy strajku.

I wyciągnął w moją stronę dwie kartki papieru maszynowego spięte spinaczem. Rzuciłem okiem na tytuł: „Informacja na temat strajku w KWB „Bełchatów”.

— Mało — mówię i zdejmuję kurtkę.

— Tu jest wszystko!

— Nie wszystko, panie inżynierze. — Sadowię się przy stole i wyciągam notatnik.

— Człowieku, nie mam nic więcej do powiedzenia!

— Zobaczmy — odpowiadam ze spokojem, choć w głębi serca szkoda mi tego przemęczonego, zestresowanego ostatnimi zdarzeniami, człowieka. Jakby odgadując moją trudną sytuację, zjawiają się dwaj dziennikarze z „Panoramy”.

Inżynier Piotr Parada bezzilnie opada na fotel, a potem nachyla się do mikrofonu i mówi:

— Proszę podać trzy mocne herbaty.

4

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.
Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują:
Tadeusz Błażewski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Maciej
Świerkocki.
Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza
3/5 tel. 32-59-11.
Organizacja reklamy: Andrzej
Bartasiewicz tel. 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.
Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.
DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28.
Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.
Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
towych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kane na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
towych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzęd-
ach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejs-
ca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmuje
HSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1658 201045-139-11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
początku zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceńców indywidualnych
i o 100 proc. dla zleceńców
pracy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.
Zam. 323. D-10.

Przegląd prasy

Kat narodów Związku Ra-
dzieckiego, Ławrientij Pawło-
wicz Beria (1889—1953), o któ-
rym drukujemy cykl artyku-
łów, był w młodości zawodni-
kiem drużyny piłkarskiej. Grał
w słynnym klubie gruzińskim
„Dynamo”. Na początku lat
dwudziestych przyjechał do
Tbilisi moskiewski „Spartak”.
W ataku gości wystąpił m.in.
Nikolaj Starostin. Jego wspom-
nienia opublikował tygodnik
„Moskowskie Nowosti”, a
przedrukował tygodnik „PRA-
WO I ZYCIE” (nr 6).

„Na lewym skrzydle naszych
przeciwników wyróżniał się o-
czywiście, słabo wyszkolony tech-
nicznie obrońca, Beria. Jako
napastnik nieustannie musiał
tem się z nim ścierać. Moja
ówczesna szybkość sprawiała,
że ograniczenie go nie nastąpiło
większych trudności. W drugiej
połowie tego meczu rzeczywi-
ście uciekłem mu i strzeliłem
bramkę”.

Nikolaj Starostin stał się po-
tem sławnym piłkarzem. Na-
tomiasz jego przeciwnik z
boiska został honorowym pre-
zesem bakijskiego „Dynamo” i
szefem oświatowego NKWD.
Tak się złożyło, że moskiew-
ski „Spartak” odnosił najwięk-
sze sukcesy w okresie wielkich
czystek. Nie mógł tego znieść
Ławrientij Beria. Gdy w 1939
roku drużyna Moskwy zdobyła
Puchar ZSRR, próbował areszt-
ować Nikolaja Starostina,
ale odmówił podpisania nakazu
Wiacesław Mołotow. Był może
dlatego, że córka Starostina
przyjaźniła się z córką Mołot-
owa. Dziewczynki uczęszczały
do tej samej szkoły nr 175 w
dzielnicy swierdłowskiej. Uczy-
ła się tam również córka Jo-
zefa Stalina, Swietłana Allilu-
jewa.

Beria nie darował jednak
człowiekowi, który kiedyś go
ogrył i przyczynił się do po-
rażek bakijskiego zespołu. W
1942 roku pojawiła się „spra-
wa braci Starostinów”. Areszt-
owano Nikolaja, Piotra, Alek-
sandra i Andrieja oraz mężów
ich siostr Wierę i Klauddi.
Znanych piłkarzy Pawła Tkisto-
na i Piotra Popowa. Zatrzyma-
no także bliskich przyjaciół ro-
dzinny Starostinów oraz zawo-
dników „Spartaka”. Jęwienia
Archangielskiego i Stanisława
Leute.

Nikolaj Starostin spędził
dwa lata w jednostkowej celi
na Lubiance. Za propagowanie
burżuazyjnego sposobu upra-
wiania sportu został skazany
na dziesięć lat pozbawienia
wolności. Wyrok przyjął z za-
dowoleniem... W tamtych cza-
sach oznaczał niemal niewin-
nienie. W obozach na trasie:
Uchta-Chabarowsk-Komsom-
olsk nad Amurem-Ulenowsk-
Akmolins-Alma Ata był an-
gażowany jako trener. Piłka u-
ratowała mu życie, ponieważ
każdy GULag chciał mieć do-
brą drużynę.

Ławrientij Beria został komi-
sarzem spraw wewnętrznych
w grudniu 1938 roku. Przed-
tem był (od lipca 1938 r.) za-
stępca Nikolaja Jeżowa, któ-
rogo rozstrzelano nie wiadomo
kiedy i gdzie. W interesującej
książce „Triumf i tragedia”,
której fragmenty drukowała
„TRYBUNA ŁÓDŹ” (nr 36), dr
hab. Dmitrij Wołkogenow pi-
sząc, że Stalin wysoko oceniał
energję i spryt Berii. Poznał go
w końcu lat dwudziestych ja-
ko naczelnika GPU Zakauka-
zja.

„Wiedział też sporo o ciemnej
przeszłości Berii w czasach
wojny domowej, i o jego ka-
rierowiczostwie, ale takie fak-
ty w życiorysach swych współ-
pracowników sekretarza gene-
ralnego nawet lubił; miał wtedy
na nich dodatkowy bat. Taki
Wyszyński chociażby nie tylko
był miłośnikiem, ale nawet
podpisywał nakaz aresztowania
Lenina, a jak się później sta-
rał!”.

Dmitrij Wołkogenow obliczył,
że w latach 1937—1938 repre-
sje objęły od trzech i pół mil-
lionów do czterech milionów o-
sób. W tym na karę śmierci
skazano od 600 tys. do 650
tys. ludzi. Do ofiar śmierci
należy dodać tych, którzy
zginęli w obozach i więzie-
niach. Wyeliminowano również
uczciwych pracowników orga-
nów karnych. Do końca lat
trzydziestych zginęło 23 tysiące
pracowników NKWD. Była to

orgia bezprawia; i nie kult
jednostki, lecz tyrania
jednostki.

„Stalin świadomie tworzył
reżim własnej dyktatury, który
zapewniał mu całkowitą swo-
bodę postępowania. Kierowało
nim odurzające pragnienie o-
siągnięcia władzy abso-
lutnej”.

W rozmowach telefonicznych
i pismach urzędowych nie mó-
wiono o wyrokach śmierci. Sta-
lin nakazał posługiwać się ok-
reśleniem „kara pierwszej ka-
tegorii”. Ale nie tylko Stalin
jest winien. Na listach osób
skazanych na śmierć były też
podpisy innych przywódców.
Po XX Zjeździe KPZR wiele z
tych dokumentów zniszczono.
Na polecenie N.S. Chruszczo-
wa wyjęto z archiwów listy z
jego podpisem.

CZARNA PLAMA KATYNIA

Na przełomie 1940 i 1941 r.
Ławrientij Beria i jego zastę-
pca gen. Merkulow prowadzili
rozmowy z oficerami polskimi
na temat ewentualnego utwo-
rzenia armii polskiej w Związ-
ku Radzieckim. Na pytanie —
gdzie znajdują się tysiące na-
szych oficerów? — odpowie-
dzieli, że popełniono z nimi
wielką omyłkę. Istnieją jednak
trzy wersje tej wypowiedzi:
pierwsza — „My zdiełali s ni-
mi bolszuj oszibku”; druga —
„My zdiełali s nimi bolszuj o-
szibku. Oddali ich German-
com”; trzecia — „Otkuda my
mogli znać, chto budiem dru-
ziami, eto była bolszaja oszib-
ka”.

Ostatnią wersję przedstawił
Włodzimierz Sokorski podczas
dyskusji redakcyjnej w „MIE-
SIECZNIKU LITERACKIM”
(nr 11). Przy okazji ujawnił on,
że jesienią 1943 roku, zaraz po
zajęciu Smoleńska, był w Ka-
tyniu na czele komisji, która
powołał gen. Zygmunt Berling.

„Dla mnie tak się to skoń-
czyło, że uciekałem z gen.
Jurijem Zukowem i podpisałem
zobowiązanie, że nie będę na ten
temat z nikim mówił. Myśmy
wówczas rozmawiali z miesz-
kańcami wsi, którzy jeszcze
wtedy żyli. Nie tylko żyli, ale
ich jeszcze wówczas nie wy-
wieźli. Po powrocie z Katynia
złożyłem raport Berlingowi.
Lecz po rozmowie z NKWD z
Zukowem zrezygnowałem na ten
temat nie mówić przez dłu-
gie lata”.

W odpowiedzi na zaskakują-
ce wyznanie Włodzimierza So-
korskiego, zawca zagadnienia
prof. Czesław Madajeżyk
stwierdził:

„Los był dla ciebie w tym
przypadku jeszcze łaskawy. Na
ogół ludzie powiązani z tą
sprawą poznawali i poginęli do-
kumentacja polska dotycząca
sprawy katyńskiej. W tajemni-
czych okolicznościach znikł
chorąży Marian lub Marek
Klimczak, przedstawiony jako
świadek, iż obozy internowa-
nych oficerów polskich istniały
do 1941 roku. (...) Profesor
G. Buhtz kierował ekshumacją
w Katyniu jako specjalista z
zakresu medycyny sądowej. Po
wojnie jego willa została grun-
townie przeszukana, różne ma-
teriały z niej zabrano”.

W grobach katyńskich udo-
wniono znalezienie 4143 ofiar.
Na podstawie dokumentów o-
sobistych zidentyfikowano 2730
zwłok. Ekshumowani pocho-
dzili tylko z Kozelska. Powsta-
nie więc pytanie, co się stało z
osobami internowanymi w Sta-
robiełsku i Ostaszkowie? Kom-
misja polsko-radziecka powin-
na ustalić, gdzie są ich groby.

Uczestniczący w dyskusji
prof. Jarema Maciszewski u-
waża za absolutnie niemożli-
we przyjęcie wersji, że więk-
szość oficerów polskich przeka-
zano Niemcom w 1940 roku.
Przypuszcza on, że mord ka-
tyński zdarzył się w okresie
od pierwszych dni kwietnia do
10 maja 1940 roku. Sprawę
komplikuje tylko istota różni-
ca między mogiłą osma a po-
zostałymi. Jedne ofiary mają
mundury zimowe, a drugie let-
nie.

Pod koniec dyskusji Czesław
Madajeżyk poinformował o
spotkaniu z kimś odpowiedzial-
nym, kto zetknął się po woj-
nie z osobą, która stwierdziła,
że brała udział w egzekucji
oficerów polskich w Katyniu.
Sprawdzenie tej rewelacji be-
dzie trudne, ale możliwe...

POLACY NA LITWIE

Dla wielu naszych rodaków

ojczyzną jest ziemia litewska.
Podczas spisu powszechnego w
1979 roku mieszkało tam 247
tys. Polaków (7,3 proc. lud-
ności). W stolicy republiki, Wil-
nie, było 100 tys. Polaków (18
proc. mieszkańców).

Ogromną większość obywa-
teli Litewskiej SRR (80 proc.)
stanowią Litwini, wśród któ-
rych narasta obecnie ruch na-
rodowo-autonomiczny. Niepo-
kojącym dla nas zjawiskiem są
wyraźne nastroje antypolskie.
Pisze o nich w „ZYCIU LITE-
RACKIM” (nr 6) Zofia Ku-
rzowa.

„Nastroje te przejawiają się
np. w ograniczaniu szkół pol-
skich, niedoinwestowaniu pol-
skich wsi i osad (brak now-
szej zabudowy, komunikacji,
brak stałego punktu lekarskie-
go itp.), niedopuszczaniu mło-
dzieży polskiej do wyższych uc-
zełni poza Wileńskim Państwo-
wym Instytutem Pedagogicz-
nym. Antypolsko jest usposo-
biona część kleru litewskiego
w mniejszych miasteczkach.
Niechęć do Polaków przeja-
wia się w wyrażanych nieraz
prywatnie pragnieniach, by o-
puszcili oni litewską ziemię i
przenieśli się do swojej ojczy-
zny — Polski”.

Po wojnie pozostała na Li-
twie prawie wyłącznie ludność
wilejska. Dlatego dziś mniej-
szość polską reprezentują dwie
warstwy społeczne: chłopci (w
tym plebs miejsko-podmiejski)
oraz inteligencja. W niewiel-
kiej grupie inteligencji około
90 proc. stanowią humaniści:
nauczyciele szkół polskich i
wykładowcy WPIP, dziennika-
rze, literaci, poeci, działacze
kulturalni. Bardzo rzadko Po-
lak jest inżynierem, techni-
kiem, sędzią, wojskowym, le-
karzem. Jest to wynik pew-
nych trudności.

Polacy mają silne poczucie
odrębności od Litwinów i
Rosjan. Unikają mieszanych
małżeństw. Trzymają się ka-
tolicyzmu i tradycji narodowej.
Między sobą rozmawiają po
polsku. Języka litewskiego na
ogół nie znają. U urzędach i
skleпах obowiązuje bowiem
rosyjski. A dopiero niedawno
litewski stał się jedynym ję-
zykiem państwowym.

We wrześniu 1988 r. prze-
prowadzono badania ankietowe
wśród studentów II i IV roku
polonistyki Wileńskiego Pań-
stwowego Instytutu Pedagogicz-
nego. Na podstawie uzyska-
nych odpowiedzi Zofia Kurzo-
wa pisze o „Polonii wileńskiej”.

„Środowiska polskie w Wil-
nie, mimo że są dość liczne,
nie posiadają wysokiej rangi
społecznej. Polacy to miesz-
kańcy starych domów na per-
yferiach miasta. Nie są wy-
kształceni, trudnią się niższymi
zawodami (sprzątaczkami, skle-
powe, sprzedawcy na baza-
rach) lub zatrudnieni są w
produkcji jako niższej kwalifi-
kacji robotnicy”.

Studenti polscy z Wilna dos-
trzegają charakterystyczne wa-
dy tamtejszych Polaków. Nie
potrafią zająć wspólnego sta-
nowiska, są skłóceni ze sobą,
każdy chce przełamać
własną opinię. Poza tym zbyt
długo dyskutują o sprawach
drugorzędnych i tracą czas na
jałowe gadanie.

O polskich gazetach na Wi-
leńszczyźnie pisze w miesięcz-
niku „PRASA POLSKA” (nr 1)
Eugeniusz Kurzawa. W ję-
zyku polskim ukazuje się dzien-
nik „Czerwony Sztandar” (z
50 tys. egzemplarzy połowa roz-
chodzi się w Polsce) oraz trzy
periodyki: „Przyjaźń” — 4,5 do
5 tys. egz.; „Przykazania Le-
nina” — 1700 egz.; „Przodow-
nik” — 1000 egzemplarzy.
Wszystkie pisma są organami
władz radzieckich, a nie ga-
zetami mniejszości polskiej.

Polskie programy pojawiają
się w radiu i telewizji litew-
skiej. Audycja radiowa nada-
wana jest codziennie, a tele-
wizyjna „Panorama Tygodnia”
tylko w niedzielę. Trwają za-
ledwie po pół godziny.

W końcu ubiegłego roku z
okazji 190 rocznicy urodzin
Adama Mickiewicza Stowarzy-
szenie Społeczno-Kulturalne
Polaków na Litwie zorgani-
zowało wycieczkę śladami
wieszcza. Zgłosiło się prawie
półtora tysiąca osób. Wyjecha-
ło aż 36 autobusów. Wśród uc-
zestników wyprawy była wy-
stanniczka „TRYBUNA ŁÓ-
DŹ” Iwona Płak (Napisała o
tym w nr 298).

Jak doniosła „Trybuna Ło-
dź” (nr 40) w Wilnie odbył
się 100-tysięczny wiec protes-
tacyjny przeciwko proklamowa-
niu litewskiego językiem
państwowym. Demonstrowali
głównie Polacy i Rosjanie.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

EUGENIUSZ ŁACKI — zastępca dyrektora Woje-
wódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej
w Piotrkowie Trybunalskim.

— Nerwowo, z nieprzespanymi nocami, wręcz „zawałowy”. Za-
kończył się ten tydzień dość szczęśliwie, strajk został przerwany,
zawieszony ściśle rzecz ujmując, ale początek tygodnia niestety, na
to nie wskazywał. Przez wiele dni sytuacja była wyraźnie pato-
wa, strajkujący w pięciu naszych zakładach, to jest w Piotrkowie,
Tomaszowie, Bełchatowie, Opocznie i Radomsku nie chcieli odstą-
pić od swych żądań, my, jako dyrekcja nie byliśmy w stanie ich
spełnić. Oni — żądali dołożenia przede wszystkim 100 złotych do
stawki godzinowej, my, od początkowych 24 złotych po ekwilibry-
stycznych wręcz manewrach byliśmy skłonni dołożyć po 50 złotych.
Dla komitetu strajkowego było to jednak zbyt mało. A prze-
cież wiedząc, tłumaczyliśmy to wielokrotnie, że każda złotówka
więcej i gilotyna podatkowa zniszczy nas jako firmę. I nie w tej
sprawie nie mogliśmy zmienić petycję przedkładaną przez reprezen-
tacje strajkujących w ministerstwach: Transportu, Żeglugi i Łącz-
ności, Pracy i Polityki Socjalnej czy Finansów. Przy dotacjach dla
firmy, które w tym roku osiągnęły 1,7 miliarda złotych, podniesienie
większe niż proponowaliśmy owej nieszczęsnej stawki godzinowej
— byłoby przestępstwem, przekroczeniem granicy naszych możli-
wości finansowych. Rozmowy utknęły na wiele dni, spotykaliśmy
się w różnych zespłach, do strajkujących z piotrkowskiego za-
kładu dołączyli przedstawiciele pozostałych załóg, dołączyli do-
radcy z „Solidarności”, którzy, trzeba przyznać, w końcowej fazie
zachęcali do porozumienia i zawieszenia akcji. Wszyscy byliśmy
już niesamowicie zmęczeni fizycznie i psychicznie i — nie okla-
mujmy się — obie strony chciały wyjść z twarzą z konfliktu.
Okolo 3 nad ranem w niedzielę zostało zawarte porozumienie, które,
zdeje sobie sprawę, nie rozwiązuje problemu. Dołożenie kilku-
nastu czy kilkudziesięciu tysięcy złotych nie może przysłużyć anor-
malnej sytuacji panującej w resorcie komunikacji. Bowiem sy-
tuacja obecna, kiedy w różnych przedsiębiorstwach w kraju
obowiązują odmienne zasady płacowe, odmienne stawki i nawet
różne ceny biletów — będzie zawsze źródłem konfliktów. Ale dziś
marzy mi się tylko dwadzieścia godzin snu...

ZBIGNIEW ZAPART — mechanik w WPKM w
Piotrkowie Trybunalskim, do niedzieli członek ko-
mitetu strajkowego tamże.

— „To było niepotrzebne” — tak bym najkrócej skwitował te
minione dziesięć dni. Moim zdaniem obie strony są przegrane, do
takich jak w sobotę w nocy wniosków równie dobrze mogliśmy
dojść po naszej akcji protestacyjnej, niepotrzebne było to uderze-
nie autobusów w pięciu miastach. My doskonale wiemy,
że w wielu ośrodkach w kraju pracownicy miejskiej komunikacji
zarabiali lepiej od nas, różnice na naszą niekorzyść sięgają cze-
sto kilkudziesięciu tysięcy. Kierowcy „kręca” nadgodziny, by dotu-
nąć parę groszy, przejeżdżają mieszkamca „kółkiem” po 300-320 go-
dzin, znam przypadki, gdzie chłopaki jeżdżą dwie zmiany pod
prąd... Dlaczego nie można było nam od razu bez ostentacyjnie
strajku, dołożyć po 50 złotych do stawki godzinowej? W końcu
wywalczyliśmy w przeliczeniu kwotowym podwyżki od 11 tysięcy
złotych do 25 tysięcy. Tylko że „zjada” nas inflacja, a na kom-
pleksowe uregulowanie w transporcie i miejskiej komunikacji
„góra” jakoś nie ma czasu. I niech pan nie wierzy w te miliony
strat, jakie firma poniosła, to też demagogia! Jak dyrekcja wspo-
mina o 15 milionach strat, to myśm wyliczyli, że 30 milionów
to tylko same „oszczędności” paliwa, oleju, ogumienia. To są dwie
strony medalu, ale myślę, że obie nieprawdziwe, bo przegrani je-
steśmy wszyscy, łącznie z tymi, co przez dziesięć dni nie mogli
korzystać z naszych autobusów.

Notował: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— W tym momencie nie tylko Jacek zapomniał o Gejszy; zapo-
mniał o niej także jego pulsująca, rozbuźniona, mile poleciana
podświadomość. Klarnet potknął się na jakiejś nucie i zakończył
swoją przejmującą pieśń do Boga. Został pewnie rozebrany na
części i złożony do smu w miękkich, aksamitowych przegródach fu-
terału. Ale nie mógł spać; w bramie zaryczał arogancko moto-
cykl; zakwiliło niemowle; wrzasnął rozsierdzony lokator; zgodna
para małżeńska przystąpiła do codziennej awantury — powieść
ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Czy można zostać milionerem, nie przestając być człowiekiem
uczciwym? Oczywiście nie złotówkowym milionerem, tylko dola-
rowym, i nie tak znów dokładnie milionerem, czyli posiadaczem
jednego miliona dolarów, bo jeden milion dolarów to jeszcze nie
jest bogactwo na skalę Ameryki. Przywykliśmy używać pojęcia
„milioner” w odniesieniu do ludzi bardzo bogatych, bo dla nas,
skromnych szaraczków, żyjących od wypłaty do wypłaty, każdy
kto ma wille i dobry samochód jest królem życia, czyli milio-
nerem — najnowsza książka ANDRZEJA BRYCHTA.

— Nikolaj Bulganin z Giorgijem Zukowem przystąpili do mobi-
lizacji sił. Pod pretekstem letnich manewrów zgromadzone wojska
w rejonie Smoleńska. Dzień aresztowania Ławrientija Berii wy-
znaczono na 26 czerwca 1953 roku. Gdy tylko Beria przybędzie
na zebranie na Kremlu, zostaną zaarrestowane wszystkie akade-
mie wojskowe i do stolicy wkroczą pewne dywizje. Wojska roz-
lokowane przez Ławrientija Berię pod Moskwą zostaną na rozkaz
ministra obrony, Nikolaja Bulganina, obozone, a koszary zabloko-
wane. Tylko Malenkow, Bulganin, Chruszczow i Zukow znali cały
plan — o tym jak aresztowano i stracono Ławrientija Berię pi-
sze ANTON ANTONOW-OWSIEJENKO.

— Szczęśliwie doczekaliśmy czasu, kiedy już w publicznych rozprawach o sprawach ideologiczno-politycznych nie musimy kierować się ustalaniem najświeższego plenum KC PZPR, jak to jeszcze nie tak dawno temu obowiązywało. Co więcej, dziś oczekuje się od nas — zarówno członków partii, jak i bezpartyjnych, nieskrępowanego zgłaszania swoich uwag i propozycji w związku z powyższymi już uchwałami i podejmowanymi działaniami. Zwiększył więc pogląd, że stała i swobodna wymiana myśli sprzyja doskonaleniu funkcjonowania socjalistycznego państwa i poprawie warunków życia. Spróbujmy wobec tego zastanowić się, do czego dziś, w dobie pragmatycznych przecieżeń działań reformatorskich, potrzebna jest filozofia i co ma jeszcze do powiedzenia marksizm.

— W toczących się dyskusjach o naprawie Rzeczypospolitej głos filozofów jest mało obecny, prawie niesłyszalny. Dlaczego? Złożyło się na to chyba wiele przyczyn. W poprzednim modelu realizacji socjalizmu filozofia była traktowana zbyt instrumentalnie, miała wynajdywać uzasadnienie dla ter polityków, a ponieważ filozofia oficjalna był marksizm, przyczyniło się to do deprecjacji marksizmu w społeczeństwie, zarówno w sensie teoretycznym, jak też w jego funkcjonowaniu. Ale mimo wszystko nie było w Polsce Ludowej takiego okresu, żeby filozofia uległa całkowitej dominacji przez marksizm, czy zwłaszcza przez jego „oficjalną” wykładnię, toteż dyskusja, przynajmniej w wyższych sferach, nigdy nie została całkowicie zamrożona, dochodziły w niej do głosu pluralistyczne tradycje polskiej myśli filozoficznej, mającej zresztą ustaloną pozycję w świecie. Utrzymywanie się tego myślowego fermentu okazało się też płodne dla horyzontów uprawianego u nas marksizmu, choćby w działalności Baczki, Kołakowskiego czy nawet Schaffa. Na tym też gruncie mogło stać się raptowne ożywienie życia filozoficznego po Październiku 1956 r., tragicznie natomiast, choć na dość krótko, zaważył na rozwoju myśli filozoficznej i na kondycji środowiska filozofów rok 1968.

— Ale czy to nam wyjaśnia do końca, dlaczego dziś, w odczuciu wielu ludzi, nawet wśród inteligentów, filozofia uchodzi za coś z samej swej natury oderwanego od życia, za pewnego rodzaju dumanie o niebieskich migdałach czy bajanie o żelaznym wilku. Dawniej, jak pamiętam, przynajmniej snobizm nie zezwalał inteligentowi kpić jawnie z filozofii...

— Problemy, które dziś przed nami stoja, a w każdym razie w Polsce, nie mają wymiaru filozoficznego, lecz głównie społeczno-gospodarczego, politycznego. Rozwijamy, pod naciskiem niezadowolonych społeczeństwa, zadań na krótką metę, sprawia jednak, iż powstaje poczucie, że ważne i wiarygodne jest tylko to, co się da szybko sprawdzić w praktyce. Ale oczywiście, ta nieobecność filozofii jest szkodliwa, gdyż dostrzegamy tylko bieżące, czyli problemy bieżące, a nie ogólniejsze dalszej perspektywy w wymiarze humanistycznym, te bowiem odleglejsze cele bledną w konfrontacji z niezapokojonymi wciąż potrzebami i aspiracjami bytowymi. A są to problemy trudne, poważne, nie cierpiące zwłoki. Dotyczą nie tylko nas, ale śmiało rzecz można, całej ludzkości. Cywilizacja naukowo-techniczna, mimo iż przyniosła ludziom szereg bezspornych korzyści, nie spełnia, generalnie rzecz biorąc, nadziei marzycieli społecznych dziewiętnastego wieku. Nigdy nie byliśmy bliżej apokaliptycznej obecności. Dziś nie mamy myśleć o rajskich ogrodach utopii, ale jak uratować ludzkość przed groźbą zagłady. Musimy na nowo przemysleć nasz stosunek do przyrody, przeformułować zasady etyczne, którymi się dotychczas kierowaliśmy. Tak ważny problem odpowiedzialności wygląda dziś inaczej niż powiem, sto lat temu. Musimy wziąć odpowiedzialność za wszelkie nasze działania, które mają wpływ na to, czy będą jeszcze mogły żyć na naszej planecie nasze wnuki i prawnuki. Wymaga to uświadomienia organizacji międzynarodowych, gremiów politycznych, szkolnictwa, jak też regulacji prawnych wielu działań w skali międzynarodowej. My zaś dopiero zaczynamy o tym mówić, borykając się z naszą codzienną biedą, która nam przesłania najbardziej dalekosiężne spojrzenie na sprawy tego świata. Organizowałem na ten temat w maju 1988 r. międzynarodowe sympozjum, przyjechało wielu wybitnych filozofów z USA, Francji, RFN i innych krajów. Była to zapewne pierwsza tego rodzaju konferencja filozoficzna u nas na tematy ekologiczne. Czy myśli pan, że to zainteresowało nasze publikatory? Telewizja, owszem, przyjechała do Podkasztorza, gdzie się konferencja odbywała, ale po to by nakręcić film o panienkach, które akurat przysposabiali się do konkursu piękności...

— Również nad tym ubolewam. Rozumiem jednak panie profesorze, że nie jesteśmy tu od tego, aby w tej rozmowie podpowiadać konkretne rozwiązania innym, zwłaszcza iż snujemy, być może, rozważania całkiem jałowe praktycznie, w momencie, który u nas nie wróży blasków przyszłości filozofii, a zwłaszcza marksizmu.

— Na marginesie dodajmy, że jednak w zachodnioeuropejskiej filozofii dorobek Karola Marksa i jego wpływ na rozwój myśli społecznej i filozoficznej jest powszechnie doceniany. Po prostu żaden szanujący się filozof nie może nie znać dorobku myśli marksowskiej...

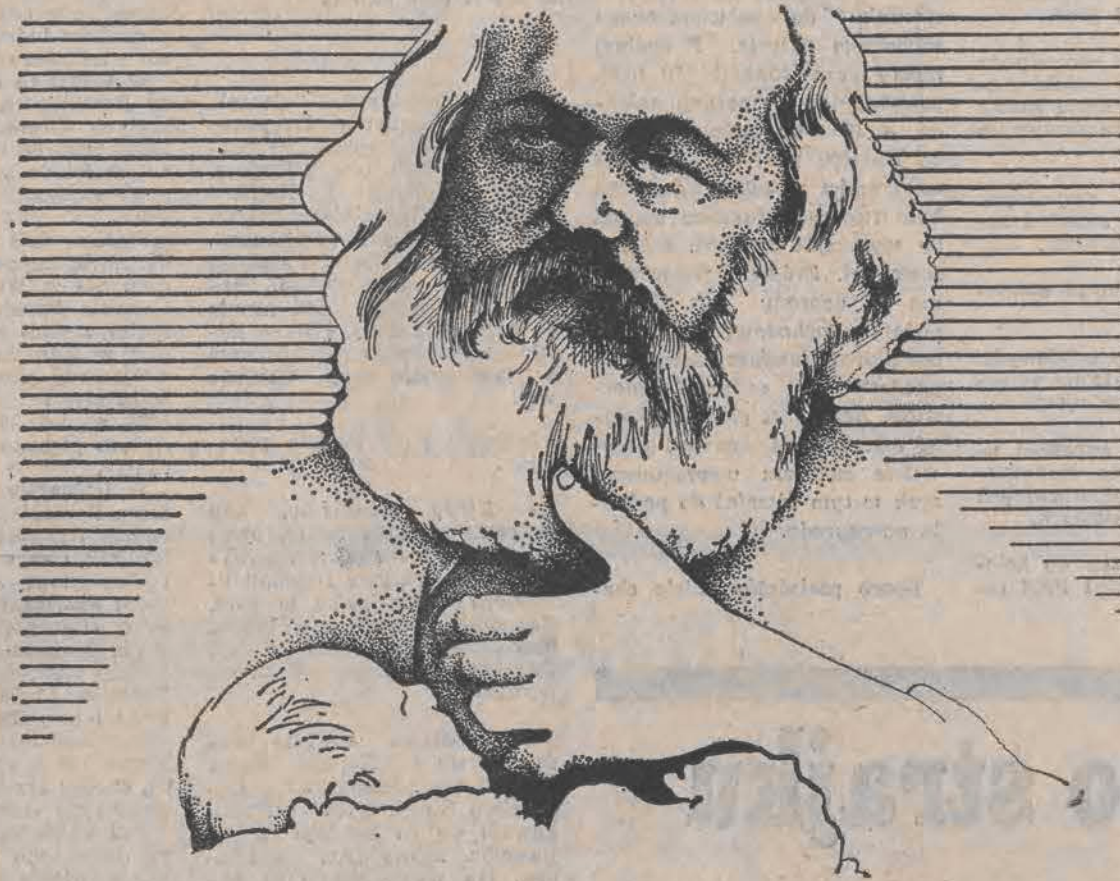
— Nie mówiąc już o krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie właśnie na marksistowskich przesłankach społecznych opiera się katolicka „teologia wyzwolenia”. Sytuacja umysłowa w Polsce wydaje się więc pod tym względem nieco zaściankowa...

— Dlaczego jednak w państwach realnego socjalizmu, a w każdym razie u nas, panuje tak silne odczucie, że marksizm zawodzi? Uważam, że trzeba próbować na to spojrzeć z kilku planów problemowych. Nie należy m. in. lekceważyć faktu, że Polska należy do kręgu kultury grecko-rzymskiej, śródziemnomorskiej, a także chrześcijańskiej, co eksponuje rolę i znaczenie jednostki wobec społeczeństwa, a w kręgach pozaeuropejskich było na ogół zapożyczane. Uwzględniając to jako kulturowe podłoże marksizmu w Polsce należy, moim zdaniem, postawić przynajmniej dwa zasadnicze pytania. Pierwsze: jak się ma realny socjalizm do tego, co Karol Marks wyobrażał sobie jako model społeczny? Drugie: czy nieśkożony, niewypaczony model Marksa dałby się z powodzeniem zastosować do dzisiejszych, tak odmiennych warunków? W odpowiedzi na te pytania

Czy należy snuć marzenia o idealnym ustroju?

Co komu po filozofii?

Rozmowa z prof. dr. RYSZARDEM PANASIUKIEM — kierownikiem Katedry Filozofii UŁ



Rys. Dariusz Romanowicz

zawiera się też poniekąd odpowiedź, jak należy dziś pojmować socjalizm, który oprócz innych inspiracji, miałby też czerpać z dorobku Karola Marksa.

— Pytania tym istotniejsze, że z jednej strony nie brak ludzi, którzy wyrażają obawy czy realizując reformy nie sprzeniewierzamy się założeniom i celom socjalizmu, a z drugiej słyszy się nieraz twierdzenia, że człowiek w ogóle nie jest w stanie zapanować nad procesami społecznymi, ani ich przewidzieć. Zresztą ci nasi sceptycy stają się mniej kategori, gdy rozpatrują szanse wpływanie człowieka na gospodarkę w kapitalizmie. Wróćmy jednak do obu pytań: czy to co realizowane u nas dawniej było „prawdziwym” marksizmem i czy oczyszczone z wypaczeń nauki Karola Marksa dałoby się zastosować do naszych czasów i potrzeb.

— Odpowiedźmy więc najpierw na pytanie pierwsze. Otóż Karol Marks nie był nigdy rzecznikiem monopolu państwowego, z jakim mieliśmy i jeszcze mamy do czynienia, a przyszłość upatrywał raczej w upowszechnieniu własności. Wprawdzie Marks dążył do likwidacji rynku, który wydawał mu się i za jego czasów był rzeczywistym, w znacznej mierze czynnikiem sprawczym chaosu w społeczeństwie, na który jednym lekarstwem musiał mu się wydawać planowanie gospodarcze, ale przecież to nie Karol Marks był zwolennikiem gospodarczego, politycznego i ideologicznego monopolu, który w realnym socjalizmie zaprowadziły grupy biurokratyczne, opanowując całkowitą władzę nad społeczeństwem i głosząc przy tym przewrotną tezę, iż świat pracy stał się zbiorowym właścicielem środków produkcji za pośrednictwem państwa, czyli za pośrednictwem aparatu władzy. Były to prawda podejmowane próby usprawiedliwienia tego jawnego odstępstwa od myśli Karola Marksa koniecznościami tzw. stanu przejściowego, wynikającego z różnych zagrożeń, ale nawet gdy mijają takie zagrożenia nie przestaje być korzystne dla aparatu zachowanie tego, co jest. Zagrożenia więc można i wymyślać. Po drugie: czy autentyczny model Karola Marksa dałby się dziś zastosować? Otóż, prawdę mówiąc, nieznaniemu mało jest rozważań na tak istotny temat, a bierzemy się, jak przypuszczam, z różnych obaw przed podejmowaniem tematów drażliwych. Faktem jest, że Karol Marks musiał się zmierzyć z problemami pierwszej rewolucji przemysłowej, nawiedzanej kryzysami. Klasa robotnicza w czasach Karola Marksa pozostawała poza głównym nurtem rozwoju społeczno-ekonomicznego, jej pauperyzacja była bezsporna. Ale w czasach pomarksofskich robotnicy w zaciekłych walkach zaczęli uzyskiwać uczestnictwo i w konsumpcji, i w oddziaływaniu na władzę za pośrednictwem partii socjaldemokratycznych. Które z przewidywań Karola Marksa rozminęły się najwyraźniej z rzeczywistością? Że nie następowała nieustanna, coraz większa koncentracja i monopolizacja kapitału w ręku coraz mniejszej grupy ludzi, czemu coraz silniej miała się przeciwstawić stale wzrastająca liczebnie klasa robotnicza, tę bowiem dysproporcję zmniejszono wydatnie pojawieniem się nowej klasy średniej, związanej z rozwojem usług. A znow w państwach socjalistycznych, które z czasem powstały, możliwości wzrostu sił wytwórczych okazały się wbrew przewidywaniom ograniczone. Wolno więc przyjąć tezę, że model marksowski, zastosowany bez żadnych modyfikacji, nie mógłby się okazać dziś skutecznym. Po prostu w mocno zmienionym świecie kapitalizm okazał się elastycznym, potrafił zabezpieczyć sobie rynki zbytu przez rozbudowę rynku wewnętrznego, opartego na wzroście siły nabywczej świata pracy, w czym decydującą rolę odegrał i odgrywa postęp techniczny i wydajność pracy.

— Myślę jednak, iż trudno wymagać od największego nawet geniusza, żeby mógł opracowywać drobiazgowo analizy i przygotowywać szczegółowe zalecenia na wiele czasu naprzód. Chodził przecież o główne prawidłowości i wiążące tendencje. Czy dostrzeżenie podmiotowej

roli klasy robotniczej jako siły sprawczej ustrojowych przemian nie było wizją dostatecznie dalekosiężną?

— Z pewnością. Gdyby zwycięskie rewolucje socjalistyczne wybuchły w krajach najbardziej rozwiniętych cywilizacyjnie i gospodarczo, jak to Karol Marks przewidywał, inny wówczas, zapewne mniej bolesny, byłby bieg dziejów. Nie uważam oczywiście, że historię należałoby „anulować”, wycofać się ze zdobytych pozycji, niemniej jednak wystąpiła tu ogromna rozbieżność między przewidywaniami Karola Marksa a rzeczywistością. A co do innych dalekosiężnych wizji, czy raczej samej wizji finalnej, odnoszącej się do wolnej jednostki w wyzwolonym społeczeństwie, zajętej swoim nieustannym doskonaleniem się intelektualnym, artystycznym, moralnym, ta wizja wywodzi się przecież z oświeceniowego, nadmiernie optymistycznego wyobrażenia o człowieku. Karol Marks, wydając się, z przesadną ufnością zawierzył dodatnim predyspozycjom natury ludzkiej, wyzwalanym pod wpływem korzystnej zmiany warunków społecznych, określanej przez niego jako „zniesienie ucisku człowieka przez człowieka”. Nie przewidywał Karol Marks, że w samym punkcie wyjściowym państwa socjalistycznego zamiast bezkonfliktowej wspólnoty, opartej na demokratycznej samorządności, dojdą do głosu niezwykle silne partokuluarne dążenia określonej grupy ludzkiej, zmierzającej do przechwycenia władzy, co w konsekwencji przyniosło tej grupie znaczne przywileje. Można chyba też przyjąć, iż Karol Marks nie brał pod uwagę istniejących zawsze konieczności organizacyjnych. Mądrzejsi dziś o doświadczenia historii rozumiemy, że gdyby nawet nastąpiło zniesienie rynku, zastąpienie dystrybucją wyprodukowanych dóbr, to nie można byłoby obejść się bez zorganizowania rozległego aparatu, wyspecjalizowanego w sterowaniu produkcją i dystrybucją. Ten biurokratyczny aparat, uzyskując władzę nad rzeczami, i to najpowszechniejszego użytku, tym samym uzyskał też musi władzę nad ludźmi. A czy można np. uwierzyć w powszechną, spontaniczną chęć pracy dla dobra ogółu. I tu przecież niezbędny jest staję aparat biurokratycznego dozoru. Bez aparatu administracyjnego najpewniej obejmę się nie można, dlatego problemem naszych czasów staje się konieczność skutecznej kontroli tego aparatu w społecznym interesie. Toteż podstawowe dziś pytanie o demokrację socjalistyczną brzmi: czy lud ma zapewnić polityczne środki kontroli nad aparatem władzy?

— Innymi słowy — cała władza w ręce rad! Wracamy więc w realnym socjalizmie do hasła i zamiarów sprzed siedemdziesięciu lat. Co prawda, nie mogę się oprzeć nieufności, czy demagogii, szafując najpociesznijszymi obietnicami bez pokrycia, w postaci zaspokożenia ławiny roszczeń, nie mają często największych szans uzyskania masowego poparcia...

— Byłoby to pytanie o stopień dojrzałości społeczeństwa, które jednak musi się nauczyć rozeznawać w sytuacji przez współuczestnictwo w rządzeniu. Ale przede wszystkim jest to pytanie o rzeczywistość, niefałszywą, wolną od nacisków i manipulacji kontroli społecznej. Trzeba więc dążyć do stworzenia instytucjonalnych mechanizmów w tym kierunku. Bo bez nich nawet ludzie najmarksiści nie mieliby możliwości publicznego artykułowania swoich krytycznych opinii. A jest też faktem w historii dowiedzionym, że rządzący, którzy mają nawet jak najlepsze intencje, stają się często bez społecznego nadzoru despotami, rządzącymi wbrew społeczeństwu i przeciw społeczeństwu. Władza wyłanowca powinna nie tylko podlegać kontroli, ale pozostawiać też całe obszary życia społecznego poza swoją kompetencją, to jest wszędzie tam, gdzie swobodna samoorganizacja społeczna może wykreślić władzę.

— W każdym razie jesteśmy zgodni, że jeszcze daleko nam do idealnego ustroju i że nie funkcjonują jeszcze wszystkie gwarancje społecznej kontroli władzy, mimo nasilenia się tendencji reformatorskich i wzrostu sił opowia-

jących się za demokratycznymi reformami. Ale czy na razie samo wyobrażenie sobie idealnej krainy utopii nie stanowi zachęty do działania dla dobra innych i do samodoskonalenia?

— Może to pana zaskoczy, ale uważam marzenia o idealnym ustroju wręcz za szkodliwe, za niebezpieczną fikcję, ponieważ odwołuje ona od poszukiwań realnych, najlepszych w danym momencie historycznym rozwiązaniach palących problemów społecznych. Rozdzielę między ideałem a rzeczywistością często bowiem obywateli. Próby realizacji ideału społecznego za wszelką cenę kończą się zawsze katastrofą.

— Nie zaprzeczaj pan jednak, że np. w latach międzywojennych idee szerzone przez doktrynę marksowskiego socjalizmu przyciągały do partii komunistycznych i socjalistycznych ogromne zastępy zwolenników, dających godne podziwu przykłady najwyższej ofiarności. Wiza lepszego świata bynajmniej ich nie oślepiała.

— Była to jednak wizja lepszego jutra, już jutra, głębokie przeświadczenie, że wystarczy przeprowadzić rewolucję socjalną, zmienić warunki ustrojowe i stosunki własności, a życie człowieka pracy odmieni się diametralnie na lepsze.

— Wizja zresztą w znacznej mierze realizowana we wstępnej fazie, polegającej na zmianie podziału dóbr i na ekstensywnym rozwoju gospodarki przez uruchamianie najprostszymi rezerw. Ale nawet jeśli marksizm nie spełnił wielu obietnic i oczekiwań, i jeśli możliwość jego zastosowania współcześnie może wzbudzać szereg wątpliwości, to przecież wielu z nas ukształtowały zasady i hasła socjalizmu, w których poczesne miejsce zajmowały nauki Marksa. Czy nie miałyby po nas pozostać?

— Niewątpliwie idee socjalizmu rozbudziły w społeczeństwie pragnienie sprawiedliwości społecznej i oczekiwanie, że tylko zreformowane społeczeństwo jest ją w stanie zapewnić, jeśli będzie dostatecznie zasobne i rządzone w interesie tych, co sprzedają swoją pracę. Jest to, moim zdaniem, dorobek istotny i cenny. Pomimo tego uważam zdecydowanie, że w realizacji budowy społecznej należy kierować się względami ekonomicznej efektywności, z wszystkimi tego, głównie kadrowymi, konsekwencjami, a skończyć bezwzględnie z ideą państwa „ideologicznego”. Powinno być ono oparte na prawie, tzn. przestrzeganiu zarówno prawa ekonomicznego, jak i praworządności w stosunku do obywateli, którzy powinni być faktycznie równi wobec prawa.

— A skoro równość faktyczna, a nie tylko formalna, to musza, moim zdaniem, istnieć gwarancje równego startu życiowego dla wszystkich, a potem zasada „sprawiedliwej nierówności” zgodnie z kwalifikacjami i zasługami. Narzuca się jednak pytanie o rolę i miejsce partii, która potrzebna jest po to, by odczytywać główne potrzeby społeczne i inspirować metody ich rozwiązywania, a wreszcie upominać się o przestrzeganie sprawiedliwości w najszerszym społecznym sensie.

— Mówiąc o roli partii, dotykamy niezmiernie złożonego i delikatnego problemu. Idzie przecież o to, czy w takiej lub innej formie powinien być zachowany dotychczasowy system polityczny, z jego naczelnym dogmatem o hegemonii Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wydaje się, że światli członkowie partii, w tym także najbardziej liberalna część aparatu partyjnego, są świadomi, iż model hegemoniczny jest już nie do utrzymania, nawet w tej wersji częściowo rozluźnionej, jaka istnieje u nas. Aby artykułacja dążeń gospodarczych, ideowych, światopoglądowych mogła znaleźć swój publiczny wyraz musi dojść do szerzej niż dotychczas możliwości organizowania się władzy w ramach zakreślonych przez demokratyczny ustrój prawny, aby mogły działać i wyrażać swoje dążenia przez zagwarantowane konstytucyjnie środki różne organizacje. Dopuszczając swobodę artykulacji dążeń pluralistycznego społeczeństwa musimy dążyć, rzecz jasna, do stworzenia takich ram ustrojowych, które uniemożliwiłyby dojście do głosu na zasadzie wyłączności interesu jakiejś grupy i narzucanie swojej egoistycznej woli wszystkim pozostałym. Wypracowanie formuły ustrojowej, która by ukazywała drogę pośrednią między jakąś formą dyktatury a anarchią jest trudne, ale, jak uczy historia, możliwe. Nie sądzę, by nasze społeczeństwo u swojej podstawy było tak zantagonizowane, żeby nie można było sobie pozwolić na szersze dopuszczenie do głosu różnych, już przecież istniejących dążeń i tendencji. Sądzę, że w tak pomyślnym modelu nie zabraknie zadań dla partii głoszącej hasła socjalistyczne. Myślę, że ta bogata, wielka tradycja ideowa polskiej lewicy może stanowić potężne wsparcie ideowe naszych wysiłków społeczno-politycznej przebudowy.

— Nie wiem, czy się pan z mną zgodzi, że obserwujemy pewien fenomen polityczny, znamienity dla dokonujących się u nas przemian. Otóż reformująca się demokratycznie partia zaczyna pozyskiwać sobie coraz wyraźniej bardzo cenne, moim zdaniem, sojusznika, dotychczas traktowanego z nieufnością i jakby odtrącanego, a mianowicie środowisko liberalne. Nie lubiłbym się, że autentycznych liberalów mamy w Polsce wielu, gdyż sporo osób paradytujących pod szyldem demokratyczno-liberalnym zdradza, jak się nieraz przekonywałem, ciążę do nacjonalistyczno-konserwatywnego, którym najbliższy duchowo byłby autokratyczny reżym. Co ciekawe, że autentyczny liberalizm, jakby w poczuciu potencjalnego zagrożenia ze strony prawicowego, nietolerancyjnego nurtu zaczynają szukać ostoju właśnie w partii, i poczuwać się do pokrewnego z partią redowodu racjonalistycznego i lewicowego. Zaangażowało się w tym duchu całe grono wybitnych publicystów polskich, którzy chętnie chwytają za pióro w obronie socjalistycznych wartości.

— Należałoby sobie tego życzyć, by ideały społeczne i wartości propagowane w naszych dziejach przez polską lewicę, w tym socjalistyczną, zarówno przez męczenników Wielkiego Proletariatu, jak bojowców PPS i SDKPiL, wreszcie przez takich przywódców duchowych naszego narodu jak Prus i Nałkowski, Żeromski i Dąbrowska na nowo ożyły i weszły pełniej niż dotychczas do społecznego obiegu.

— Dziękuję pięknie za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Kopalnia Węgla Brunatnego „Bełchatów” zatrudnia 12,5 tys. ludzi. Stanowiska pracy są mocno zróżnicowane: od sprzątań do wysoko kwalifikowanych pracowników technicznych. Zróżnicowane są także zarobki. Nie tylko ze względu na kwalifikacje, ale i dlatego, że część ludzi pracuje w systemie 4-brygadowym, część tylko na pierwszej zmianie, część w administracji. A od jakiegoś czasu w KWB działają się nie najlepiej: zarobki przestały być magnesem przyciągającym ludzi do kopalni. We wszystkich okolicznych przedsiębiorstwach były one znacznie wyższe i wykazywały tendencję wzrostową. Rosły także ceny, a cena węgla wydobywanego w KWB ciągle pozostawała ta sama. Ponadto: w kopalni praca jest bardzo ciężka, szczególnie na wyrobiskach, ludzie pracują na cztery zmiany pięć i siedem, a gdzie indziej roboczy tydzień trwa pięć dni, w ciepłe, pod dachem, no i więcej placu. Stąd ucieczka z kopalni. Gdyby dziś chcieli uruchomić kopalnię odkrywkową w Szczercowie (a przecież są takie plany) nie byłoby ludzi do pracy.

NSZZPG KWB „Bełchatów” a ministrem przemysłu z powodu nieprzedyskutowania wcześniej tego z załogą.

3. Podwyższyć dwukrotnie dodatki za pracę w systemie 4-brygadowym od stawki osobistej zasługowania.

4. Opracować program obniżenia kosztów kopalni i dostarczyć nam na piśmie.

5. Zlikwidować fundusz za datę węzłowych 3,5 proc.

6. Zlikwidować nagrody za oszczędność energii elektrycznej, a wygospodarowaną kwotę z 4, 5 i 6 pkt przeznaczyć na podwyżki plac.

7. Przyspieszyć rozpoczęcie rozmów „długiego stołu” i zalegalizować „Solidarność”.

8. Nie represjonować uczestników wiecu.

9. Przekazać do wiadomości załogi treść postulatów w celu złagodzenia niepokoju.

10. Wprowadzić angaż i ująć w taryfikację stanowiska malarzy antykorozyjnych lub konstrukcji stalowych.

11. Zbadać proszek do kolorowania paliwa, gdyż PKS za-

w czasie wiecu w WN kopalni... Trudno więc twierdzić, że porozumienie nie było konsultowane z załogą.

Spornym mocno punktem był pkt. 6, dotyczący nagród za oszczędność energii. Dyrektor tak to wyjaśnił:

„Fundusz nagród za oszczędność energii tworzony był z obniżenia zużycia energii w stosunku do zatwierdzonego wskaźnika zużycia. Z ogólnej kwoty oszczędności 70 proc. pozostaje do dyspozycji zakładu, a 30 proc. przekazuje się do budżetu państwa. Z pozostałej części w zakładzie można było tworzyć fundusz nagród do wysokości 35 proc. tej pozostalości. Źródłem finansowania tej nagrody jest ulga w podatku dochodowym. Był to dodatkowy fundusz nie opodatkowany w przedsiębiorstwie. Natomiast globalna kwota oszczędności energii oczywiście zwiększa wypracowany zysk w tym również do podziału na nagrody.

Sporo postulatów miało cha-

o uruchomienie układów KTZ dla dobra sprawy, interesów kopalni i kraju”.

Strajkujący odpowiedzieli:

„Zatrzymanie układów KTZ było konsekwencją inercji dyrektora KWB „Bełchatów” i braku dobrej woli w rozwiązaniu konfliktu...” itd., itp. Dyrekcja ponownie odpowiedziała swoim komunikatem. Wymiana pot niczego nie rozwiązała, każdy trwał przy swoim.

5.

Do strajkujących dołączyli eksperci z ramienia Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności”. Stanisław Węglarz, Alojzy Pietrzyk i Ryszard Kostrzewa. Negocjacje trwały. Jak przy każdym przetargu, jedna i druga strona zmuszone były pójść na ustępstwa. Dlatego też 9 lutego nad ranem — była dokładnie 4:30 — doszło do podpisania porozumienia o zawieszeniu akcji strajkowej.

Inżynier Piotr Parada wspomina:

— Kiedy weszliśmy, aby podpisać porozumienie, przywitało nas skandowanie: „Wzyciężmy!”. Wszyscy trzymali uniesione dwa palce w górę. Następnie odśpiewano hymn narodowy i Boże coś Polskę... Oczywiście wszędzie barwy narodowe...

Porozumienie zawarte między dyrekcją Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów” a Komitetem Strajkowym ustosunkowało się do każdego z 14 punktów zgłoszonych postulatów. Jak wspomnieliśmy na początku, jest to ugaszenie ognia. Pozostało nadal zarzewie.

Najważniejszym punktem stał się ten dotyczący żądania wypłaty każdemu 30.000 zł. O nam więc pragnę powiedzieć parę słów. W wyniku rozmów obie strony postanowiły, że wynagrodzenie zostanie (ale tylko za styczeń i luty) podniesione o 21 tys. zł, z czego 18 tysięcy to kwota, którą KWB posiadała na podwyżki przewidziane w wyniku wcześniejszego porozumienia, natomiast 3 tysiące wzięto z puli nagród za oszczędność energii elektrycznej. KWB zużywa 4 proc. energii, jaką produkuje elektrownia. System komputerowy rejestruje jej zużycie przez wszystkie maszyny. Aby to zużycie zmniejszyć, ustanowiono nagrody dla ludzi pracujących przy maszynach. Były to więc nagrody motywacyjne i zdarzało się, że operatorzy za oszczędność energii w czasie swojej pracy otrzymywali 80—100 tys. zł (pieniądze pochodziły z zysków przedsiębiorstwa). Teraz te pieniądze trzeba włączyć do tych wynagrodzonych podwyżek.

Tak będzie do końca lutego, bo na ten czas strajk został zawieszony. A co potem? Dyrekcja wraz z Komitetem Strajkowym ma wypracować nowe porozumienie. Tylko że w tym czasie owe 3 tysiące zostaną „skonsumowane”, czyli pozostanie do wypłacenia jedynie 18 tysięcy dla każdego. Czy to nie spowoduje, że Kopalnia Węgla Brunatnego „Bełchatów” ponownie zatrzyma maszyny i taśmociągi?

Strajk trwał dokładnie od 6 lutego 1989 r. do godziny 7 rano do 9 lutego do godziny 4:30 rano. W dniu, kiedy znalazłem się w kopalni, tj. 10 lutego wszystkie działy pracowały normalnie, pierwsza zmiana wydobyła 42 tys. ton węgla i zdążyła 6 tys. metrów sześciennych nadkładu. Elektrownia też szła „pełną parą”, co można było zaobserwować na podstawie białej, skłębionej chmury płynącej w kierunku Łodzi.

Niestety, nie udało mi się porozumieć z Komitetem Strajkowym: właśnie trwały rozmowy z dyrekcją KWB na temat poprawek niektórych punktów branzowego porozumienia placowego.

Tak jawił mi się krajobraz po strajku, co starałem się wiernie przekazać w niniejszej relacji.

EUGENIUSZ IWANICKI

Z tej ziemi

Budujemy pomniki

Budujemy pomniki, aby upamiętnić fakty, zdarzenia, ludzi. Z faktami i zdarzeniami sprawa jest prosta. Są to na ogół fakty, których zmienić już nie można. Można tylko o nich zapomnieć. Gorzej z ludźmi. Stawia się im pomniki, które później trzeba burzyć, aby postawić pomniki ich ofiarom. Dlatego ze stawianiem pomników ludziom trzeba być ostrożnym. Najpierw niech historia ich właściwie oceni.

W Gdyni za dwa lata ma stanąć pomnik 3 Maja projektu Anny Paszkiewicz. Myśl postawienia tego pomnika zrodziła się w kręgach Stronnictwa Demokratycznego w Gdyni. Konstytucja 3 Maja dziś nie budzi żadnych brzydkich skojarzeń i nikt nie chce o tym fakcie zapomnieć. Przeciwnie. W naszych demokratyzujących poczynaniach często sięgamy pamięcią do wydarzeń z 1791 roku.

Możemy dziś również spokojnie dyskutować o pierwszym prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej — Gabrielu Narutowiczu. W kręgach SD w Warszawie umyślono, aby na placu noszącym imię Gabriela Narutowicza stanął jego pomnik. Gabriel Narutowicz, zanim zasiadł na prezydenckim stołcu, był profesorem Politechniki w Zurichu, budowniczym wielu elektrowni wodnych oraz inicjatorem planu wykorzystania wód południowej Polski dla rozwoju elektryfikacji. Prezydentem RP został wybrany 9 grudnia 1922 roku i 16 grudnia zastrzelony w Zachęcie w Warszawie. Jestem głęboko przekonany, że pomnik jak najbardziej mu się należy.

W Opinogórze w województwie ciechanowskim w pobliżu Muzeum Romantyzmu ma stanąć w czerwcu 1989 roku pomnik Zygmunta Krasińskiego. Mija właśnie 130 lat od śmierci poety. 4 lata temu — w 1985 roku — w kręgach kulturalnych Opinogóry i Ciechanowa zrodziła się myśl zbudowania tego pomnika. Powstał Społeczny Komitet Budowy Pomnika Zygmunta Krasińskiego w Opinogórze. Stanie on w pobliżu grobów rodziny Krasińskich. Budowa tego pomnika też nie budzi żadnych zastrzeżeń.

Mam nadzieję, że żadnych zastrzeżeń nie wzbudzi idea budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”. Wzbudzi natomiast może i powinna szeroką dyskusję. Budowanie tego rodzaju pomników zawsze rodzi emocje. Lepiej byłoby, gdyby powstały one, rozgorzały i wypały się przed podjęciem ostatecznych decyzji. Ot, choćby sprawa lokalizacji tego pomnika, chociaż wstępnie rozpatrywana wzbudziła żywe zainteresowanie.

Jak wiadomo dowództwo Armii „Łódź” stacjonowało w Łodzi na Julianowie i pierwsza myśl, jaka zrodziła się w sprawie umiejscowienia pomnika, w Julianowskim parku im. Adama Mickiewicza go lokuje. Ale na przykład Tadeusz Chróścielewski, który jest członkiem Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”, oponuje przeciw takiej propozycji. Uważa, że przy okazji budowy pomnika zniszczą się wiele zieleni, a o nią powinniśmy troszczyć się przede wszystkim.

Proponuje się postawienie tego pomnika na Bałuckim Rynku, przy zbiegu ulic Łagiewnickiej i Inflanckiej, przy zbiegu ulic: Zgierskiej i alei Władysława Sikorskiego albo na osiedlu Radogoszcz Wschód. Ryszard Porządkowski, który plany lokalizacji pomnika ujawnił na łamach „Głosu Robotniczego”, otrzymał wiele listów, w których padała nowa propozycja: plac Niepodległości. Większość autorów tych listów opowiada się jednak za parkiem im. Adama Mickiewicza.

Na ostatnim posiedzeniu Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź” głosowało przeciw ograniczeniu się tylko do łódzkich projektantów i wykonawców. Powodem takiego ograniczenia są skromne pieniądze, jakimi spodziewa się dysponować Komitet Budowy. Uważam jednak, że budowa takiego pomnika wymaga konkursu ogólnopolskiego. Zgłoszone projekty powinny znaleźć się na wystawie i być przedmiotem społecznej debaty. Niech się ludzie wypowiedzą, niech się wypalą emocje. Decyzję trzeba podjąć na zimno. Projekt pomnika musi znaleźć społeczną akceptację. Musi szybko wzrosnąć w panoramę miasta. Ludzie muszą go polubić i uważać za coś normalnego, co nikogo nie razi, nie budzi sprzeciwu. Osiągnąć taki cel nie będzie łatwo. I trzeba już dziś — u zarania prac — zdawać sobie z tego do końca sprawę.

Ledwie wspomnieliśmy w „Odgłosach” o budowie pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź” a już przysłał list Bolesław Rachalewski, żołnierz 10 Dywizji Piechoty, która wchodziła w skład Armii „Łódź”. Mam zamiar szerzej napisać o tej Armii, ale zanim to uczynię muszę sprostować kilka błędów, które wkładły się do listu Bolesława Rachalewskiego. Jest prawda, że generałowi Juliuszowi Rómmelowi więcej obiecywano niż we wrześniu 1939 roku otrzymał. Miał otrzymać 5 dywizji piechoty: 10, 12, 22, 23 i 30, a nie jak pisze Bolesław Rachalewski: 9, 10, 24, 29 i 30. Otrzymał 3 dywizje: 10, 28 i 30 oraz 2 września 1939 roku doszła do składu Armii „Łódź” 2 DP.

Miał otrzymać 2 brygady kawalerii: Kresową i Podolską, a nie jak pisze Bolesław Rachalewski: Wileńską i Podolską. Otrzymał natomiast Wołyńską Brygadę Kawalerii, której pułki stoczyły zwycięski bój z niemiecką dywizją pancerną pod Mokram, a czwartego dnia wojny doszła do składu Armii „Łódź” Kresowa Brygada Kawalerii.

Gen. Juliusz Rómmel nie otrzymał poza tym: 6 pułku artylerii ciężkiej, zmotoryzowanego dywizjonu artylerii ciężkiej, 3 batalionu ckm, kompanii zmotoryzowanej artylerii przeciwpancernej, dywizjonu artylerii przeciwlotniczej. Ograniczona ilość artylerii przeciwlotniczej posiadała 28 i 30 DP oraz Wołyńska Brygada Kawalerii. Już choćby z tego było widać, że — jak to później napisał gen. Juliusz Rómmel — „zadanie stawiane armii „Łódź” przerastało jej możliwości”. Ale żołnierze tej armii bili się mężnie i wielu z nich oddało swe życie w obronie Polski. Należy się im pomnik mimo że wiele małych pomników rozsianych jest po ziemiach sieradzkich, wieluśkie, łódzkiej, nad Wartą i Widawką. A i Warszawy dzielnie bronili żołnierze tej armii.

Zdaniem Bolesława Rachalewskiego pomnik powinien ograniczyć się do postaci „żołnierza w hełmie, z karabinem, plecakiem, ładownicami, łopatką saperską, chlebakiem. Żołnierza, który nie jadł, nie pił i nie spał, przemierzał dziennie 30 km i walczył w odwrocie. Żołnierza, którego gaszenie niemieckich czołgów razem z działem wgniatały w ziemię”. Na pomniku powinien być napis: „Dla Ciebie Polsko i dla Twojej Chwały — Żołnierzom Armii „Łódź” — Mieszkańcy Łodzi”.

Ale jak znam życie zaraz odezwą się saperzy, artylerzyści, lotnicy, kawalerzyści, strzelcy komi i inni, że dlaczego ich ma symbolizować plechur? No i zacznie się. Dlatego właśnie uważam, że wszystkie te pretensje powinny wypaść się w szerokiej, społecznej dyskusji, aby mógł powstać pomnik na miarę wojennego trudu i poświęcenia żołnierzy Armii „Łódź” i aby ich potomni byli dumni z tego, aby ten pomnik polubił.

Łódź jest uboga w pomniki, tym trudniej będzie wybudować pomnik, który zadowoliliby większość oczekiwani. Ale zrobić to trzeba. Dlatego jestem za burzliwymi dyskusjami przed podjęciem decyzji. Im więcej przedyskutujemy, tym będzie lepiej dla przyszłego pomnika.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PS. Proponuję wydanie monografii Jana Wróblewskiego „Armia Łódź 1939”, którą w 1975 roku wydał MON. Część dochodu z tej książki mogłaby wspomóc społeczną kasę budowy. Czuję się też w obowiązku — na prośbę organizatorów budowy pomników, o których wspominałem — podać konto budowy pomnika Gabriela Narutowicza: 1658—7009-132 XV Oddział PKO w Warszawie, z dopiskiem: na rzecz budowy pomnika G. Narutowicza i konto budowy pomnika Zygmunta Krasińskiego: PKO Oddział Ciechanów nr 13518-9540-132.

L. W.

Krajobraz po strajku

Kiedyś, kiedy kopalnia w Bełchatowie (właściwie w Rogowcu) była w rozruchu, czy, jak kto chce, w budowie, na mieszkaniach czekało się krótko, albo nie czekało się wcale, bo mieszkania czekały na chętnych. Dziś sytuacja się zmieniła diametralnie — budownictwo mieszkaniowe nie nadąża za potrzebami. No i kaucja wzrosła niepomniernie.

I choć na pierwszy rzut oka wydaje się, że zarobki tu są spore, trzeba jednak brać pod uwagę i to, że ludzie pracują w systemie 4-brygadowym. Człowiek o najniższych kwalifikacjach otrzymuje (otrzymywał do przedwczoraj) 51 tys. zł, a operator kopalni, a więc fachowiec o wysokich umiejętnościach — 85 tys. zł. Teraz wszyscy mają o te 21 tysięcy więcej. Nie jest też łatwo ustalić kto jest pracownikiem fizycznym, a kto umysłowym. W KWB „Bełchatów” maszynista siedzący w hali maszyn jest sklasyfikowany jako pracownik umysłowy, a technik pracujący na maszynach — to stanowisko fizyczne.

Sprawa uregulowania zarobków nie jest więc w kopalni nowa. 19 stycznia 1989 r. (z mocą wsteczną czyli od 1 stycznia br.) zostało podpisane porozumienie pomiędzy Federacją Związków Zawodowych Górników i Federacją Związków Zawodowych Górników Węgla Brunatnego a Wschodnią Energetyką. Stworzyło to możliwość zmiany tabel zasługowania, a także korzystniejszego opłacania pracy w godzinach nadliczbowych, w wolne soboty, niedziele i święta. Oczywiście, nowe podwyżki byłyby zróżnicowane w zależności od grup osobistego zasługowania. Kwota wolna od podatku na ten cel wynosiła 18 tys. zł na osobę. (Różnica podwyżek — pamiętając o różnicy zasługowań — wynosiłaby od 10.500 do 30.000 zł).

3.

Nie wszystkich powyższe ustalenia zadowoliły. Niektórzy uważali, że wprowadzenie ich w życie trwa zbyt długo. 26 stycznia 1989 r. na terenie KWB zawiązał się Komitet Negocjacyjny, który na wiecu w Warsztatach Naprawczych w Imieniu części pracowników przedstawił dyrekcji 14 postulatów:

1. Zadamy podwyżki plac w wysokości 30.000 — na osobę w formie rekompensaty na podwyżki cen dla wszystkich pracowników KWB.

2. Wyciąć porozumienie placowe zawarte pomiędzy

broniono kolorowania przez Główny Urząd Sanitarny.

12. Wszystkie nagrody i premie wywieszać na tablicy ogłoszeń do publicznej wiadomości.

13. Na przyszłość podawać średnią zarobków dla pracowników umysłowych, dla systemu i dla I zmiany.

14. Poprawa warunków bhp w oddz. „mw-1”, „ws-5” — wentylacja, „en-1” — hałas.

Na postulaty odpowiedział piśmiennie dyrektor Stanisław Drozdowski i lutego 1989 r., apelując jednocześnie do całej załogi kopalni o rozwagę w podejmowaniu dalszych decyzji i obiektywną ocenę podanych przez Komitet Negocjacyjny NSZZ „Solidarność” przy KWB jej postulatów.

W tym miejscu wypada oświadczyć, że kilka dyrektorów nie odpowiedziało. Otóż najważniejszym był punkt 1. Dyrektor pisał:

„Wypłacanie wszystkim po równo” jest zaprzeczeniem zasady reprezentowanej przez ogół społeczeństwa, aby placą była odzwierciedleniem kwalifikacji, wkładu pracy, zaangażowania zawodowego itp. Taki rozdział zacięci całkowicie motywację do pracy i podnoszenie kwalifikacji, jak również doprowadzi do spłaszczenia wynagrodzeń”.

Od dawna bowiem wiadomo, że hasło „wszyscy mamy jednakowe żółdki” jest nieprawdą, jak nieprawdą jest stwierdzenie, że ludzie mają jednakowe potrzeby życiowe. Kolejnym ważnym postulatem był punkt 2. Odpowiedź dyrektora:

„Porozumienie branzowe w sprawie systemu wynagrodzenia w przemyśle węgla brunatnego zostało zawarte pomiędzy Dyrektorem Generalnym Wspólnoty Energetyki i Węgla Brunatnego a Federacją Związków Zawodowych Górników i Federacją Związków Zawodowych Górników Węgla Brunatnego, a nie między NSZZPG KWB „Bełchatów” a ministrem przemysłu. Porozumienie zostało opracowane w oparciu o liczne wnioski i postulaty załóg poszczególnych kopalń i zakładów min. o wnioski i postulaty zgłoszone w kopalni „Bełchatów”, w tym również wnioski zgłoszone w 1988 r.

4 ODGŁOSY

NR 9 (1613), 26 LUTEGO 1989 R.

Niedawno publikowaliśmy na łamach „Odgłosów” (nr 4, 5 i 8) cykl artykułów Jacka Wilamowskiego i Jana Babińskiego w sprawie masowego mordu na tysiącach oficerów polskich w Katyniu. Bardzo interesujący materiał na ten temat ukazał się w tygodniku „ODRODZENIE” (nr 7). Jest to obszerny raport Kazimierza Skarżyńskiego, który w latach wojny był sekretarzem generalnym Polskiego Czerwonego Krzyża. Tekst dokumentu odnalazł prof. Włodzimierz T. Kowalski w archiwum brytyjskim w Londynie.

W słowie wstępnym prof. W.T. Kowalski zaznacza, że autentycznym raportu nie budzi wątpliwości. Kazimierz Skarżyński przedstawił w czerwcu 1943 roku poufne sprawozdanie Zarządowi Głównemu PCK. Maszynopis sporządzono w jednym egzemplarzu. W czerwcu 1945 r. autor przekazał swój raport ambasadzie brytyjskiej. Anglicy potraktowali ten dokument jako supertajny. Dlatego nie był dotąd znany ani w kraju, ani za granicą. Ze względów politycznych trzymano go z dala od polskich władz emigracyjnych.

W najnowszym wydaniu „Odrodzenia” raport z Katynia zajmuje prawie cztery strony. Redakcja nasza ze względu na brak miejsca postanowiła przedrukować tylko obszerne fragmenty. Zachowano pisownię zgodną z oryginałem.

E.L.
„Dnia 9-go kwietnia 1943 r. Prezes Polskiego Czerwonego Krzyża, p. Wacław Lachert, został zawiadomiony telefonicznie przez dr. Heinricha, delegata Rządu tzw. Generalnej Gubernii, przy Polskim Czerwonym Krzyżu, że ma natychmiast przybyć na konferencję do Pałacu Brühla, bez podania tematu tej konferencji. Prezes odmówił przybycia natychmiastowego, oznajmiając, że może stawić się w ciągu godziny, na co otrzymał odpowiedź, że będzie to za późno i że wobec tego treść tej konferencji będzie mu zakomunikowana później. Rzeczywiście, tegoż dnia o godzinie 18-tej, dr. Heinrich zatelefonował do p. Prezesa, że zdecydowane zostało wysłanie delegacji w okolice Smoleńska dla obejrzenia grobów oficerów polskich, pomordowanych przez władze bolszewickie; wymieniał on przytem osoby, które mają wziąć udział w delegacji, a więc: literaci pp. Goetel i Skiwski, przedstawiciel R.G.O. (Rady Główniej Opiekunów) — przyp. wydawcy dr. Grodzki, dr. Orzechowski z Zarządu Miejskiego i inni, zaznaczając, że dla Prezesa PCK zarezerwowane jest miejsce w samolocie, który następnego dnia, o godz. 8-ej rano ma odlecieć do Smoleńska. Prezes Lachert bezwarunkowo odmówił wzięcia udziału w delegacji osobistej, jak też w imieniu pozostałych członków Prezydium Zarządu Głównego PCK, ze względu na jej wyraźny propagandowy charakter.

Okazało się, że na konferencji w Pałacu Brühla, na którą byli wezwani wyżej wymienieni, oraz przedstawiciel Kurii Biskupiej, przemawiał przedstawiciel Propagandy Niemieckiej, który szeroko rozwodził się nad możliwościami porozumienia polsko-niemieckiego pod hasłem obrony Europy przed bolszewizmem, zakomunikował zebrany o odkryciu mogił Katyńskich i o zdecydowanym wyjeździe delegacji na miejsce. Przedstawiciel Kurii odmówił również wzięcia udziału w delegacji.

Nowy ton w przemówieniu delegata Propagandy i okoliczności towarzyszące wysłaniu delegacji do Smoleńska, wskazywały wyraźnie na to, że władze niemieckie dążą, będą do wciągnięcia PCK w orbitę czynników współdziałających w akcji zamierzonej i w rozpowszechnienie propagandy. Wyrażnym było również już wówczas, że mord Katyński, wykorzystany przez Niemców, musi wyrosnąć na obiekt propagandy w wielkim stylu mającej służyć celom politycznym i mogącej stworzyć nieprzewidziane trudności Rządowi Polskiemu. Sprawy te były w ciągu paru następnych dni, podczas czekania na dalszy rozwój wypadków, nieustannym tematem rozmów w łonie Zarządu Głównego PCK. (...)

1.

Przybywszy dopiero dnia 15-go kwietnia do Smoleńska, mogłem skonstatować, że opieka i kierownictwo prac przy grobach oficerów polskich spoczywa w rękach dowódcy miejscowej kompanii propagandy (Aktivpropagandakompanie) por. Slovenzika. Oddział ten, dowodzony przez oficerów frontowych (wymieniony porucznik oraz jego zastępca por. von Arndt), posiada ogólne cechy mentalności wojskowej, lecz nosi jednocześnie specyficzny charakter ekspozytury urzędu p. Goebelsa, o nastawieniu wybitnie narodowosocjalistycznym. Zmuszało to nas do specjalnej ostrożności.

Wieczorem, dnia 15 kwietnia, por. Slovenzik, po posiłku w kantine kompanii, w obszernym przemówieniu zdał nam relację z dotychczasowego wyniku prac nad mogiłą. Według jego na wstępie wypowiedzianego zdania, oficerowie polscy dostali się do rąk bolszewickich na skutek tego, że Rzesza, zawojowawszy we wrześniu 1939 r. całą Rzeczpospolitą, część zdobytego terytorium odstąpiła Rosji! Dowodził on dalej, że do wiadomości jego kompanii doszło, że 15 km od Smoleńska, a 4 od stacji Gniezdowo, w miejscowości Katyn, uroczyszczy Kozie Góry, w miejscu, gdzie robotnicy polscy na wiosnę 1942 r. na zasadzie rozmów z miejscową ludnością, wykopalili dół i znaleźli zwłoki wojskowych polskich postawili dwa brzoźowe krzyże — powinien znajdować się masowy grób zamordowanych przez urzędników GPU oficerów polskich. Podjęte prace doprowadziły do wykrycia paru masowych grobów, zawierających warstwy umieszczone zwłoki wojskowych polskich.

Okazało się, mówił dalej por. Slovenzik, że groby położone w lasu sosnowym (rzadkie sosny w wieku 20—30 lat), znajdują się w obrębie terenu otoczonego drutem kolczastym, który był niedostępny dla ludności od 1934 r. Na obszernej terenie tym znajduje się willa, czy pałacyk, który służył jako miejsce letniskowe dla wyższych urzędników NKWD ze Smoleńska. Tam też odbywały się rzekomo od lat liczne egzekucje ludności rosyjskiej. Badana miejscowa ludność (kolejarze ze stacji Gniezdowo i chłopcy) zeznali, że od początku marca, do drugiego połowy kwietnia 1940 r. przybywały na stację Gniezdowo okratowane wagony aresztantów z polskimi oficerami w ilości 2—3 wagonów dziennie. Oficerowie byli ładowani na samochody, które wjeżdżały w zadrutowany teren... Jeden ze świadków zeznał, że dochodziły

do jego chałupy codziennie odgłosy wielu pojedynczych strzałów i krzyków.

Odbitki fotograficzne zeznał 3 czy 4 chłopów rosyjskich zostali nam jednocześnie pokazane. Rozmowy członków naszej Komisji, przeprowadzone w ciągu następnych paru tygodni z miejscową ludnością, potwierdziły prawdziwość tych twierdzeń. (...)

Nazajutrz, dnia 16 kwietnia, o godz. 9-ej rano byliśmy na miejscu. Lasek znajduje się o kilka metrów od szosy, nad grobami rozpięte były wielkie sztandary Czerwonoarmiejskie. Na polance między grobami leżały trupy dotychczas ekszhumowane, naszych oficerów. Wątpliwości nie podlegało, że mamy do czynienia z egzekucją masową, wykonaną wprawna ręką katowską. Wszystkie zwłoki, które oglądałem, miały bez wyjątku ranę wejściową kuli rewolwerowej na potylicy, wyjściową — w czole. Jedynity charakter ran i kierunek postrzałów wydawał się wskazywać na to, że strzały oddawane były z ręcznej broni, z najbliższej odległości, do oficerów w postaci stojącej. Część zwłok miała związane z tyłu mocno sznurem ręce, prawdopodobnie byli to ci, którzy się bronili. Mundury polskie, odznaki, szarże, dekoracje, znaczki pułkowe, spodnie i buty — były dobrze zachowane pomimo kontaktu z ziemią i rozkładem. W głębi wykopanych głębokich jam znajdowały się dalsze warstwy trupów i sterczały z piasku cze-

Raport z Katynia

repy, nogi, ręce lub plecy, wśród ilości trupów uderzał poważny stosunek wyższych rang (majorowie, podpułkownicy). Oglądałem również zwłoki dwóch generałów, zidentyfikowanych jako Gen. Smorawiński i Bohatyrowicz. Odznaki generalskie i lampasy na spodniach stwierdzały ich rangę. Na miejscu między starszymi żołnierzami wyrosły od czasu mordu, zdaniem moim, drogą samosiewu sosniki, które podobno wskazują na to, że egzekucje musiały mieć miejsce wiosną 1940 r. Podobno fachowiec leśnik stwierdził ten sam wiek sosen, również na zasadzie korzeni. Sosenki, które rosły nad grobami nie widziałem, gdyż groby były już otwarte.

Jeżeli chodzi o ilość trupów we wspólnych mogiłach, miałem wrażenie, że cyfra 10—12 tysięcy, podana przez oficerów niemieckich, jest mocno przesadzona.

Po odbyciu krótkiej modlitwy i udzieleniu błogosławieństwa przez Ks. Jasińskiego, udaliśmy się samochodem do odległego o 6 km biura. Na wyjeździe z lasu odmówiłem kategorycznie i parokrotnie przemówienia do mikrofonu. (...)

2.

Samodzielną pracę PCK w lasu Katyńskim była wręcz niemożliwa. Podejmując się pracy ekshumacyjnej tych rozmiarów za granicą Polski, w państwie obcym; spustoszoną przez wojnę i okupowaną przez naszych wrogów, i do tego w pasie przyfrontowym (Smoleńsk jest obecnie oddalony od frontu tylko o 30—40 km), — PCK mógł myśleć tylko o pracy opartej na pomocy armii niemieckiej. Sprawa nie była inaczej ani technicznie, ani finansowo do pokonania. Należy również pamiętać, że w sprawie Katyńskiej, jak zresztą w wielu innych, cele polityki niemieckiej i cele PCK najzupełniej się rozchodziły. Dążeniem PCK było, aby zwłoki oficerów polskich po przeprowadzeniu ciężkich i skomplikowanych manipulacji ekshumacyjnych i identyfikacyjnych, jak najprędzej spoczęły w nowych mogiłach. Władzom niemieckim zaś chodziło jedynie o propagandę. (...)

Hałaśliwa propaganda niemiecka, która rozpoczęła się już dookoła sprawy Katynia, nie cofnęła się przed okrutnymi formami zawiadomienia rodzin ofiar w miarę postępu prac ekshumacyjnych. Megafony uliczne zaczęły o oznaczonych godzinach podawać nazwiska identyfikowanych. Wiadomości te elektryzowały społeczeństwo; przed megafonami, na które zwykle mało zwraca uwagę publiczność warszawska, gromadziły się tłumy, powtarzały się podobno wypadki omdleń kobiet na ulicy, po usłyszeniu nazwiska męża, lub syna. Jednocześnie prasa niemiecka, wychodząca w języku polskim podchwyciła okazję podwyższenia swego nakładu i zaczęła publikować listy ofiar, małeimi dziennymi grupami nazwisk, tak zredagowane, że czytelnik musiał odnieść wrażenie, że publikacje te pochodzą od PCK. Tomaczone z niemieckiego nazwiska polskie były przytem często kaleczące, wywołując tragiczne nieraz dla rodzin nieporozumienia.

Ogłaszanie list ofiar przez megafony zostało dzięki interwencji Pol. Czerwonego Krzyża zaraz wstrzymane. Był to niestety jedyny sukces PCK w tej dziedzinie.

Wielokrotne interwencje PCK, aby spisy ofiar nie były zamieszczane w gazetach, a zawiadomienie rodzin dokonywane wyłącznie przez PCK — nie odniosło skutku. Przyznano nam zasadniczą rację, oburzano się na publikację, podsygnało się pod PCK, obiecywano je wstrzymać, ale... nie zrobiono nic. (...)

3.

Sprawa dokumentów i w ogóle depozytów po zamordowanych znajduje się dotychczas całkowicie poza sferą odpowiedzialności PCK. Władze wojskowe w Smoleńsku na samym początku zakomunikowały, że dokumenty będą oddane dopiero po ich wykorzystaniu przez Naczelnego Dowództwa. Propaganda niemiecka wiele sobie z tych dokumentów obiecywała. Wartość ich pod tym kątem widzenia wydaje się problematyczna. Dla narodu polskiego przedstawia ona bezcenny skarb, jak uczuciowo, tak i historycznie. Pamiętniki, przeważnie w formie codzien-

nych, lakonicznych zapisek w kalendarzykach kieszonek, stwierdzają gehennę „naszych oficerów od rozpoczęcia działań wojennych, aż do Kozielecka i... Katynia. Ze słów por. Slovenzika wynika, że zapiski te potwierdzają, że duch oficerów nie został złamany, że zostali oni dobrymi Polakami do końca i może dlatego właśnie znaleźli wspólną śmierć męczeńską w dolach Katynia.

Zasadniczo członkowie Komisji, zajęci wyszukiwaniem dokumentów przy zwłokach, nie mieli prawa przeglądania ich. Otwieranie kopert w biurze odbywało się wprawdzie w obecności członków komisji PCK ale tempo pracy pozwalało tylko na pobieżne i urywkowe zaznajamianie się z takowymi. Będzie zresztą o tym mowa w rozdziale, dotyczącym się przebiegu pracy Komisji na miejscu. (...)

Z pamiętników odczytanych przez członków Komisji Technicznej PCK, notatka najbardziej prawdopodobnie zbliżona do chwili mordu, znajdowała przy zwłokach mjr. Solskiego, pod datą 9.VI.1940 r. Brzmi ona dosłownie jak następuje:

„Grupa oficerów polskich z Kozielecka przybyła do Smoleńska, godz. 3.30 rano. Parę minut przed 5-tą zrobili pobudkę, wsadzili nas do aut więziennych, gdzie byli celki (straszne), w każdej była „traż. Przyjechaliśmy do lasu, wyglą-

dającego na letnisko, gdzie odebrali nam obrączki, zegarek na którym była godzina 6.30 (8.30), oprócz tego pasy i szczyrki. Co z nami będzie...?”

Śmiertelny strzał prawdopodobnie w kilka chwil potem zakończył życie mjr. Solskiego. (...)

4.

Ze względu na odległość, jaka dzieli Katyn od Smoleńska (14 km), jako też brak środków komunikacji, członkowie Komisji Technicznej zostali zakwaterowani w oddzielnym baraku we wsi Katyn, maj. Borek, niezłym przed wojną 1914—1918 od p. Leonckiego, odległym o 3,5 km od Kozien Górz, w którym pomierowani zostali oficerowie polscy. W tym czasie znajdował się tam szpital polowy organizacji łódzkiej. W majątku tym członkowie Komisji Technicznej przebywali od dnia 15 kwietnia do 20-go maja 1943 r., a od 20-go maja do 1-go czerwca 1943 r. zakwaterowani zostali w lokalu szkoły wiejskiej przy stacji Katyn. Sprawa wyżywienia członków Komisji została z por. Slovenzikiem rozwiązana w ten sposób, że całodziennie jedzenie otrzymywano na miejscu z kasyna oficerskiego organizacji łódzkiej, przy czym przydzielano racje wydawane oddziałom przyfrontowym. Należy tu nadmienić, że wyżywienie członków Komisji było dostateczne.

Wobec braku odpowiednich pomieszczeń w lesie, praca przy wyjmowaniu, badaniu dokumentów musiała być z konieczności podzielona w ten sposób, że: wyjmowanie dokumentów oraz ponowne grzebanie zwłok dokonywane było na miejscu, tj. w lesie Katyńskim, przedwstępne badanie zaś dokumentów odbywało się w lokalu Sekretariatu Policji Tajnej, odległego o 6 km od lasu Katyńskiego w kierunku Smoleńska.

Por. Slovenzik uważał, że PCK powinien przysłać do Katynia swoje własne środki komunikacji. Po wyjaśnieniu, że wszystkie samochody PCK dawno zarekwirowano, sprawę komunikacji rozwieszano następująco:

a) dla przybycia do lasu Katyńskiego, odległego o 3,5 km od miejsca zakwaterowania, dozwolonym było zatrzymywanie samochodów wojskowych na szosie. To samo dotyczyło powrotu.

b) Dla przybycia do Biura Sekretariatu Policji Tajnej, odległego o 10 km przysłano motocykli. (...)

Komisja stwierdza, że wydobywanie zwłok połączone było z wielkimi trudnościami, gdyż były one mocno sprasowane, chaotycznie porzucone do dołów, część z rękami powiązanymi do tyłu i część ze zdjętymi i narzuconymi płaszczami na głowę, przy czym płaszcze związane były na szyi sznurkiem, ręce zaś związane do tyłu i również przywiązane sznurkiem, który przytwierdzony był do sznurka ściągającego płaszcz na szyi. Tak skrepowane zwłoki znajdowały się głównie w specjalnym jednym dole, zalanym podskorną wodą, z którego wydobyto wyłącznie przez członków Komisji PCK 46 ofiar. Władze wojskowe niemieckie, z uwagi na ciężkie warunki przy tego rodzaju wydobywaniu, chciały w ogóle dół ten zasypać. W jednym zaś tylko z dołów znaleziono zwłoki w liczbie około 600, ułożone równomiernie warstwami, twarzą do ziemi.

Wielką trudność sprawiał brak dostatecznej ilości rękawic gumowych. Wydobywanie zwłok wykonywane było przez okolicznych mieszkańców, którzy rekwirowani byli przez władze niemieckie.

Wyniesione na noszach z dołów zwłoki, układano kolejno obok siebie i przystępowano do odnawiania dokumentów w ten sposób, że każde zwłoki w obecności jednego członka Komisji PCK i przez 2 robotników były osobno przeszukiwane. Robotnicy rozcinali wszystkie kieszenie, wydobywali zawartość, wręczając wszystkie znalezione rzeczy członkowi Komisji PCK. Zarówno dokumenty, jak i ewent. znalezione przedmioty wkładano do kopert, oznaczonych kolejnym numerem, przy czym ten sam numer wybity na blaszce przyczepiony był do zwłok. Celem dokładniejszego i szczegółowego

wyszukania dokumentów, rozcinano nawet bieliznę i buty. W wypadku nieznaalezienia żadnych dokumentów, czy też pamiętek, wycinano monogramy (o ile takowe były) z ubrania czy też z bielizny. (...)

6.

Podczas prac Komisji Technicznej PCK w lesie Katyńskim w czasie od 15 kwietnia do 7 czerwca 1943 r. ekshumowano ogółem 4243 zwłoki, z których 4233 wydobyto z 7-miu dołów znajdujących się w małych odległościach od siebie, a odkopanych w marcu 1943 r. przez wojskowe władze niemieckie. Z powyższych 7-miu dołów wydobyto wszystkie zwłoki.

Osmy dół położony w odległości mniej więcej 200 mtr. na południe od pierwszej grupy dołów, znaleziony został w dniu 2-go czerwca 1943 r. i wydobyto zeń tylko 10 zwłok. Pochowane one zostały w otwartej jeszcze wówczas VI-ej bratniej mogile. Z uwagi na porę letnią — władze niemieckie zarządziły przerwę w pracach ekshumacyjnych do września 1943 r., wobec czego 8-mi dół, po wydobywaniu wyżej wymienionych, został zasypany.

Bardzo staranne i na całym terenie przeprowadzone sondowania przez Niemców, którym zależało na tym, aby głoszona przez propagandę cyfra 12.000 zwłok nie odbiegała zbyt daleko od rzeczywistości, pozwalała przypuszczać, że więcej dołów już nie będzie. W dole 8-ym, sądząc po jego badanych rozmiarach, ilość zwłok nie powinna przekraczać paru set. Te sondowania terenów odkryły szereg masowych grobów Rosjan w różnym stanie rozkładu trupów, aż do szkieletów włącznie.

Ogólna liczba ekshumowanych zwłok w ilości 4241 została pochowana w sześciu nowych bratnich mogiłach, wykopanych w bliskości dołów mordu. Zwłoki 2-ech generałów pochowano w oddzielnym pojedynczych grobach. Mogiły położone są na terenie wygórowanym, suchym i piaszczystym. Teren z dwóch stron bratnich mogił jest niski i mokry. Wielkość i głębokość poszczególnych mogił nie jest jednakowa, a to ze względu na warunki terenowe i trudności techniczne powstające podczas pracy. Dłwa wszystkich mogił są zupełnie suche i każda mogiła w zależności od wielkości i głębokości, zawiera po kilka szeregów zwłok, a każdy szereg po kilka warstw. Główne warstwy układane były co najmniej na głębokości 1-go metra poniżej terenu tak, że po zasypaniu mogił na 1 metr powyżej terenu otaczającego górne warstwy zwłok są przysypane dwumetrową warstwą ziemi. Wszystkie mogiły są uformowane płasko, mają jednakową wysokość i odornowane pokł.

Nad każdą bratnią mogiłą ustawiono grewniany, nieomawiany krzyż, wysokości 2 i pół metra, a po każdym posadzone trocne kwiaty iestny. Na wierzchu każdej bratniej mogiły zrobiony jest duży krzyż z darni. Mogiły są numerowane w kolejności ich powstawania, celem utrzymania kolejności numerów ewidencyjnych, grzeoanych zwłok. (...)

6.

Reasumując powyższe Komisja stwierdza, że: 1) wydobyte zwłoki z dołów znajdowały się w stanie rozkładu, a więc rozpoznanie było wręcz niemożliwe. Natomiast mundury utrzymały się dość dobrze, zwłaszcza wszelkie części metalowe jak dystynkcje, odznaczenia, orzelki, guziki itp;

2) powodem śmierci był strzał, skierowany w okolicę podstawy czaszki;

3) z dokumentów znalezionych przy zwłokach wynika, że mord miał miejsce w czasie od końca marca do początku maja 1940 r;

4) praca w Katyniu odbywała się pod stałą kontrolą władz niemieckich, które przyznawały posterunek do każdej grupy członków Komisji pracujących;

5) całość pracy wykonana została przez członków Komisji Technicznej PCK, władz niemieckich i mieszkańców okolicznych wsi, których liczba przeciętnie wynosiła dziennie od 20—30 osób. Przystylani również jeńcy bolszewicy w liczbie 50 dziennie zatrudniani byli wyłącznie przy kopaniu, zasypywaniu mogił i plantowaniu terenu; (...)

Z kul wydobytych ze zwłok oficerów, oraz z łusek znalezionych w piasku, można stwierdzić, że strzały były zadawane z broni krótkiej kal. 7,65 mm. Wydają się one być pochodzenia niemieckiego. Z obawy, aby bolszewicy nie wykorzystali tej okoliczności, władze niemieckie zaczęły śledzić zatem, aby żadna kula, ani łuska nie została schowana przez członków Komisji PCK. Zarządzenie to było naiwne i dopinawanie niewykonalne: zresztą zaufani urzędnicy NKWD wykonujący mord Katyński, mogli mieć broń krótką wszelkiego pochodzenia.

Dotychczas Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża nie otrzymał wyniku prac badania zwłok w Katyniu przez dr. Wodzińskiego. Z jego raportu po wydobywaniu pierwszych 1700 zwłok wynika, że pomimo rozkładu gnilnego, polegającego w górnych warstwach zwłok, dzięki terenowi piaszczysto-glinkowatemu, na częściowej mumifikacji w głębszych zaś na tak zwanym przeobrażeniu tłuszczowo-woskowym, udało się w 98 proc. wypadków stwierdzić postrzał czaszki z wiotem w okolicy potylicy, wiotem zaś na czole, szczycie czaszki lub twarzy, w 0,4 proc. podwójny postrzał czaszki z tyłu, w 1,5 proc. przypadków postrzał szyi.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa cyfry wyników ostatecznych nie będą daleko odbiegały od powyższych. Godna uwagi będą dane o ilości zwłok ze związanymi sznurkami rękami i szyją oraz ilość zakutych bagietami”.

Przedstawiliśmy powyżej obszerny skrót dokumentu, który w całości ukazał się na łamach „Odrodzenia” i Czytelników zainteresowanych problemem odsyłamy do pełnego tekstu raportu.

1.

Ulotka głosi:

„OBYWATELE! MIESZKANCY ŁODZI I OKOLIC! ARTYSCI I KOBIETY! DEKADENCI, TANCERZE BREAKDANCE I CZŁONKOWIE PARTII, ZBLAZOWANI OPOZYCYJNISCIIII! KSIĘŻA, BISKUPI, AKTYWIŚCI ORMO, NARKOMANI I CYRKOWCY!!!

Zbliża się 13 grudnia. W tym roku podobnie jak w latach poprzednich będzie to dzień pełen słońca i radości. Siędem lat temu dzień ten stał się ogólnopolskim testem sprawności i dzielności naszej kochanej Milicji Obywatelskiej. Chcemy uczcić ten fakt kosmicznym pomysłem — ogłoszając 13 XII

DNIEM SOLIDARNOSCI Z MILICJA OBYWATELSKA

Aby przyłączyć się do tych uroczystości, należy:

— uzbroid się w czarne okulary lub inny sprzęt gaśniczy
— przyjść 13 XII pod Hortex na Piotrkowską. Instrukcja: spacerujemy w okularach spokojnie w tę i z powrotem, domagając się zatrzymania przez MO. Śmiało wchodzimy do przygotowanych dla nas „nysek” i „bud”, wręczamy funkcjonariuszom wcześniej przygotowane donosy na siebie i swoich znajomych oraz podania z prośbą o rewizję w naszych mieszkaniach. Dzieciom proszone są o zmysłowe rzucanie się ZOMOwcom na szyję. Pozdrawiamy ORGANY ŚCIGANIA wszak WSZYSTKIE ORGANY SĄ NASZE!
OBYWATELU! POMÓŻ MILICJI — POBIJ SIĘ SAM!!!

Precz z dyktaturą schematów, niech żyje spontaniczność!
GALERIA DZIAŁAŃ MANIAKALNYCH (Pomarańczowa Alternatywa Łódź)

P.S. Organizatorzy liczą na aktywne włączenie się batalionów ZOMO i zapewnienie niebieskiej scenografii naszej uroczystości.

Tyle ulotka. Organizatorzy przeliczyli się jednak. Siły porządkowe przechrztyły pomarańczowych i nie pojawiły się na happeningu. Komitet powitalny w strojach łowickich nie miał komu wręczyć soli i chleba.

2.

„Pomarańczowa Alternatywa” pojawiła się po raz pierwszy na ulicach Wrocławia z końcem 1987 r. Zorganizowała kilka akcji ulicznych (Powitanie Wiosny, Dzień Dziecka, Mikołaje, parodię manewrów wojskowych, próbną referendum, i inne) wywołując zdumienie i konsternację milicji, a sympatię połączoną jednak z pewną dezorientacją u przypadkowej publiczności.

Twórcą i głównym ideologiem „PA” jest Waldemar Frydrych, zwany Majorem, historyk i historyk sztuki z Wrocławia. On to wymyślił pojęcie Surrealistycznego Socjalizmu, które głosi, iż rzeczywistość jest tak absurdalna, że sama w sobie stanowi dzieło sztuki. W Gdańsku ukuto pojęcie „Sarmackiego Happeningu Użytecznego”, a Łódź lansuje „Nowy Ekspresjonizm Socjalizmu ZOMO ART”.

Twórcy „Pomarańczowej Alternatywy” mówią często o apolityczności swych działań. Oczywiście, o ile można być apolitycznym w naszym kraju, gdzie sprawa świeżych bułek i styczniowego śniegu należy do ważnych problemów politycznych. A co dopiero wyjście gromady ludzi na ulicę, nawet jeśli są poprzedzane: za krasnoludki lub Mikołaje. Skandowanie przez tłum hasła „Nie ma wolności bez krasnoludków” lub „Solidność zwycięży” jest dowcipnym dystansowaniem się wobec opozycji, a plansze z napisami „Jesteśmy za” i „Jesteśmy przed” parodiują dete niekiedy treści transparentów z oficjalnych pochodów.

Ludzie z „PA” mają gdzieś politykę: i tę oficjalną i tę opozycyjną. Po prostu nikt im niczego atrakcyjnego nie proponuje w swych programach. Sami więc sobie proponują zabawę, sztukę ulicy, radosne zdarzenia — happeningi. Major lansuje takie hasła: „Uśmiechnij się, bo jutro będzie porzeź”, „Proletariusze — bądźcie piękni”, „Polityka jest snem w puszczy”, „Najlepsze z nas to wszyscy”, „Intymność dla mas”. Już pojedynczy milicjant jest dziełem sztuki. W Dniu Milicjanta ułożyli we Wrocławiu wielki napis z kwiatów „MO”, dekorowali „nyski”, śpiewali „Sto lat”. Dowódca podziękował i solenizował odjechał. W Gdańsku demonstrowano pod hasłem „Wypuścić rybki z puszek”. Wszystko, ale nie polityka. Przynajmniej na razie. Bo i to może się zmienić. Ciśnienie jest zbyt duże. Polityka to kurwa — mówią znawcy — i może skusić każdego.

3.

Przed „Hortexem” tłum skanduje: „Gdzie jest milicja” i zaczyna śpiewać „Do zatrzymania jeden krok”. Skończywszy pieśń znów skanduje: „My chcemy do ciupy” i „ZOMO dla ludzi, ludzie dla ZOMO”. Pojawiają się postacie z napisami na plecach i plecach „Obiekt do zatrzymania”. W samym środku tłumy wielki transparent „Dzień solidarności z MO”. Znowu rozlegają się okrzyki: „Komisariat naszym domem” i „Niech żyje Milicja Obywatelska”. Z braku funkcjonariuszy uczestnicy happeningu legitymują się wzajemnie. Na pomniku Leona Schillera pojawia się tabliczka „Obiekt do zatrzymania”. Plac przy „Hortexie” zostaje ochrzczone jako Plac Pomarańczowy. Cała akcja trwa pół godziny, po czym wszyscy spokojnie rozchodzą się. Nie było interwencji milicji, a ustrój jakoś nie popękał.

4.

Plac przy „Hortexie” jest stałym miejscem akcji „Pomarańczowej Alternatywy” w Łodzi, tak jak ul. Świdnicka we Wrocławiu. Raz tylko, w Dzień Dziecka, trzeba było zmienić miejsce. Po zmyleniu pościgu, przeniesiono się na

Co robi i po co „Pomarańczowa Alternatywa”.

Wszystkiemu winne są krasnoludki

MAREK KOPROWSKI



dach kiosku „Ruchu” przy Domu Handlowym „Magda”.
Opowiada Skiba (Krzysztof) — szef łódzkiej edycji „Pomarańczowej Alternatywy”:

— Wystąpił: T.G. uzbrojony w beret, czerwony szalik w grochy oraz 4 kg cukierków, ja — czapka z pomponem, punkowe okulary, żółte kalesony, trąbka bojowa oraz 2 tony bibuły wydanej przez ZSMP, D.W. PS „Inwazja Potworów” otulona w transparent „Precz z czerwonymi kapturkami” i 12 kg bieżących bajek dla znerwicowanych dzieci. Na sygnał bojowy dany trąbką „ozwinięto transparent, wznoszono okrzyki „Dzieci nie bijcie swoich rodziców”, „Rodzice nie bijcie swoich dzieci”. Światu — pokój, dzieciom — mieszkania”. W rozdzielone paszeczki publiczności (ok. 1000 osób) wpadło 0,04 kwintalna cukierków, 2 rzygi bajek, 3 hektary bibuły. Na widok się szybkiego reagowania odśpiewano w rytmie bluesa starą indyjską pieśń popularną w krenach TPPR-u „Spój dziecko ma, późna pora dnia, księżyc nieknie świeci, policja nie lubi dzieci”, przytęta oklaskami publiczności.

Uczestnicy happeningu ochoczo rzucili się w ramiona stróżów porządku wymachując demonstracjami kwiatami otrzymanymi od publiczności. Dalszy ciąg przedstawienia miał miejsce w DUSW Łódź-Śródmieście. 48 godzin później Kolegium do spraw Wykroczeń oceniło występ na 120 tys. zł.

5.

„Happeningi „Pomarańczowej Alternatywy” to przełom w sztuce światowej. W sensie koncepcyjnym jest to nic więcej jak rozwinięcie idei happeningu interwencyjnego jednak w żadnym innym miejscu planety służby porządkowe nie biorą tak masowego udziału w akcjach pa-



rateatralnych jak zdarza się to w spektaklach PA. Happening jest rodzajem gry z pewną ilością niewiadomych, milicja podejmuje grę stając się automatycznie elementem akcji, zdarzenia, aktywnie współtworząc zagospodarowanie przestrzeni, tak więc MILICJA NIE JEST OBOJETNA SZTUCE, SZTUKA NIE JEST OBOJETNA MILICJI...
Cytat z pisma łódzkiej PA pt. „Przegląd Paly” nr 5, wydawanego przez Skibę.

6.

Następna akcja przed „Hortexem” zatytułowana była „Galopująca inflacja”. Oto relacja Skiby:

— Spotykamy się kilka przecznic przed Piotrkowską. Dziele się z ludźmi podartymi ubraniami niczym trudno dostępnym towarem konsumpcyjnym. Pojawiają się licealiści. Każdy z nich otrzymuje tabliczkę z napisem „Galopująca inflacja” oraz garść bilonu. Sprawdzamy czy działają gwizdki (...) Biegniemy. Kilkanastu „galopujących inflacji” pojawia się na Piotrkowskiej Gwizdki. Naprzeciw milicji nyski wyrasta transparent „Niech żyje kryzys”. Pojedyncze oklaski. Sypie się bilon. „Żadamy 2500 dolarów za jedną złotówkę!” — krzyczymy. Milicja zgodnie ze scenariuszem przystępuje do zdecydowania do działań antykryzysowych. Dwie „galopujące inflacje” lądują w garderobie mieszczącej się w dużym niebieskim samochodzie z napisem bocznym MO. Biegamy dalej. Milicja też lubi ruch. Kolejne „inflacje” zostają zatrzymane. Robi się optymistycznie. Tak szybko? Walka z kryzysem idzie jak z płatką. Pojawia się transparent „Żadamy byle czego” (...).

Wszystkie „inflacje” zatrzymane. Bravo chłopa! Naród odetchnie i rząd się ucieszy. Garderoby ruszają w kierunku hotelu WUSW

Śródmieście. Po trzech godzinach owocnych obrad toczonych w twórczej atmosferze daje się nam dyskretnie do zrozumienia, iż czas opuścić to szlachetne miejsce. Pokornie dziękujemy.

7.

Niedawno w Szkole Filmowej Pracownia Reportażu urządziła premierę filmu Mirosława Dębińskiego, dokumentu o „Pomarańczowej Alternatywie”. Autor jest studentem III roku reżyserii, a film powstał jako dokument na egzamin kończący drugi rok studiów. Już taki rodzaj prezentacji etiudy szkolnej jest ewenementem, tym bardziej, że na premierze zjechało kolorowe bractwo z całej Polski, a z Wrocławia grupa z Majorem na jej czele. Dokonał się nagle zjazd „Pomarańczowej Alternatywy” w Łodzi. Wchodząc na salę projekcyjną śpiewali chórem „Włazi kotek na płotek”, a po premierze była najbardziej nietypowa chyba lampka wina. Film został zakupiony na festiwal w Oberhausen przez jedną z organizatorek. Wymowny jest fakt, że nie godnego uwagi nie zauważyła ta pani w ostatniej produkcji WFD i WFO. Tym większy to sukces młodego reżysera. W filmie tym jest zarejestrowane (studem nie wyłączoną kamerą) zabawny dialog w komisie między reżyserem filmu — zatrzymanym przez milicję a jednym z przesłuchujących:

Reżyser: — „to koleś, operator.
Przesłuchujący: — Aha, operator, ale studiuję?
R: — Studiuję.
P: — Na jakim wydziale?
R: — Operatorskim.

8.

— Milicjant jako samotny świadek przecieku „Pomarańczowej Alternatywy” nie będzie dla nikogo winowatym. Może się też obawiać różnych nowokacji. Nawet najbardziej skrupulatne przestrzeganie prawa nie chroni od rozmaitych napaści ze strony tak podstępnej publiczności.

Młodszy chorąży MO z Wrocławia Mirosław Busz w „Gazecie Robotniczej”

9.

Galeria Działań Niekomercyjnych „Pod Prąd” przekształcała się 1.04. 1988 r. w Galerię Działań Maniakalnych i przystąpiła do „Pomarańczowej Alternatywy”. W czasie uroczystych obchodów z okazji „Dnia Solidarności z MO” ogłoszono, że przemienia się w Despotyczną Partię Monarchistyczną (nie odchodząc bynajmniej od PA). Dalsze szczegóły podaje periodyk „Przegląd Paly”:

„DPM wyłoniła z siebie Tymczasowy Komitet Koronacyjny (TKK), który do czasu zjazdu partii będzie pełnił rolę kierowniczą i koordynującą. W skład Komitetu wchodzić stali pacjenci Poradni Zdrowia Psychicznego, uczestnicy Galerii Działań Maniakalnych (tu padają nazwiska). Hymnem partii jest śpiewana po łacinie „Piosenka o nieustannej potrzebie Organizmu” grupy „BIG CYC” Punk Jazz Rokędroł orkiestra.

10.

Fragment reportażu Aldony Krajewskiej z „Polityki” nr 30, 23.07.1988:

„W stanie wojennym on (Major — przyp. MK) i Pablo (...) jeździli z przyjaciółmi do Warszawy, Łodzi, Krakowa, Szczecina, Katowic, Poznania z kubkiem farby oraz pędzlem i malowali na murach.

Na ścianach było wtedy pełno białych plam po pośpiesznie zamalowywanych napisach. Malowali swoje na plamach.

Zatrzymanych sklasyfikowano natychmiast: mieli brudne palce. Malarze. Co malowali? — chciał wiedzieć officer. Krasnoludka — odpowiedział patrol. W szóstej godzinie rozmowy officer bezradnie westchnął: — Dobrze. Będę to traktował jako fantazję młodzieńczą.”
Tak trzymać, panowie oficerowie.

11.

Mamy tu niewątpliwie do czynienia z ruchem społecznym, skupiającym studentów i licealistów, którzy nie znaleźli atrakcyjnych ofert w programach organizacji młodzieżowych, ani propozycji ze strony dorosłego społeczeństwa. Oczywiście propozycji na miarę nowoczesnie myślących młodych ludzi. A ponieważ chcą, chcą, taki sobie wymyślił modus operandi. Może się komuś wydać bulwersujący, może kogось gorszyć, ale nie ma powodu, by rozdzierać szaty tak zgodnie, jak to uczynili łódzkie gazety codziennie po ostatnim happeningu przed „Hortexem”. Pluralizm i wolność dopiero wchodzi w krwioobieg naszego współczesnego życia społecznego, trzeba się przyzwyczaić do możliwości proponować nie tylko w kwestii związków zawodowych. Propozycje alternatywne niedługo nie będą akcentowane od razu i przez wszystkich. I dobrze. Niech będą różnice zdań i spory, to tworzy ruch. Gwarantuję rozwój społeczeństwa, jego edukację i wreszcie postęp.

Najważniejsze, że ci młodzi ludzie nie chcą uciekać z kraju, że chcą im się coś robić tu, na miejscu. Zresztą, gdzie mieliby leśne warunki? Optymistyczne jest również to, że w naszej szarej smutnej rzeczywistości można jeszcze mieć zupełnie świeże poczucie humoru i ochotę do żartów. A że są czasami uciążliwi? To przyswilej młodocia.

„Pomarańczowa Alternatywa” działa w 12 polskich miastach, choć nie tylko. „Wysła” już nawet poza granice Polski. Jej duch pojawił się w Moskwie i we Lwowie.

Foto: Grzegorz Gałasiński

W środę było gorzej, ale zgodnie z zaleceniem lekar- skim dawałam mamie tylko środki przeciwbólowe. Przeży- liśmy kolejną bezsenność, a ja prosiłam Boga i mamę, żeby tylko wytrzymała do rana.

Czwartek, 24 listopada.

Z rana zadzwonił do prywatnego pogotowia lekar- skiego. Proszono, aby zjechać do 14, bo dopiero wtedy będzie kardiolog. Ale o 13 otrzyma- liśmy telefon, że kardiolog przybył wcześniej i już je- dzie. I za parę minut już był. Poprosił o ekg. Mówię, że ekg zrobiono mamie, ale zostało w szpitalu. Osiuchał chorą i o- świadczył, że konieczne jest ekg, po czym zamówił je w prywatnym pogotowiu. O 13 przyjechał ten sam kardiolog, a później lekarz ze zrobionym ekg. Kardiolog kręcił głową, dziwił się i mówił, że mama od dwóch dni powinna przeby- wać w szpitalu. A mama była już tak znekana i wyczerpana, że prosiła, aby ją zabrać do szpitala. Wtedy kardiolog na-

drzwi pokoju, które były o- twarte, znajdowały się oszko- lone drzwi, z przezroczystego szkła, do pokoju pielęgniarek. Z łóżka mamy widać było na- wet zegar na ścianie. Był to pokój pracy i pokój odpoczyn- ku zarazem, a że drzwi były uchylone, więc wszystko widać i słyszał, no i chorem nie da- wało to spokoju, bo w czasie wolnym pielęgniarki mogły też pogłównać i pożartować, jak to ludzie. A poza tym kręcił się tam taki facet w stroju pielęgniarskim, pewnie jakiś sa- lowy, nie wiem. Mama mówiła, że on jest z nakazu pracy, po wyroku czy coś takiego... Ta druga chora potwierdziła to, znaczy, że jak chory kaprysił, to ten gość wchodził na salę, choć nie wolno mu było wejść nawet do dyżurki, i straszył, że zrobi zastrzyk. Dopiero jak mama powiadła na niego, że nie ma prawa, bo nie jest leka- rzem, szybko się wycofał... Ale na razie można było wytrzy- mać...

Niedziela, 27 listopada.

Poszliśmy na widzenie we trójkę, z mężem i córką. Ma- ma czuła się na tyle dobrze, że nawet pożartowała z Anią, po-

zaskarży. Pewnie przez to, po- wiedziała mama mężowi, zro- bił z niej głupia. A ona, pro- szę pana, tylko czasem zaży- wała leki uspokajające.

Mąż nie wierzył w to, ale ta druga chora przytaknęła, że tak właśnie było. Wtedy mąż wszedł do dyżurki, gdzie le- karze i pani ordynator szyko- wali się do obchodu. Zapytał, czy może się czegoś dowiedzieć o tym incydencie z minionej nocy. Pani ordynator nic nie miała do powiedzenia, nato- miast jeden z lekarzy, o nic nie pytany, zastrzegł się, czy on by dziś tak wyglądał, gdy- by pił w nocy. Mąż odpowie- dział, że tego nie może stwier- dzić. No tak, napierał się ów lekarz, ale kiedyś może pan powiedzieć... I dużo jeszcze mówił na ten temat, jakby się chciał usprawiedliwić albo miał wyrzuty sumienia. A pani ordynator stwierdziła, że nie należy z tego robić problemu, bo takich wariatów mamy tu pół oddziału, znaczy, takich niby jak mama. Tylko że to,

Mama prosiła, żebyśmy zwróci- ła się do pani doktor prowa- dzącej o przeniesienie jej tam, gdzie więcej chorych, gdyż strasznie boi się nocy. Pani doktor oświadczyła, że tu ni- kogo się nie maltretuje, a te drogie aparaty są zamontowa- ne na stałe i nie wolno ich przemieszczać.

Wobec tego mama zaczęła prosić, żeby ją zabrać do do- mu. Zostawiłam swoją torbę i wyszłam z pokoju, słyszałam, jak mama krzyczy, żeby jej nie zostawiać i żeby szybko dzwo- nić do Zbyszka, mojego męża. Zeszłam na dół i z portierni zadzwoniłam do domu z pros- bą, aby mąż skontaktował się telefonicznie z tym lekarzem, co uratował mamę w nocy z piątku na sobotę, albo z pa- nią ordynator. Jak się później okazało, nie udało się mu ich odnaleźć.

Chciałam wrócić na górę, ale jakaś pielęgniarka oznajmiła, że już nie wolno. Było późno, minęła dziesiąta. Na schodach jakaś salowa mówiła ze śmie- chem, że już spokój, bo już ją powiązali. Ale dosłyszałam jeszcze głos mamy: „Ludzie, jak ja umrę, to będzie wasza wina!”.

A potem wszystko ucichło, bo drzwi zamknięto, i pielę-gniarka przyniosła mi moją torbę. Usiadłam na schodach, oparłam głowę o poręcz i za- częłam płakać. Ktoś z perso- nelu zatrzymał się i powiedział: „Nie ma co płakać, niech pani lepiej idzie do domu. Pani, tutaj taka opieka, że każdej nocy kogoś wywożą”.

Zakryłam dłońmi uszy, żeby tego nie słuchać. A w głowie dzwoniły mi wciąż słowa ma- my: „Pamiętaj, córko, jutro już mnie tu nie będzie”. Co mia- ła robić? Pozwolić żeby u- marła w domu? Bo jakbym odłączyła ją od elektrody, to umarłaby z mojej winy...

Wtorek, 29 listopada,

Rano po odprowadzeniu dziecka do szkoły mąż zadzwo- nił do szpitala. Poinformowano go, że u mamy jest bez zmian. Tego samego dnia odbyła się zapowiedziana konsultacja psy- chiatryczna. Później dowiedzia- ła się, że lekarz psychiatra nie stwierdził choroby psychicz- nej. Napisał, że reakcje chorej mogły wynikać z warunków, w jakich się znalazła. Być mo- że z przeżytego szoku, tak są- dzę...

Około szóstej wieczorem mąż zadzwonił ponownie. Dyżur przyjechał akurat nowa lekarka, która nie była zorientowana w sytuacji. Zajrzała do mamy i powiedziała, że chora jest spo- kojna i będzie spać. Odszu- kawszy historię choroby stwier- dziła, że wszystko w porządku, a resztę będzie mogła powie- dzić doktor prowadząca. O- detchnęłam z ulgą, uspokoiłam się...

Środa, 30 listopada

O ósmej rano zadzwoniłam do zakładu z wiadomością, że w związku z sytuacją rodzinną nie przyjdę do pracy. Ledwie odłożyłam słuchawkę, zadzwonił telefon. Szpital poinformował mnie, że mama zmarła wczoraj wieczorem o dwudziestej pierwszej trzydziestej.

W karcie informacyjnej, któ- ra służy do załatwiania róż- nych formalności, były trzy punkty: 1. Lekarz stwierdza zgon, 2. Zawał, zapalenie płuc. 3. Bez sekcji zwłok.

Ten ostatni punkt był pod- kreślony długopisem. Trudno więc byłoby określić, czy śmierć została w jakikolwiek sposób przyspieszona.

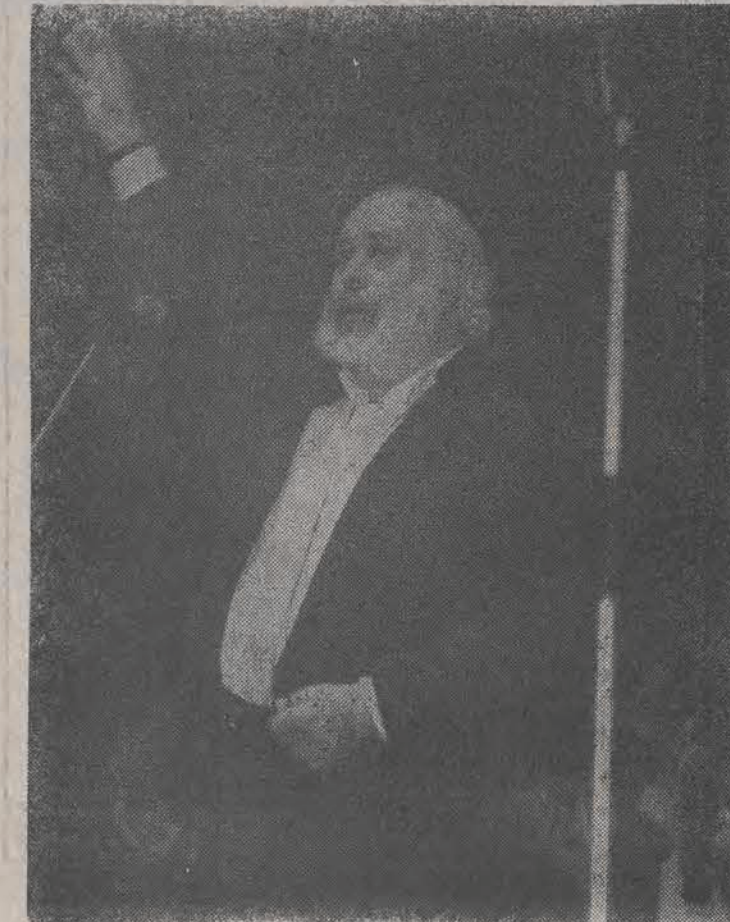
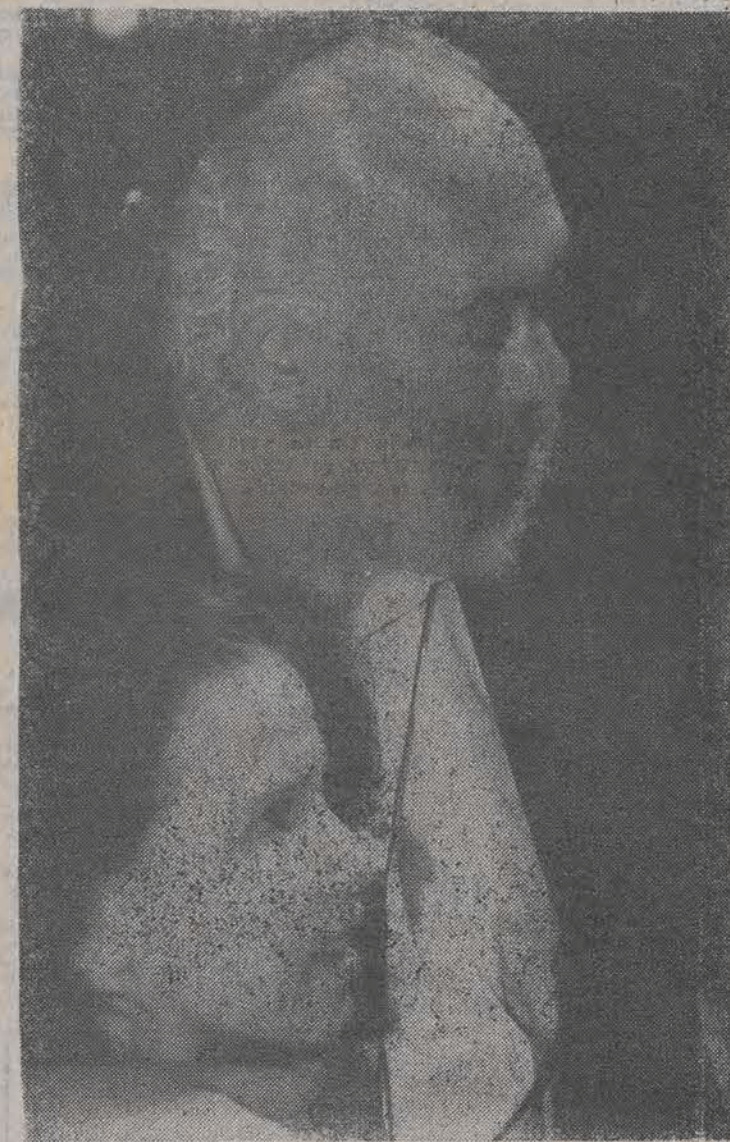
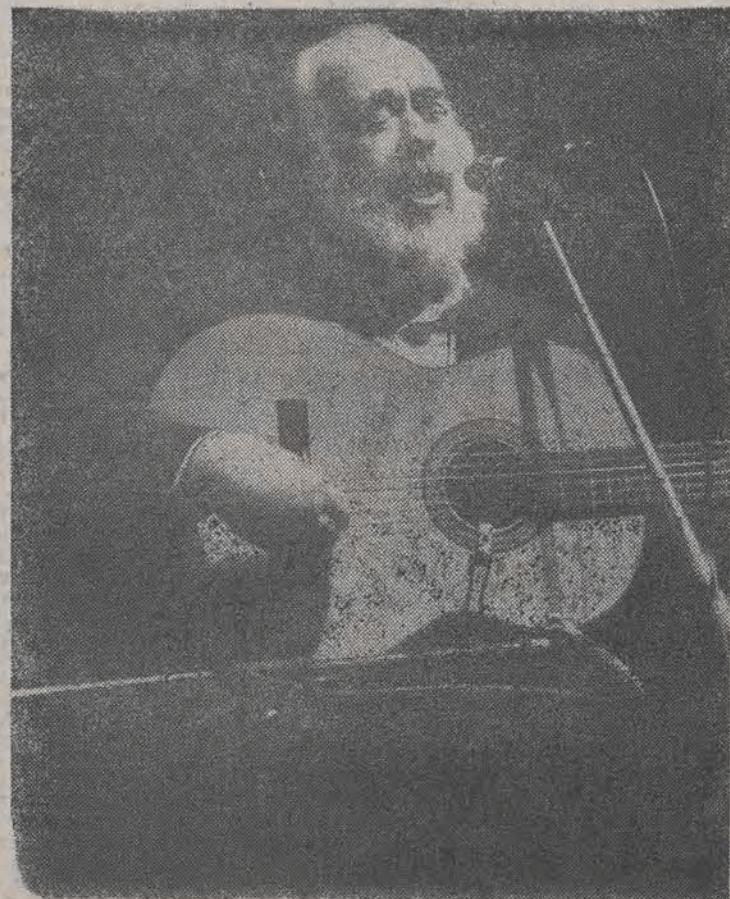
Kiedy załatwiałam formal- ności w kościele parafialnym Matki Boskiej Zwycięskiej, sio- stra zakonna powiedziała mi, że także leczyła się w tym szpitalu. Słyszała, że pani or- dynator narzekała na zachowanie personelu szpitalne- go.

Pogrzeb odbył się 2 grudnia 1988 roku.

RYSZARD BINKOWSKI

Pieśniarz pokoju Shlomo Carlebach

KONRAD TUROWSKI



Droga do wieczności

pisał prośbę o przyjęcie do szpitala, z rozpoznaniem cho- roby wieńcowej, problemem cu- kru, o czym już wspominałam, i nadciśnieniem. Napisał też zlecenie na pogotowie i sam tam zadzwonił. Potem odje- chał, a mama tylko postękiwa- ła i kwiliła jak dziecko, czeka- jąc cierpliwie na pomoc ludzką i zmiłowanie boskie...

Jakiś pięć po ósmej przy-jechała karetka, czyli mniej więcej po dwóch godzinach. Pani doktor spytała, czy cho- ra miała kiedyś zawał, a ma- ma tylko jęczała, że boli, boli... Wtedy lekarka powiedzia- ła, żebyśmy założyła jej buty. To jakoś poszło, ale z płaszczem były kłopoty, bo nie mogła podnieść ręki, biedaczka. Chciałam z nią pojechać, ale powiedziano mi, że w karetce nie ma miejsca.

I tak mama znalazła się w szpitalu, do którego przedtem nie chiano jej przyjąć. W pią-tek zadzwoniłam, aby dowie- dzieć się tylko, że bóle nie ustawały. Widzenia są w środy i w święta, ale gdy się mocno chce, można wejść i w robo- czą sobotę...

Sobota, 26 listopada.

Po południu pielęgniarka za- prowadziła mnie na oddział. W drodze dowiedziałam się od niej, że z matką nie jest tak źle. Ma wprowadzoną elek- trodę i po pewnym czasie do- stanie rozrusznik. Nie byłam w tym zorientowana i dopiero na miejscu dotarło do mnie, że w nocy ustąpiła akcja serca. Ży- cie uratował mamie lekarz specjalista, którego wezwano z domu o drugiej w nocy. Za- bieg nie był zbyt bolesny, ma- mie było tylko trudno mówić. Była wdzięczna temu lekarzo- wi, zresztą znała go już, bo dawniej przebywała w tym szpitalu na obserwacji. Wspom- niała, że okazywał jej życzli- wość i czuwał nad nią w no- cy. Pytałam, w jakim towa- rzystwie mama się znalazła i w jakich warunkach, tak? No więc w tym pokoju stały tylko trzy łóżka. Na jednym leżała mama, na drugim taka starsza kobieta, która prawie cały czas spała i nie reagowała na otocze- nie, a że była gruba i ciężka, to nazywali ją pieszczotliwie świnia. A trzecie łóżko było puste...

Aha, coś jeszcze... Nad łóż- kami wisiały takie aparaty, mąż mówił, że to oscyloskopy, które wskazują pracę serca i tętno. A niemal na wprost

zwała jej ponaciskać guzik, którym regulowało się położe- nie łóżka, wyżej lub niżej. Tylko nie mogła nic jeść, tyle co suchą bułkę. I rano sku- bała sobie tę bułeczkę na kocu, a był akurat obchód. Doktor prowadząca przystanąła przy łóżku, wzięła kartę i tak długo patrzyła na mamę, dopóki ta nie odłożyła bułki. Dopiero wtedy spojrzała w kartę. Ano tak, chory powinien z szacun- kiem przyjmować odwiedziny lekarza...

Potem wyszliśmy na kory- tarz i zaczęliśmy na tego specjalistę, co mamę uratował. Jak ustąpiła akcja serca. Powie- dział nam, że stan jest po- ważny, ale gdy mama przez jakiś czas pobędzie pod elek- trodą, to się poprawi, i że ma- ma jest przewidziana do roz- rusznika. Pani doktor prowa- dząca powiedziała nieomal to samo, to znaczy, że stan jest ciężki, ale nie należy tracić nadziei.

Poniedziałek, 28 listopada.

W poniedziałek mąż zwoinił się z pracy i pojechał do szpi- tała, aby skontaktować się z lekarzem, który podłączył ma- mie elektrodę, ale go nie spot- kał. W dyżurce jeden z lekarzy zapytał go o stan zdrowia psychicznego mamy. Odrzekł, że zawsze była spokojna, i spytał, czy może wejść do mamy. Nie, najpierw trzeba pomówić z panią doktor prowadzącą. A ta znowu pyta, czy mama nie miała kłopotów ze zdrowiem psychicznym. Nie, Skądże. No i mąż wszedł do mamy i do- wiedział się od niej, że w no- cy przeżyła horror, bo w po- koju dyżurnym była orgia z alkoholem. I z tego powodu mama pobudziła chorych, jak skarżyła się doktor prowadzą- ca? Ano tak, mama była pru- deryjna, więc jak to zobaczyła, musiała gwałtownie zareago- wać, poruszyła się, doszła do elektrody odłączyła się. I wtedy potraktowano ją jak zmarłą, przyciskali ją, wyrwali po- duszkę spod głowy, zadawali ból. No, ja myślę, że głos miała wzburzony, podniesiony, może nawet używała słów o- strych, ale przecież była nor- malna, podawała nawet do- kładny czas zająścia, bo wi- działa ten zegar na ścianie. A od tego lekarza co zakładał jej odłączoną elektrodę, czuła alkohol. I odgrażała się, że ich

proszę pana, nie jest akurat szpital wariatów...

Mąż szukał jeszcze tego le- karza, do którego mama miała takie zaufanie, ale go nie zna- lazi.

Wieczór, 28 listopada.

Po powrocie z pracy udałam się do szpitala z niewesołymi myślami i w nie najlepszym nastroju. Ale ani mi przyszło do głowy, że od przyjazdu tej pierwszej karetki zaczęła się dla mojej mamy ta ostatnia droga, droga do wieczności... Weszłam do pani doktor, pro- wadzącej, a ona mówi, że ra- ny boskie, co tu się dzieje! Pani mama oskarża wszystkich o jakieś orgie, pijaństwo, nie da do siebie podejść, nie chce wody ani lekarstwa.

Pani doktor spojrzała w mo- nitory i mówi, żebyśmy sama po- patrzyła, o proszę, mama za- raz odłączy aparat. Zrobiła się taka niemożliwa, że na jutro wyznaczono konsultację psy- chiatryczną.

Weszłam ze strachem do tego pokoiku. Światło się nie pa- liło, mama miała tak jakoś zwieszane nogi z łóżka, a ta druga chora, co nazywali ją świnia, spała. Za mną weszła pielęgniarka, poprawiła mamie poduszkę, poprosiła, żeby się niczego nie bała i wygodnie się położyła. Zapaliła światło i opuściła pokój. Wtedy mama powiedziała, że ta pielęgniarka jest w porządku, to synowa jej dawnej sąsiadki, i wymie- niła nazwisko i adres tej są- siadki. Czy tak się zachowuje ktoś nienormalny, proszę pana?

Pytam, co się stało, bo mąż nie zdążył mi dokładnie opo- wiedzieć. Ano, mówi mama, jak w nocy zaczęli szaleć w tej dyżurce, to odłączyła mi się e- lektroda. Zaczęłam krzyczeć, wymyślać na nich, że złośli i strachu, bo bałam się, że um- rą. Przybiegli, owszem, i ten dyżurny lekarz, od którego czuć było wódkę, kroili mi skalpelem żywe ciało na ręce, żeby podłączyć tę elektrodę. Rzucaliśmy się z bólu, bo tak się ze mną obchodzili jak z tru- pem, no to dusili mnie, szar- pali i wiazali... Tak, nogi mi powiązali... A teraz mówią, że jestem głupia, pewnie przez to, że powiedziałam, że ich za- skarżę...

No, a teraz mam, już le- piej? Oj, nie za bardzo, odpo- wiada, bo ten pielęgniarski, co nas straszył zastrzykami, po- przestawiał te aparaty nad łóż- kami. Chyba je źle ustawił, bo coś mi się tu rwie w pier- siach i nogi mi się trzęsą...

Zapytałam pielęgniarkę, czy odczyt jest wiarygodny. Machnę- ła ręką i rzekła, że te aparaty są niesprawne.

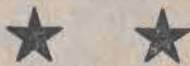


MACIEJ
TADEUSZ
ADAMOWICZ



Stary i nowy romans

PESTKI DYNI



teraz tu oto jestem
wyświetlany banal
któremu trzeba nadać własny wymiar
jeśli się chce zachować swoje ja
jestem z tobą
ja — zimna lampka nagrobna
jak rozgadana sąsiadka
z wyrwanym jęzorem światłości

teraz tu oto jestem
jeszcze jedna etykieta
przyklejona nieudolnie
do zgiełku życia
jestem z tobą
ja — rozpierzchniona jedynaczka
chryzantema
z poślizgiem milczeniem w rękach
w których trud popękał

teraz tu oto jestem
czepak tego co nieograniczone
ja — roznamietniona marmurowa płyta
z wydrapanym w granicie sumieniem
dowód tożsamości czy ślota prawdy

teraz tu oto jestem
spłot sprzecznych żywiołów
jak dobro i zło
zawartość kielicha ofiary i trucizny
jestem z tobą
ja — miłość nienawisć
ukrzyżowana między dwoma łotrami
moja tu obecność i przemijanie
wszystkiego we wszystkim

teraz tu oto jestem
ja — doczesność codzienność
jak jałmużna
darowana drugiemu
chwila
która pragnęła
stać się wiecznością

Uważając lektura dwudziestu
wybranych przez Romana Gorzel-
skiego opowiadań pozwala wskazać
na pewne osobliwości samego te-
matu i jego literackiej realizacji
w twórczości dawnych i współcze-
snych pisarzy rosyjskich. Wydaje
się, że stosowany dla określenia
autorów porównawczych przy-
miotnik „radziecki” (pisarzy) aku-
rat przy tym wątku tematycznym
nie brzmi jednoznacznie. To, co
jest widoczne, zewnętrzne, dotyczy
raczej aspektu socjologicznego, a
nie samej istoty miłości w jej naj-
różniejszych przejawach — emocjo-
nalnych, moralnych, egzystencjal-
nych.

Być może jest to skutkiem doko-
nanego wyboru opartego na zain-
teresowaniu R. Gorzelskiego i
zaproszenia przez niego do współ-
pracy kilku innych tłumaczy lub
też uznania tegoż dla pracy trans-
latorskiej Janusza Huszczy czy
Seweryna Pollaka. Bez względu na
motywy otrzymujemy interesujący
zestaw autorów o sporej rozpiętości
czasowej. Listę otwiera dobrze
znany polskiemu czytelnikowi tekst
Iwana Turgieniewa „Asia”, kończy
zaś książkę opowiadanie Bułata O-
kudźawy, którego tytuł widnieje
na okładce tego zbioru. Jest to do-
bry tytuł, trafnie oddający jedną
z cech tego oczywiście lecz wciąż
niezwykłego uczucia, jakim jest
miłość, ta iskra, która zapala i po-
budza.

Najpiękniejsze są te miłości, po
których nie oczekuje się niczego
poza udręki nadziei na jej trwa-
nie w wąskim przesmyku bycia —
nie bycia i leku, że któregoś dnia
przestanie być tajemnicą dwójki,
stanem sekretnej porozumienia
pilnie strzeżonym skarbem. Także
i te, zupełnie różne — uzewne-
trznione, dumne i orowokujące
wyzwijające obcość. Takie miło-
ści dopełniają się zazdrością in-
nych, a nawet próbami uniemożli-
wienia kochankom darzenia się
miłością.

Poznajemy miłości nie spełnione
lub takie, które okazały się obo-
jętym nieporozumieniem i jes-
zcze te ledwie kielkujące i przer-

wane niespodziewanym katakliz-
mem.

W przełożonym przez R. Gorzel-
skiego opowiadaniu Bułata Oku-
dźawy „Nie zawsze pech, nie za-
wsze szczęście” stykamy się z ja-
kimś wyobrażeniem miłości lub
raczej z próbą bohatera wywoła-
nia w sobie tej potrzeby. Rzecz
rozwiąza się w panoramie współcze-
snych miast, wśród ludzi trochę
takich-nijakich. W znakomicie za-
rysowanym anturazie to, co z re-
guly bywa piękne i wznieśłe, oka-
zuje się pokraczne, brudnawe, nie-
udacnie klecone z półsłów, wul-
garności, dwuznacznych żachet. Nie
to jednak stanowi o deformacji
subtelnego uczucia, lecz zwykła
niedojrzałość, niezrozumienie ewi-
denty analfabetyzmu emocjonalnego.
To stanowi o ubóstwie człowieka
rozbieganego do szarych ulicach
miasta. Piękny płaszcz męskiego
bohatera tego opowiadania staje się
sam w sobie wartości — zakry-
wa, a jednocześnie demaskuje lu-
dzką „zawartość”, prawie tak sa-
mo jak u Gogola, choć cel zaku-
pu tego arcydzieła odzieżowego (za-
granicznego) był nieco inny, funk-
cję przysłużył mu spełnić podobną.

Jest więc coś powtarzalnego
w tym zestawie przykładów z nowel-
istyk rosyjskiej. Rekwizyty sy-
tuacje to jednak zbieżność zewne-
trzną. Istota pewnej ciągłości lite-
rackiej tkwi przede wszystkim w
nastroju, w rozwoju zdarzeń na
wzór nieco smutnej, nostalgicznej
opowieści przy gitarze. Jest w tych
opowiadaniach rodzaj gry, jakby
uprzednio pomysłowej, uzgodnionej.
Napiecie dramatyczne osiąga
punkt kulminacyjny w momencie,
który w większości tekstów daje
się przewidzieć. Nie przekreśla to
emocji, raczej pozwala czytelnikowi
zbliżyć się do bohaterów, może
nawet podjąć próbę identyfika-
cji.

Pewna jednorodność stylizacyjna
nie wynika wyłącznie z faktu, że
dziesięć z dwudziestu przełożonych
tekstów opatrzonych jest nazwi-
skiem jednego tłumacza, Romana
Gorzelskiego. Przyczyna tego tkwi
w specyfice romansu rosyjskiego

ła zaś kształtują osobowości boha-
terów, pokrewieństwo duchowe po-
staści. Dusza rosyjska, jakby na
przekór mijającemu czasowi, bro-
ni się przed odkształcaniem pod wpły-
wem nowinek historycznych. Mi-
łość, nawet w czasach wojennej
zawieruchy, zachowuje swoją da-
wną opyskość. Ilustracja tego mo-
że być opowiadanie Władimira Du-
dinewa „Rece przyjaciół” w tłum-
aczeniu Tadeusza Chróściew-
skiego.

Nie sposób pominąć mrocznej mi-
łości Małki — listonoszki, której
działność i poświęcenie uskrzydla-
ją uczucia, w konsekwencji wy-
wołując bolesną dumę, chroniącą
przed poniżeniem. I na koniec coś
z metafizyki, coś z mroków ko-
biecego kształtowanego przez tra-
dycję, tajemnicze opowieści, natu-
ralna wrażliwość i latami formo-
wana więź między ludźmi. Taką
miłość opisał Georgi Gulia w o-
powiadaniu „Miłość kobiety”. Ab-
haski autor odwołał się do zro-
dów. I trafił. I to jest chyb-
ba jedyna z opowiadań w zbiorze
„Nie zawsze pech, nie zawsze
szczęście”, które wylamuje się z
kanonu.

Roman Gorzelski w swoim wy-
borze zaprezentował dwadzieścia
różnych portretów miłości. Czytel-
nik ma okazję wybrać ten który
najbliższy jest jego wyobraź-
niom. Jednak każdy z tych dzieł
wielu portretów jest częścią
jednego — wizerunku romansu ro-
syjskiego. I może właśnie dlatego
warto przeczytać ten ciekawy wy-
bór z rosyjskiej literatury, po cze-
ści dla przypomnienia, a po części
dla poznania nowych faktów starej
konwencji.

MICHAŁ S.
DAJECKI

„Nie zawsze pech, nie zawsze
szczęście”. Opowiadania o miłości.
Wyb. dokonał R. Gorzelski. Wy-
dawnictwo Literackie, Kraków
1938. Nakł. 3 tys.

Program koncertu, który odbył się w Filharmonii
Łódzkiej 10 lutego br. obejmował trzy dzieła z krę-
gu estetyki romantycznej. Przy pulpicie stanął mło-
dy dyrygent amerykański polskiego pochodzenia —
Piotr Gałęwski, solistą był nasz wybitny pianista —
Piotr Paleczny.

Na początek usłyszeliśmy Adagio na smyczki Sa-
muela Barbiera. Zmarły przed oknu laty kompo-
zytor amerykański należał do najpopularniejszych
współczesnych twórców swojego kraju. Adagio jest

Koncert fortepianowy c-moll porusza słuchacza cha-
rakterystycznym patosem, wzrusza szczera emocją
zawartą w szerokoich łukach melodycznych.

Trzy ognia utworu, mimo kontrastów tematycz-
nych i rytmicznych, odznaczają się jednolitością na-
stroju. W pierwszej części — Moderato bardzo cie-
kawie brzmiał szeroki w rytmiku i majestatyczny
temat pierwszy wprowadzony przez skrzypce, a po-
tem wstępne narastające dynamicznie składy solo-
wego fortepianu. W wykonaniu Piotra Palecznego

sensie autobiograficzne. Kompozytor czysto muzycz-
nymi środkami wyraża własne przeżycia i stosunek
do świata. Jest on u Czajkowskiego pesymistyczny
i chwiejny. Wyobraźnia twórcy ewokuje różnorod-
ne nastroje i uczucia: od beznadziejnej rozpacz-
li do bezgranicznej radości.

Dyrygent świetnie uwypuklił kontrasty dynamicz-
ne pierwszego ognia. Emanowała z niego
energia i siła brzmienia pełnej orkiestry. Jedynie
w „blasku” słyszało się pewne nieczytelności intona-
cyjne. Za to bardzo subtelnie brzmiały przetworzo-
ne epizody instrumentów dętych drewnianych.
Także i namilny temat główny prowadzony przez
pierwszą waltornię solo, pod względem muzycznym
wyraza brzmiał ładnie, choć dano się usłyszeć uchy-
bienia precyzji stroju.

Młody kapelmistrz pięknie uwypuklił posępny koń-
cowy temat, pojawiający się w waltorniach i in-
strumentach dętych drewnianych. Na koniec trzeba
powiedzieć, że Piotr Gałęwski zaprezentował słuch-
aczom widzę V Symfonii Czajkowskiego, w której
wydobył charakterystyczną różnorodność ujęć i
nastrojów zawartą w partyturze dzieła. Technika
dyrygencka była komunikatywna i pomagała mu-
zykom w zrozumieniu intencji artystycznych wy-
konywanych dzieł.

PIOTR KUKIEŁKA



W romantycznym nastroju

krótkim utworze o zdecydowanie lirycznym cha-
rakterze. Opiera się na prostym temacie podanym
przez pierwsze skrzypce. W zaprezentowanej przez
dyrygenta interpretacji pod względem muzycznego
wyraza najbardziej zaznaczony był liryzm i śpiew-
ność kompozycji, a dalej współbrzmienie altówek i
wiołoncel.

Drugim utworem wieczoru był, wykonany przez
Piotra Palecznego, II Koncert fortepianowy c-moll
Siergieja Rachmaninowa, który był jednym z naj-
wybitniejszych pianistów przełomu XIX i XX wie-
ku. U źródeł jego twórczości leży tradycja muzyki
rosyjskiej reprezentowana przez Piotra Czajkowskie-
go. Rosyjskość ta podana jest silnym wpływem
uniwersalnego zachodnioeuropejskiego stylu muzy-
cznego owych czasów. Muzyka Rachmaninowa od-
znacza się gładkością i plastycznością formy, bar-
wą instrumentacji, płynną i śpiewną melodią. II

trudno było nie usłyszeć pięknie brzmiących pasa-
ży i figuracji. W tych fragmentach artysta ukazał
słuchaczom doskonałe opanowanie techniki wirtuo-
zowskiej, której nie zabrakło liryzmu. Najwybit-
niej był on słyszalny w drugim ogniu utworu —
Adagio sostenuto. W partii orkiestry sugestywnie
podkreślała nastrój szeroka kantilena i liryczny dia-
log solowego fortepianu z kłarnetem. W finale —
Allegro scherzando najbardziej wyraziście były fra-
gmenty o typowo wirtuozerskim charakterze.

Silne wrażenie wywarło na mnie głęboko ekspa-
zyjne brzmienie smyczków w namiętej melodii te-
matu drugiego. Trzeba przyznać, że w usłyszanym
interpretacji wykonawcom udało się jak najbardziej
uwypuklić wszelkie brzmieniowe, kolorystyczne i
ekspresyjne niuanse dzieła Rachmaninowa. Wieczór
zakończyła V Symfonia c-moll Piotra Czajkowskie-
go. Można powiedzieć, że ten to dzieło w pewnym



Rys. Sławomir Łuczynski

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



ŁODZIANIE SPISUJĄ SIĘ DOBRZE

Na początku sezonu teatralne-
go informowaliśmy o tym, że
para łódzkich aktorów — Ba-
rbara Wałkówna i Józef Zbibróg
objęła kierownictwo Teatru im.
Solkiego w Tarnowie. I oto po
kilku miesiącach pierwsze po-
chlebne recenzje:

„O teatrze tarnowskim coraz
mniej było słyhać w ostatnich
sezonach — pisał Krzysztof Sie-
lecki w miesięczniku „Teatr”.
— Scena ta — znana niegdyś z
wielu niekonwencjonalnych po-
czynañ — znaczyła coraz mniej
nie tylko dla ogólnokrajowego
życia teatru, lecz także, co is-
totniejsze, dla własnego środo-
wiska. Teatr zamierał, podob-
nie jak kilka innych scen w
miastach większych i mniej-
szych.

Od września 1988 r. kierow-
nictwo Teatru im. Solkiego współrządne, według których

objęła para znanych łódzkich
aktorów, Barbara Wałkówna i
Józef Zbibróg. Rozpoczęli mozol-
ną drogę odbudowy w mieście
teatru repertuarowego. Pytanie
— czy to się uda? Prowadzenie
dzisiaj instytucji teatralnej to
jedno z bardziej ryzykownych
i frustrujących zajęć.

Jedną z pierwszych premier
podpisanych przez nową dyrek-
cję była październikowa „Anty-
gona” Jeana Anouilha. Jeżeli
potraktujemy przedstawienie ja-
ko fragment działania mającego
odbudować spójność zespołu i
nawyk pracy nad dużymi spek-
taklami, powiedzieć trzeba, że
praca została wykonana bardzo
dobrze. Jeżeli zapytamy raz
jeszcze, jakie mogą być powo-
dy przypomnienia utworu Ano-
uilha, odpowiedź będzie trud-
niejsza, choć żywioła reakcja
młodej widowni zdaje się mó-
wić, że nastolatki znalazły na
scenie odbłask prawdziwego ży-
cia — czytamy w konkluzji.
Gratulujemy.

JAK ŻYĆ?

— Jak żyć i co robić w zgo-
dzie z sumieniem? Po pierwsze,
powinniśmy być prawdziwie u-
kierunkowani moralnie i ducho-
wo, to znaczy musimy znać te

powinien odbyć się ruch w ży-
ciu. Dlatego, że w wielu przy-
padkach została dokonana pod-
miłana lub wypaczenie pojęć mo-
ralnych. Rozpoczęło się to nie
wczoraj, nie w latach trzydzie-
stych, lecz o wiele wcześniej,
nawet ponad sto lat temu, i je-
żeli w jakichś chwilach następow-
ła naprawa moralności społecz-
nej, to potem znowu wiele tra-
cono.

Tak więc żyć w zgodzie z su-
mieniem to znaczy przede wszy-
stkim znaleźć swoje miejsce w
moralnym porządku świata, zro-
zumieć stopień odstępowania, a
dopiero potem wychodząc z tego
punktu, w którym się znajduje-
my, kontynuować ruch. Co do-
tyczy czysto praktycznych prze-
jawów sumienia — w stosunku
do pracy, bliskich, otoczenia,
wydaje się, że tu wszystko wy-
daje się jasne.

Mówiąc ogólnie sumienie ist-
nieje jak gdyby na dwóch po-
ziomach: sumienie duchowe (to
ten wyższy poziom) i sumie-
nie praktyczne. W stosunku do
praktycznego sumienia człowiek
nie błądzi, wie jak żyć z nim
w zgodzie. Ludzie o rozdwój-
nym sumieniu — w pracy —
jedno, w domu — inne (jak pod-
wójny punkt widzenia) biorą się
z zepsucia, oportunistą i kon-
formizmem. Obłuda była prze-
cież powszechna: posiadanie dla

potrzeb społecznych jednego
sumienia, a na swój użytek —
drugiego. Ale jeżeli sumienie
uczestniczy w kłamstwie, to już
nie jest to sumienie, ale coś in-
nego. Pozostaje ta mała część
sumienia, z którą człowiek
przychodzi do domu, uważając,
że ona właśnie pomoże mu
przetrawić. Kłamstwo to rdza,
ona wyjdzie też w warunkach
domowych, w życiu osobistym.
Jedna strona sumienia nie mo-
że na długo pozostawać czystą,
chronioną. Zarazenie tak czy
inaczej nastąpi. Nieszczerść bę-
dzie dławić szczerść i kłeska
stanie się nieodwracalna. Po-
winnymy zacząć rozmawiać
prawdliwie. Nie może nastąpić
naprawa sumienia osobistego
dopóki nie objawi się pełna
prawda sumienia zbiorowego...
(Walentyn Rasputin — dla „Lit-
eratury Gazety”)

BĘDZIEMY ŚWIATOWCAMI

Jak się dowiadujemy z „Ante-
ny”, planuje się utworzenie spół-
ki z udziałem kapitału zagra-
nicznego — „Polska Telewizja
Kablowa”, w której skład wesz-
łyby m.in. Polskie Radio i Te-
lewizja, wytwórnia „Polte”, PP
Polska Poczta, Telegraf i Tele-
fon, prezydenci miast Krakowa
i Warszawy, w których to mias-

Dramatyczne wezwania

Bardzo dramatycznie zabrzmiało wystąpienie dyrektora Teatru Lalek „Pinokio” na ostatnim posiedzeniu Komisji Kultury Rady Narodowej m. Łodzi: Jeżeli teatr nie otrzyma pomocy — będzie to jego koniec! Czy można „spisać na straty” teatr, który liczy sobie 45 lat? — z nagłą zapytał dyrektor. — Teatr zdobywa nagrody w Polsce i za granicą, gdzie ciągle jest zapraszany. Mimo takich warunków, w jakich działa, daje rocznie 350 przedstawień, które ogląda ok. 100 tys. widzów... W dniach 23-24 bm. organizujemy przegląd dorobku naszego teatru, a pierwszego dnia organizujemy konferencję prasową, na której przedstawimy swoje problemy...

Według relacji dyrektora teatru sytuacja ma się tak: sprawa remontu teatru liczy sobie 20 lat — ciągle odwołano, przekładano terminy, obiecywano, aż wreszcie opuszczono budynek, a teatr stał się z konieczności sceną niemożliwą. W latach 70. były ponoć plany budowy nowego teatru przy ul. Kopernika. Nie z tego nie wyszło. Kiedy obecny dyrektor obejmował placówkę obiecywano, że remont zacznie się za 3 miesiące. Potem okazało się, że nie ma dokumentacji. Kiedy opracowano dokumentację, to jej zatwierdzenie pochłonęło 3 lata i od 6 lat remont teatru znajduje się w planach. Owszem, były interwencje — w 1982 roku, kiedy sprawa dokumentacji była na etapie projektu, potem w 1984 roku, i następnym, aż nastał czas, kiedy trzeba było obiekt opuścić. Na czas remontu, który się nie zaczął. Z pomocą przyszedł „Poltex”, który udostępnił swoją salę na potrzeby teatru. W zamian za udział w kosztach remontu...

Wszystko to sprawia, że zespół zmniejszają się z 20 do 10 osób, bo teatr nie ma możliwości pozyskania absolwentów — nie jest im w stanie złożyć właściwych warunków pracy, a co dopiero zapewnić dach nad głową.

Tak wygląda sytuacja teatru „Pinokio” w relacji dyrektora. Można by było z niej wnosić, że teatrowi nie pomoż. Tymczasem, zarówno Komisja Kultury poprzedniej kadencji, jak i władze miasta po wielokroć zajmowały się losami tej placówki. Ba, przyznały nawet 50 mln złotych na wydatki związane z remontem. Z tym, że owe 50 mln poniesionych już nakładów wydatkowano na remont sali „Poltexu” i na zaplecze teatru, zlokalizowane przy ul. Targowej, zaś sam budynek teatru stoi opuszczony, nie ogrzewany, nie pilnowany, w którym pękają rury, ściany... Teraz trzeba znaleźć środki, aby zabrać się do jego remontu. Lecz nie będzie to takie łatwe. I to nie tylko z braku środków, lecz i konfliktu, jaki istnieje pomiędzy teatrem a sąsiadami, który trafia już nawet na sądową walkę...

Sprawa Teatru „Pinokio” przytoczyliśmy, aby uświadomić wagę problemów, z jakimi boryka się miasto w sferze kultury. A jest to zaledwie jedna z bardzo wielu niezwykle ważnych spraw, których już nie tylko rozwiązanie, lecz bodaj załatwienie wymaga pilnych decyzji. W pierwszym rzędzie finansowych. Wystarczy przytoczyć trudną, ba, dramatyczną wręcz sytuację Biblioteki im. L. Waryńskiego — tej niezwykle zasłużonej dla kultury łódzkiej placówki, która jako jedna z dziewięciu w kraju posiada status biblioteki naukowej. Trzeba ją pilnie remontować, aby zapobiec katastrofie budowlanej i ratować unikalny księgozbiór. W podobnej sytuacji znajduje się Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne przy pl. Wolności. Zakończenie remontu wymaga obiekt przy al. Kościuszki 33. A sprawa budowy filharmonii? A zabezpieczenie i remont obiektów zabawkowych? A Centralne Muzeum Włókiennictwa i Muzeum Kinetografii — placówki unikalne w skali światowej? A bodaj tak istotna sprawa, jak zakup strojów dla chóru filharmonii, futerałów na instrumenty? A zabezpieczenie środków na bogaty program edukacji dzieci i młodzieży, na organizację prestiżowych imprez w rodzaju Spotkań Baletowych w Teatrze Wielkim, czy przeglądu polskiego repertuaru Teatru im. Stefana Jaracza w związku ze 100-leciem pierwszej polskiej sceny w Łodzi...?

Są to zaledwie przykłady najważniejszych i najpilniejszych problemów, z jakimi przyjdzie się w tym roku borykać władzom miasta, na które trzeba będzie znaleźć bodaj najbardziej niezbędne środki z nadwyżki budżetowej. Jeżeli chcemy zachować to, co posiadamy!

MARIAN ZDROJEWSKI

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

tach początkowo telewizja kablowa zostanie zainstalowana, a w przyszłości, dopiero również w innych przewidziane są trój- i czterokablowe abonamenty i opłaty instalacyjne: w grupie pierwszej abonament uiszczalby opłatę w złotych, zaś za programy grupy drugiej i trzeciej — początkowo w dewizach. Grupa pierwsza obejmowałaby 2 programy TVP, program edukacyjny, lokalny, europejski, całonocny program informacyjny CNN, program telewizji radiotelewizyjnej oraz 24-godzinny program sportowy (opłata instalacyjna 12,5 tys. zł, abonament miesięczny — 4,250 zł). Grupa druga zawiera programy dokumentalne, przyrodnicze, historyczne i naukowe, całonocny program muzyczny, program o sztuce, filmy Disneya i 24-godzinny pokaz filmowy (opłata instalacyjna — 7,5 tys. zł, abonament miesięczny — 8 dol. USA). Grupa trzecia obejmowałaby: TVP (kanał francuski), „World Net” (amerykański), „Sky Channel” i „Super Channel” (brytyjskie), „RAI Uno” (włoski) oraz stacje niemieckojęzyczne. (Opłata instalacyjna — 7,5 tys. zł, a abonament — 6 dolarów USA).

Można powiedzieć, że niedługo staniami się prawdziwymi światowcami. Gdyby jeszcze tylko zechcieli nam wypłacać pobo-

ry w dolarach. Chociaż... Miesięczna płać za... dwumiesięczny abonament!?

ELIZABETH I RICHARD

„Zakończyłam się w Richardzie (Bartoni — dop.) na planie „Kleopatry” i od tamtej pory kochałam go zawsze. Nawet wtedy, gdy nie mogliśmy już razem żyć, nadal się kochałam... Cóż mogę powiedzieć o moim życiu z Richardem, jeśli nie to, że było ono wielkim szczęściem. Poszerzył moje horyzonty na różne sposoby. Naukę, poezję i literaturę. Wprowadził w życie bardzo ruchliwe, które nie było jednak tak hedonistyczne, jak o nim mówiono... Prowadząc bardzo burzliwe życie, staraliśmy się nie mieszać przyjemności z pracą zawodową. Naszą dewizą można tak przedstawić: — Pijmy, jedzmy, bądźmy weseli, ponieważ jutro znów trzeba stanąć przy kieracie... I jeśli nawet przeżyliśmy wiele trudnych okresów, nie żałuję ani jednej minuty, którą z nim spędziłam... Z Richardem przeżyłam życie bajeczne i pasjonujące. A kiedy nasze współżycie stało się już nie do zniesienia — rozstaliśmy się...”

Śniadanie Richarda składało się zwykle z trzech kieliszków

mocnej wódki... Nasze małżeństwo od lat toczyło w oparach alkoholu. Dlaczego poślubiłam go po raz drugi? Dlatego, że po pewnym czasie było mi wszystko jedno, czy on pije, czy też nie; po prostu chciałam być razem z nim, to było najważniejsze... Dziś myślę, że gdyby żył nieco dłużej, mogłabym go uratować. Był ze mną taki dumny, kiedy powrócił z kliniki, był tak zdumiony, że potrafiłam uwolnić się od alkoholu. Jestem przekonana, że i on podjąłby taką próbę. Ale było już za późno... Wiedziałam, że uzależniłam się od narkotyków, ale nie byłam świadoma tego, że jestem również alkoholiką... Zawsze byłam ogromnie dumna z tego, że jestem trzeźwa nawet wtedy, gdy wszyscy moi partnerzy po tej samej ilości alkoholu leżeli już pod stołem, nawet Richard...

Kuracja powiodła się. Po kilkunastu tygodniach Elizabeth Taylor pokonała swe demony i powróciła do normalnego życia... Kiedy przed dwoma laty pojawiła się na festiwalu w Cannes, prase obiegły plotki, że towarzyszący jej George Hamilton zostanie niebawem jej mężem. Zdemontowała te pogłoski sama Elizabeth. (Fragment książki Elizabeth Taylor — „Ekran” nr 6).

MAREK BRUK

Galeria pisarzy

sem: „Daję głowę”, bądź inny: „czemu ty dzielczo krzywo na mnie patrzysz” pod rysunkiem zezowatej dziewczyny, czy wreszcie wyjątkowej urody karykatury Czesława Niemena, Samy Devisa, Jamesa Arnasa czy Depardieu, wyrażone zdecydowaną kreską, plamą, światłocieniem, wymownie dowodzą talentu, inteligencji, a co najważniejsze — skali artystycznych możliwości. Tę wystawę warto obejrzeć.

Rys. Sławomir Arabski

HORACY SAFRIN

Twierdził, że sędziwego Wieku dożył. Bo sporo razy się teni! Oraz... cudzożółty!

ROMAN GORZE SKI



Kronika

LAUREATAMI nagród „Życia Literackiego” za rok 1988 zostali: w dziedzinie eseistyki — Lesław M. Bartelski za książkę „Pieśń niepodległa” (Wydawnictwo Literackie); w dziedzinie piśmiennictwa historycznego — Stanisław S. Nicieja za książkę „Omentarz Łyczakowski we Lwowie” (Zakład Narodowy im. Ossolińskich).

W dziedzinie reportażu jury wyróżniło Marka Rymuszkę za tom „Schody” (Iskry 1988).

WALNE zebranie niedawno zarejestrowanego w Krakowie Stowarzyszenia „Kuznica” skupiającego lewicowych intelektualistów i twórców, wybrało w tajnym głosowaniu prezesem prof. Hieronima Kubiakę — znanego działacza politycznego, socjologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nowopowstałe stowarzyszenie nawiązuje do tradycji swego czasu działającego w Krakowie Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuznica”.

POLSKA zajmuje 50 miejsce w świecie (sic!) pod względem ilości gazet i czasopism przypadających na 1 mieszkańca.

IRENEUSZ CABAN Dyrektor Wydawnictwa Lubelskiego, zapowiedział ukazanie się w tym miesiącu drugiego wydania poszukiwanej książki Romana Wapińskiego „Dmowski”.

Ubiegłoroczne, pięćdziesiąte wydanie tej publikacji, poświęconej założycielowi przywódcy i głównemu ideologowi Narodowej Demokracji, okazało się... kropką w morzu. Jak wyjaśnił szef lubelskiej oficyny, limitowana ona była przy ustalaniu nakładu zamówieniami „Domu Książki”.

Wydrukowanymi — dodajmy — chyba raczej z... książką!

NAGRODA Warszawskiej Premiery Literackiej uhonorowano w ubiegłym miesiącu książkę wspomnieniową Stefana Grodzkiego „Urodził się niebieski ptak” (Wydawnictwa Radia i Telewizji).

ŚLYNNA gwiazda estrady Madonna ma po Michału Jacksonie — rozświecać w świecie walory Pepsi-Coli. Przewiduje się — o czym poinformowali przedstawiciele koncertu — nakręcenie kilku reklamowych filmów z jej udziałem oraz zorganizowanie światowego tournée amerykańskiej piosenkarki.

DO rejestru związków i stowarzyszeń Urzędu m. st. Warszawy wpisane zostało Stowarzyszenie Polska — Stany Zjednoczone AP im. Ignacego Paderewskiego.

Celem działalności stowarzyszenia — skupiającego naukowców, twórców kultury, dziennikarzy, działaczy społecznych — jest nawiązywanie kontaktów i rozwijanie współpracy środowisk opinotwórczych obu krajów. Wśród członków-założycieli stowarzyszenia są m.in. Daniel Passent, ks. prof. Joachim Kondziela, Wacław Sadkowski, prof. Longin Pastusiak, prof. Janusz Reykowski, prof. Henryk Samsonowicz. Prezesem tymczasowego zarządu stowarzyszenia wybrany został prof. Jerzy Wiatr.

PRZY uniwersytecie w Grodnie i Mińsku powołane zostaną katedry języka polskiego, na których wykładowcami będą polscy uczeni.

ANATOLIJ Rybakow oświadczył, iż po opublikowaniu powieści „1935 i lata następne”, zamierza napisać jeszcze kilka książek, w których przedstawi dramatyczne losy swojego kraju w okresie ostatnich 50 lat.

W TEATRZE Wielkim w Łodzi, 6 bm. wystąpił znakomity chórzyciel ze Stuttgartu, którego tradycje sięgają 1900 roku.

6 BM. ODBYŁO się zebranie założycielskie łódzkiego oddziału Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna — stowarzyszenia powstałego w Białymstoku i zarejestrowanego jako ogólnokrajowe w połowie grudnia ubiegłego roku.

WYDZIAŁ OŚWIATY, WYCHOWANIA I KULTURY URZĘDU DZIELNICOWEGO ŁÓDZ-POLESIE, DDK ŁÓDZ-POLESIE i grupa literacka „Centaur” ogłasza konkurs literacki dla amatorów pod hasłem „Człowiek — Ziemia — Kosmos”.

Wiersz własny lub opowiadanie (prozę) do 5 stron maszynopisu nie nagradzane w innych turniejach i konkursach, należy nadesłać w 2 egz. maszynopisu pod adresem Grupa „Centaur” przy DDK Łódź-Polesie, al. 1 Maja 87 w terminie do 31 marca 1989 r.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w kwietniu br. Przewidziane są atrakcyjne nagrody książkowe.

DELEGACI WARSZAWSKY zjazd Związku Literatów Polskich mają zamiar wystąpić o przywrócenie praw członkowskich wszystkim pisarzom, którzy należeli do ZLP przed jego rozwiązaniem.

W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁÓDZI trwają przygotowania do otwarcia Galerii im. Artura Rubinstein. Przewidywane jest ono w październiku bądź listopadzie tego roku. Swój przyjazd do Łodzi na tę uroczystość zapowiedziała wdowa po wielkim artyście — Nelly Rubinstein. Dzięki jej darom oraz staraniom muzeum zgromadziło dotąd 2 tys. cennych pamiątek po Arturze Rubinsteinie.

W DNIACH 11—12 KWIETNIA BR. NA AUKCJI ANTYKWARYCZNEJ, organizowanej przez Antykwariat Naukowy w Łodzi, wśród 1500 innych pozycji, pójdzie pod młotek bardzo cenny inkunabul — „Biblia Germanica” (z 1488 r.) z ceną wywoławczą 6 mln złotych. Takiej ceny nie miała jeszcze żadna książka licytowana w Polsce.

Opracował: JAK

ODGŁOSY 9

W grudniu 1938 roku Ławrientij Beria został gospodarzem Lubianki. Nigdy jeszcze, ani przedtem, ani potem w fotelu szefa tajnej policji nie zasiadał tak wszechwładny człowiek. Henrykowi Jagodzie i Nikołajowi Jeżowowi Stalin rozkazywał, Ławrientija Beria mógł się nawet poradzić. Planował też z nim poszczególne operacje.

Ławrientij Beria był nie tylko chamem, obnosił to swoje agresywne chamskie jak sztandar. Przyszedł do Moskwy, kiedy Józef Stalin rozprawił się już z bliskimi współpracownikami Włodzimierza Lenina — Lwem Kamieniewem, Grigorijem Zinowiewem, Aleksym Rykowem, Nikołajem Bucharinem, Janem Rudzutakiem i innymi.

Ławrientij Beria od razu znalazł się wśród swoich. Właśnie takiego człowieka brako-

Odpowiedzialnych pracowników NKID wzywano do sekretariatu. Formalnie nazywano się to zdaniem raportu o pracy wydziału, a w rzeczywistości komisja wypytywała o informację szkalujące komisarza i żądała od przesłuchiwanego przyznania się do szkodnictwa w dyplomacji. Obraz zebrania komisji odtworzył w swoich pamiętkach J. Gnedin.

J. Gnedin przedstawił pracę swojego wydziału prasy. Wspominał o złej organizacji propagandy za granicą i Ławrientij Beria już rozporządzał potrzebnymi „zeznaniami” o „działalności szpiegowskiej” J. Gnedina. Za tydzień 10 maja 1939 r. wzywano J. Gnedina do NKID, a następnie przesłano vis-a-vis na Lubiankę do NKWD.

Aresztowanych pracowników NKID przesłuchiwał Ławrientij Beria wraz z Kobulowem, doświadczonym katem. Gdy do

imienia Włodzimierza Iljicza Lenina.

Dla ludzi przebywających w obozach wojna z Niemcami szła w parze z nasileniem represji. Czekał się pragnęli udowodnić, iż są niezastąpieni i tworzyli sprawy kryminalne z byle powodu.

Dziesięć lat minęło od dnia pojawienia się prawa o grabieży własności socjalistycznej z 7 sierpnia 1932 roku. Zwykła kara — to kara śmierci lub 10 lat. I — żadnej nadziei na rewizję sprawy lub ulaskawienie.

Organy sprawiedliwości surowo karały według tego prawa za machinacje z kartkami żywnościowymi. Na rozstrzelanie skazano w 1943 roku kontrolerkę M. Ufajewą. Meza jej powołano do wojska, zostało dwoje dzieci, jedno dziecko urodziło się w więzieniu.

Wraz z nią skazano ekspedytora A. I. Paka, dwojgu innym dano po 10 lat.

nu wykończono było dębowa i orzechową boazerią z inkrustacjami w stylu starokupieckim. Lustra, nikiel, brąz, złocenia. W sali wisiały trzy kryształowe żyrandole. Oczywiście, ciasno, ale jaki szyk! Wódz korzystał ze swojego cud-wagunu nie częściej jak trzy razy na rok.

Słabość do wagonów pancernych przejawiał jeszcze w 1918 roku. Raz tylko Józef Stalin wyjechał na carycyński front. Pociąg pancerny. Jedyne pociąg pancerny. W tym celu z pozycji. Już wtedy Józef Stalin uważał swoją personę za niezwykle ważną i znaczącą dla państwa. Z upływem lat zwierzęcy jego strach wzrósł niezmiernie i Ławrientij Beria nauczył się z wirtuozerią grać na tej strunie.

Po wojnie, kiedy Generałissimus wznowił wyjazdy na południe Ławrientij Beria odkomenderował do jego ochrony

Panorama

CSRS

PRZEZ 6 DNI trwały w centrum Pragi zamieszki i demonstracje. W jakiś czas później „Rude Pravo” w Pradze i „Pravda” w Bratysławie ogłosiły identyczny tekst: „Dialog — z kim i o czym?” Tekst w bratysławskiej „Pravdzie” minimalnie różnił się od tekstu praskiego „Rudego Prava” w tekstach tych stwierdzono między innymi:

„W minionych dniach, kiedy byliśmy świadkami konfrontacji grup antysocjalistycznych z władzą państwową, wiele ludzi zadawało sobie pytanie: „gdzie przynależą”, ale też pytanie: „dokąd idziemy”, „do czego dążymy”, „czego bronimy?”

Są obywatele organicznie związani nie tylko z tym krajem jako swoją ojczyzną, ale i z państwem socjalistycznym jako rezultatem zmagania społecznego wielu pokoleń. Szanując wartości socjalizmu i nie mając w programie destrukcji społeczeństwa, tylko jego budowanie.

Są też obywatele pozostający na uboku aktywnych starań naszego społeczeństwa, nie zajmujący jednak wobec niego wrożej postawy.

Są uszackie i jawni, świadomi przeciwnicy socjalizmu.

Są ludzie, którzy ze skrajnymi obawami obserwują wydarzenia na placu Wacława, zupełnie wymykające się z nurtu asyzych dni.

Są ludzie, którzy w ten czy inny sposób nie kryli, że identyfikują się z demonstracjami.

Są ludzie, którzy kategorycznie domagali się połozenia kresu demonstracjom przy użyciu siły.

Są ludzie, którzy nie zgadzali się z interwencją sił porządkowych.

Są też rozważania, czy interwencja wobec demonstracji była wyrazem słabości czy siły, zdecydowania czy jego braku.

Jak wynika z tej wyliczanki, jest z kim i o czym dyskutować. Dialog zatem jest potrzebny. Tak też stwierdzają autorzy artykułu.

„Szeroki, szczery dialog społeczny to niezbędny element naszej socjalistycznej demokracji. — Piszą i dalej stwierdzają. — Jeśli mówimy o dialogu społecznym, o socjalistycznej wielości poglądów, to nie dlatego, że chcemy się komunikować, przypodobać, bądź też pchnąć na fali jakiejś mody. Dialog jest prawem życia”.

NIE WOLNO BAWIĆ SIĘ W INDIAN. To nie jest dowcip. W obozie pionierskim w Klasztorcu nad Orlicą przylapano pionierów, jak podzieleni na plemiona Indianie bawili się w zakazaną zabawę. Jedno plemię zbierało ziła lecznie, drugie tropiło zwierzęta, trzecie ćwiczyło strzelanie z łuku. Kontrolerzy z powiatowych komitetów Frontu Narodowego i Socjalistycznego Związku Młodzieży uznali to za wykroczenie i stwierdzili, że na obozach pionierzy powinni bawić się w grę „Niech rakiety służą pokojowi”.

Wszystko to opisano w młodzieżowej gazecie „Młady Svet” i rozpoczęto dyskusję. W jej toku przypomniało, że dzieciom narzuca się trudny, pełen sloganów język, że wykorzystuje się pionierów jako tło wielu politycznych manifestacji i uroczystości, że zabawy w partyzantów czy husytów, jeśli są źle zorganizowane, to też szkoda a nie pomagają wychowywać.

Działacze tej organizacji jednak nie przejęli się zarzutami i stwierdzili, że organizacja pionierska ma charakter polityczny i ma wychowywać przy pomocy polityki.

Dyskusja o zabawie w Indian zainicjowana przez „Młady Svet” jest jedną z form i prób przezwyciężenia sformalizowania i pustostawia, jakie oparowały czechosłowackie organizacje młodzieżowe.

KOREAŃSKA REPUBLIKA LUDOWO-DEMOKRATYCZNA

WĘGRY NAWIĄZAŁY STOSUNKI DYPLMATYCZNE z Koreą Południową, co spotkało się ze sprzeciwem w KRLD. Obniżono rangę placówek dyplomatycznych, odwołano został z Budapesztu ambasador KRLD i zarządano, by Węgry odwo-

łali swego ambasadora z Phe-nianu. Hanmin-dzon — Centralny Komitet Południowokoreańskiego Frontu Demokratycznego — wydał oświadczenie, w którym najpierw potępiono Węgry za nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Koreą Południową, a następnie stwierdzono:

„Oczekiwaliśmy, że władze węgierskie rozważą naszą szczególną, partyną poradę, obudzą się i zajmą słuszną postawę wobec rejonu Południa”.

Musimy zapytać władze węgierskie, czy uważają wojskowo-faszystowski reżim Ro Te Wu, produkt neokolonialnej polityki USA, za niepodległe, suwerenne państwo?”

Zdaniem Hanmin-dzon „reżim militarny Ro Te Wu wydaje swe ostatnie tchnienie, unieruchomiony w bagnie”. Natomiast „władze węgierskie odwróciły się plecami do naszego narodu i do rodaków na Północy, dążących do narodowego zjednoczenia oraz objęły i ucielały separatystów, sprzeciwiających się zjednoczeniu, kroczących drogą zdrady”.

WIETNAM

LUDNOSC WIETNAMU stanowi 66 milionów osób, do Komunistycznej Partii Wietnamu należą 1,7 miliona osób. Jak donosił 3 lutego 1989 roku wietnamski dziennik „Nhan Dan” liczba członków partii zmniejszyła się o 20 procent w porównaniu do 1987 roku. Stało się to w wyniku przeprowadzonej czystki, której celem jest „podniesienie jakości” członków KPW. W wyniku tej akcji w pierwszej połowie 1988 roku nałożono kary partyjne na 20 000 członków KPW, a 7000 osób wykluczono z partii.

WIETNAMSKA SŁUŻBA ZDROWIA cierpi na poważne braki i Zgromadzenie Narodowe Wietnamskiej Republiki Socjalistycznej uchwaliło opłaty za leczenie, podobnie jak i za naukę. Uznano, że szpitale muszą przejść — podobnie jak i inne dziedziny życia w Wietnamie — na rozrachunek gospodarczy. Lekarze w Hanoi oświadczyli, że pobierano opłaty za leczenie już od roku. Za dobę trzeba płać 500 dongów. Średnia płaca w Wietnamie wynosiła 30 000 dongów.

Zezwolono też na otwieranie prywatnych aptek emerytowanym aptekarzom. Apteki te skupują lekarstwa zagranicą i w ten sposób są lepiej zaopatnione i hamują nielegalny handel lekarstwami. Dzienny obrót takiej apteki sięga 100 000 dongów, a ich właściciele zarabiają miesięcznie kilkaset dongów.

WĘGRY

FIDESZ — Związek Młodych Demokratów — zaproponował, aby wszystkie węgierskie związki młodzieży zrezygnowały z udziału w Światowym Festiwalu Młodzieży, który ma się odbyć w Phe-nianu. Węgierskie związki młodzieży zrzeszone są w MISZOT — Krajowej Radzie Węgierskich Organizacji Młodzieżowych. Do MISZOT należą też KISZ — Komunistyczny Związek Młodzieży. Jaka będzie odpowiedź MISZOT jeszcze nie wiadomo.

W BUDAPESZCIE w Teatrze Jutra zorganizowano wystawę nielegalnych wydawnictw — gazet i książek ukazujących się w drugim obiegu. W krótkim czasie wykupiono wszystko, co było na wystawie. Podczas wystawy odbyły się wieczory literackie autorów publikujących w wydawnictwach drugiego obiegu.

„GABOR BETHLEN” — to samodzielny zespół ochrony interesów Węgrów, którzy uciekli z Siedmiogrodu. Są oni w Węgierskiej Republice Ludowej traktowani jako uciekinierzy, przeciw czemu protestują. „Chcemy też brat w dział w rozwiązywaniu problemów całego kraju i narodu węgierskiego” — oświadczyli w deklaracji, w której protestują przeciw traktowaniu ich jako uciekinierów, a nie Węgrów. „Gabor Bethlen” ma więc działać na rzecz zrównania Węgrów z Siedmiogrodem w prawach z Węgrami z WRL, pomagać w łączeniu rodzin, kontrolować prawdziwość pomocy udzielanej przybyłym z Siedmiogrodu.

Opracował: WITOLD BOROWY

Niezwykle dzieje kariery Ławrientija P. Berii (2)

W Moskwie, w cieniu wielkiego Stalina

ANTON ANTONOW-OWSIEJENKO

wało Józefowi Stalinowi dla poczucia komfortu duchowego. Lecz pełnego komfortu nie zaznał nigdy, tak samo jak Ławrientij Beria. Byli oni wilkami-samotnikami. I związek ich był wilczy.

Czy kampania złagodzenia terrortu ogłoszona na początku 1939 roku wpłynęła na losy milionów, męczących się w niezliczonych więzieniach-obozach na stalinowskiej ziemi?

Józef Stalin zlecił rolę czujnego inspektora Andrejowi Andriejewowi, członkowi Biura Politycznego KC WKP(b). I oto ten śmiertelnie zastraszony funkcjonariusz partyjny przystąpił do kontroli, ministerstwa Ławrientija Berii. Trudno wymyślić zabawniejszą sytuację. Czy to przypadkiem nie Ławrientij Pawłowicz Beria podpowiedział Josifowi Wissarionowiczowi Stalinowi kandydaturę Andreja Andriejewicza?

Z odległego regionu przywieziono pewnego niższego pracownika partyjnego, członka „niebezpiecznej kontrrewolucyjnej organizacji” i zaproponowano mu, w gabinecie wydziału śledczego NKWD, aby opowiedział „przedstawicielowi KC” całą prawdę. Zapłatany we własnych zeznaniach ledwie żywy „wrog ludu” nie dostrzegł od razu członka Biura Politycznego KC WKP(b) w oddalonym kącie, nie wiedział, na co się zdecydować. Nieraz już uciekał z powodu prowokacji i nawet, gdy rozpoznał Andreja Andriejewę, bał się podstępnie. „Andriejew odejdzie, a ja zostanę tutaj, w ich rękach...” — rozmyślał aresztant. Potwierdził więc swoje potworne zeznania i rozstrzelano go. Wraz ze „współuczestnikami”

Taką komedię odgrywano na Lubiance w 1939 roku nie raz i nie dwa.

Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych (NKID) uległ pogromowi w tym samym czasie, co inne komisariaty, w latach 1937—1938, przed przyściem Ławrientija Berii na Lubiankę.

W celu uspokojenia opinii publicznej na Zachodzie Józef Stalin rozesłał ambasadorom wielkich mocarstw specjalny program, w którym stwierdzał, że odsunięcie Maksima Litwinowa nie wiąże się w żaden sposób ze zmianą polityki zagranicznej. ZSRR, a spowodowane jest tylko różnicą poglądów byłego komisarza ludowego i Władysława Molotowa w sprawach kadrowych.

Aresztowanym pracownikom NKID wpisano do protokołów przesłuchań zeznania przeciw Maksymowi Litwinowowi: działalność wywrotowa, zdrada, trockistowskie powiązania, kontrrewolucja, szpiegostwo.

2 maja 1939 roku w gabinecie Maksyma Litwinowa zebrali się komisja KC WKP(b): Władysław Molotow — przewodniczący, Georgij Malenkow, Ławrientij Beria, Diekanozow — członkowie. Na długo przed tym majowym dniem pełnomocnicy Józefa Stalina i Władysława Molotowa nawiązali tajne kontakty z Adolfem Hitlerem. Na drugim poziomie — Lubianka i gestapo — odbywała się aktywna wymiana doświadczeń i ludzi. Wszystko to działo się bez wiedzy prostodusznego Maksymowicza Litwinowa.

gabinetu Berii wprowadzono Gnedina, Kobulowa zameldował:

— Towarzyszu komisarzu ludowy, oskarżony Gnedin na pierwszym przesłuchaniu zachowywał się suchawale, ale przyznał się do powiązań z urogami ludu.

J. Gnedin nie czekając na zaproszenie oświadczył, że nie przyznaje się do winy, a co do „powiązań”, to wymienił tylko nazwiska aresztowanych przyjaciół.

Nastąpiło silne uderzenie w kość policzkową. Kobulowi siedzącemu obok wygodnie było bić. Gnedin zachwiał się w lewo — cios pomocnika Kobulowa doprowadził go do pozycji wyjściowej. Bili długo, ze znanstwem. Ze smakiem.

„Beria siedział naprzeciwko i ze spokojną ciekawością obserwował...” — wspominał potem J. Gnedin.

Po pierwszej porcji bicia rozpoczęło się przesłuchiwanie. Ogłoszony, poróżniony Gnedin nie stracił wytrzymałości, nieugiętości ducha. Odmówił przyznania się do zdrady państwa. Widać było, że tu się nie lubi takich klientów. Beria podniósł się i rozkazał Gnedinowi położyć się na dywan. W gabinecie pojawiło się jeszcze kilku specjalistów. Beria rozkazał im zająć się nierozgarniętym szpiegiem. Gnedina rozebrano, odwrócono i zaczęto bić gumowymi pałkami.

— Nie zostawiać śladów! — rozkazał komisarz ludowy.

Zbitego, rozebranego do naga dyplomata wrzucili do zimnego karceru. Nie dawali mu odetchnąć. Ciągnęli go z jednego gabinetu do drugiego i bili, bili, bili. Szczególnie okrutnie katowali w gabinecie Kobulowa — wiele razy Gnedin tracił tam przytomność. Może szykowali go do procesu pokazowego i tylko dlatego nie wykończyli?

Technologia pogromu NKID była prosta i pewna, wypróbowali ją poprzednicy Ławrientija Pawłowicza Berii. Wiosną 1939 wzięli pierwszą grupę oracowników Maksyma Litwinowa, wybili z nich zeznania na pozostałych. Kiedy na Lubiankę dotarła druga grupa, śledczy dysponowali szerokim asortymentem prowokacyjnych zeznań.

Ławrientij Beria już przewyczerzył się do nowego miejsca.

Byli tu tacy sami ludzie jak w Tbilisi. Tak samo sprawnie donosili na siebie, tak samo pokornie wsiadali do „czarnych wron”, znosili oszczerstwa i tortury, zdradzali towarzyszy i bliskich, ginęli w więzieniach i obozach.

Lubianka, centralna katownia tamtych lat, wcale się nie zmieniła. Wciąż tak samo torturowali i zabijali. I te same furgonetki nocami wywoziły trupy do krematorium. I ci sami członkowie Wojskowego Kolegium Sądu Najwyższego ZSRR niecierpliwie spoglądali w oczko metalowych drzwi, za którymi w szatańskim płomieniu ginęły zwłoki „wrogów ludu”. I jeszcze jeden szczegół. Popiół ze spalonych ciał komunistów — a ilu spośród nich było towarzyszami walki W. I. Lenina — wywożono na pola podmoskiewskiego kołchozu

W okolicach Połtawy wdowa po poległym na froncie żołnierzu wraz z sąsiadkami przyniosła z porzuconego pola kołchozowego pół worka zmarnotowanych buraków. Wszystkie trzy kobiety dostały po dwa lata więzienia.

Niezliczoną liczbę obywateli sądząco w latach wojny za spekulację według artykułu 107 Kodeksu karnego ZSRR. Z roznow z uwiecznionymi w opozycji pod Moskwą, na południu, nad wołą, nad rzeczą i w worku zapamiętanie mnóstwo niewinnych skazanych. Różnie, czytając postanowienia sądów oszczędnie przekazywać się, że nie są w przypadki, że była tu cała kampania fałszowania spraw karnych. Ktoś musiał unocnić się na ciepłym podkładce sędziów na wygnaniu, ktoś — uzupełnić kontyngent niewolniczej siły roboczej za drudami.

Ochrona życia sekretarza generalnego stała się najważniejszą sprawą państwową.

W latach trzydziestych Józef Stalin jeździł samochodem osobowym, zbudowanym w Zakładach im. Józefa Stalina. ZIS 101 miał siedem miejsc, zmocnioną karoserię, kuloodporne szyby. Samochód był prawie doskonałą kopią amerykańskiego „buicka”, ale różnił się masownością i zużyciem tyle paliwa, że na jednej z międzynarodowych wystaw zaliczono go do kategorii komfortowych ciężarówek.

Model powojenny (1949) ZIS 110 skopiowano z amerykańskiego „packarda”. Tym razem wykonano karoserię ze stali pancerniej. Ogólna waga stalowego kolosa sięgała 10 ton. Wyprodukowano trzydzieści takich samochodów. Poumieściano je w różnych miejscach ZSRR. W okresie przedwojennym Józef Stalin zajmował miejsce na tylnym siedzeniu, między dwoma agentami ochrony, którzy przykrywali go swymi ciałami z tyłu, zwarłszy ramiona. Później sekretarz generalny zajmował jedno z podnoszonych siedzeń, mając za plecami dwóch agentów na tylnym siedzeniu. Józef Stalin miał zwyczaj zmieniać trasę jazdy tuż przed wyjazdem z Kremla. Na niektórych ulicach były ustalone stałe dyżury specjalnie przygotowanych agentów. Na strychach, górnych piętrach arbackich domów siedzieli snajperzy, gotowi razić w każdy podejrzany cel.

Dopiero w osiemdziesiątych latach cały tabor samochodowy zmarłego dyktatora przetransportowano. Los osobistego wagonu kolejowego Józefa Stalina okazał się szczęśliwszy. Przetrwał do naszych czasów. Dla wyjazdów Józefa Stalina do Borków i Bakuriani służył trzymany na stacji specjalny wagon. Był on nieco krótszy od współczesnych wagonów, ale potęgą obronną i wyposażeniem mógł zbluzwersować wyobraźnię najbardziej wybrednego agenta ochrony. Odlane w grubą stal pancerna stalowe monstrum ważyło 83 tony. Sześć par kół wyposażonych w unikalne resory utrzymywało go na szynach. Wąskie wago-

Swoje pięćdziesięciolecie Ławrientij Beria świętował u szczytu politycznej kariery.

Po głównym konkurencie, Andreju Zdanowie, pozostała zaledwie tabliczka w murze kremliowskim. Pozostali podziwiani byli siłą duchem i podzieleni. W dniu urodzin, 29 marca 1949 r. Michaił Kalinin wręczył zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów — Ławrientijowi Berii — Order Lenina, biorąc pod uwagę jego wybitne zasługi dla partii i narodu radzieckiego. „Zwieszcza” zamieszcza wielki portret jubilat. Jubileusz ten uczucie świętował cały kraj. Gratulacje spływały do Moskwy z Zakaukazia, z Północnego Kaukazu, z Ukrainy, i z Dalekiego Wschodu. Ojczyznę Berii, wioskę Merchelli, odwiedziła korespondentka „Zari Wostoka” i „Sowietskij Abchazji”. Ale, dziwna sprawa, żaden ziomek towarzysza walki Stalina nie opowiedział dziennikarzom o żadnych szczegółach dotyczących życia Ławrientija Berii. Wspomnieli zym słowem cara, pogadali o znaczących przemianach w życiu wsi, pokazali szkołę, opromienioną imieniem jubilat i pomnik drogiego Ławrientija Pawłowicza.

Ludowy artysta ZSRR U. Dżaparidze stworzył monumentalne płótno „Stalin, Molotow, Beria, Mikołaj na Czarnomorskim Wybrzeżu”. Inny laureat Nagrody Stalinowskiej, D. Nałbandjan namalował obraz „O szczęście narodu”: członkowie Biura Politycznego — wśród nich Beria — zamyslili się...

Ławrientij Pawłowicz Beria, aby nie wzbudzić niezadowolenia Wodza w 1950 roku publikuje zbiór artykułów: „Wielki inspirator i organizator zwycięstw komunizmu” o Józefie Stalinie.

C.D.N.

„JUNOST”, nr 12 z 1988 r.

Tłumaczyła i opracowała: BARBARA MADANOWSKA

Idiota przewidywał, iż niesforne uczeń podejmie rozpaczliwą próbę obrony, tymczasem gadając spłunął jadłem swojej wstrząsającej arogancji wypuszczając z profesora powietrze. W klasie zapanowało wyczekujące, naciągane elektrycznością milczenie; klasa drżała wewnętrznie z radości przewidując dalszy, sensacyjny rozwój wypadków nie dotyczących jej bezpośrednio, a więc pożądanym i miłym. Wynik pojedynku Jacka z Idiotą był klasie zupełnie obojętny; ważne, żeby coś się działo.

Wyczuwając te perfidne nastroje Idiota, który nie był wcale idiotą, włączył się do ogólnej ciszy maskując ustępujące szybko zakłopotanie pobłażliwym uśmiechem i zwlekając z wystrzeleniem kolejnego pocisku. Czas grał na jego korzyść. Wicher stał, a on siedział i to dawało mu przewagę. Potrzymam trochę drania w zawieszaniu — zdecydował i zaczął kartkować od niechęci dziennik ocen. Nagle jednak zalała go zła krew, kiedy bowiem podniósł wzrok znad dziennika, stwierdził, że bezczelny wyrostek siedzi w najlepsze i dokonuje przeglądu paznokci.

— Ejże, mości dziej! — ryknął rozsierdzonego humanista. — Jeszcześmy ze sobą nie skończyli.

— Sądziłem, że moja skromna odpowiedź zadowoliła pana profesora — odparł Jacek i podniósł się bez pośpiechu.

— Istotnie, była to wielce interesująca odpowiedź, śmiała, odkrywczą i świadcząca niezłomie o głębokiej znajomości przedmiotu — drwił profesor trzymając ręce pod stołem i wylamując je z chrzęstem. — Ponieważ jednak twoje responsorium jest równocześnie twierdzeniem, należałoby je chyba jakoś udowodnić. Rozwiń zatem, jeśli łaska, plód swego chęznego umysłu. Przekonaj nas, że Sienkiewicz był człowiekiem wstępnym, że występował przeciwko uciemiężonym i walczącym sprawiedliwie o wolność Kozakom Chmielnickiego, że wytyczał armaty przeciw Szwedom, że odmawiał gościnę w granicach imperium polskiego sympatycznej emie tatarskiej i przyjaźnie usposobionym obrzeżaniom z Turcji. No, dalej, wacpanie! Do dzieła!

Manol chichotał cicho i przytakiwał skwapliwie słowom profesora. Taka lekcja, to doprawdy rozkosz! Odwrócił głowę i szepnął do chłopaka z drugiej ławki:

— Rozpierzdolił go!

— Fakt — odsepnął chłopak. — Zgadza się z wami, towarzyszu, w tym względzie.

Głowa Manola wróciła do pozycji zasadniczej, skłonna podjąć w każdej chwili trud radosnego przytakiwania, ale czekała ją przykra niespodzianka: Wicher chwycił dziecinnie chirurgą za ufrzyzowaną czuprynę i włożył mu nos w ocsodolę. Rozległ się wrzask bólu i upokorzenia zestrojony w piekielne unisone z wrzaskiem humanisty:

— Jak śmiesz, bydlaku, dopuszczać się rękoczynów w mojej przytomności?!

— Po pierwsze, to ja nie jestem bydlakiem, panie profesorze — oświadczył spokojnie Wicher. — A po drugie — to stanąłem tylko w obronie pańskiej godności.

— Koisz sobie, czy o drogę pytasz?

— Mówię prawdę.

— Właśnie, ja przezi!

— Kolega Manol tobi z pana sodomitę. Przed chwilą powiedział Brzezińskiemu, że pan profesor był łaskaw mnie rozpierzdolić.

— Wcale tak nie powiedziałem! — zaprzecowało dzieło chirurga.

— Powiedziałeś, Manol, powiedziałeś — stwierdził z szaliberczym ubolewaniem Brzeziński, pocziwie chłone, które doszło najwyżej do wniosku, że nie zaszkodzi dołączyć do ognia i upiec jednym ciągiem dwóch koleśków.

Apoplektycznie czerwona twarz Idioty wprawiła młodzież w stan niebiańskiej ekstazy. Lekcja miała skończyć się dopiero za piętnaście minut, jednakże w tym szczególnym wypadku klasa chętnie przedłużyłaby zajęcia o godzinę, bowiem żaden kryminalny film nie wytrzymałby konkurencji z tą pasjonującą przedmową rozgrywką. O! ważyły się w tym momencie czyścić łosy! Dojrzał dramat, który miał niebawem zaowocować straszliwie poza granicami szkoły.

Signał Idioty po następnym papierosa. Buchnął dymem, odkaslnął, ale nie spłunął. Kto nie umie zmieniać tempa i mieszać nastrojów, nie zasługuje na miano prawdziwego artysty. Włabiciel Sienkiewicza posiadł na szczęście tę sztukę, tak mu się przynajmniej zdawało.

— Manol!

Chłopiec wyskoczył z ławki jak sprężyna:

— Słucham!

— Co masz na swoje usprawiedliwienie?

— To, że w żadnym wypadku nie chciałem panu profesorowi ubliżyć.

— Wyobraź sobie, że ci wierze.

— Dziękuję panu! Wulgarnego słowa użyłem jedynie w tym celu, aby mocniej wyrazić podziw dla riposty, jakiej udzielił pan Jackowi.

— On nie kłamie, panie profesorze — wtrącił przytomnie Brzeziński. — Ja również widzę podziw dla riposty...

— Milcz! A ty śladaj — polecił Manolowi

— i nie wyrażaj mi więcej podziwu w tej, ani w żadnej innej formie. Nie lubię pochlebców.

— To zupełnie tak samo jak ja — ciągnął Wicher wsparty niedbale ręką o ławkę. Dźwięczną przylgładą się z uwielbieniem wysokiej, szcuplej sylwetce odważnego i krnąbrnego chłopca. Idiotą nie przegapił tej okoliczności i postanowił zadać Jackowi decydujący cios.

— Zadowolony jesteś z siebie, panie kawalerze? — zapytał słodko.

— W miarę — rzekł Jacek.

— Powiedz no mi ile tracił pozornie na wadze ciężar ciała zanurzonego w wodzie?

— To zależy, panie profesorze, czy zanurzy się w wodzie świnię czy osła.

Idiota nie stracił tym razem zimnej krwi. Był przygotowany na twardą i bezkompromisową walkę.

— Zachęcaj mnie, młodzieńcze — powiedział wystukując na okładce dziennika synkopy.

— Wszelako panna, która uczy was fizyki, nie podzielił moich zachwytów nad tobą. Nie martwisz się tym?

— Nie. Wystarczy mi w zupełności zachwyt pana profesora.

— Serdeczne dzięki, soko. Problem wszakże spoczywa w sferze bezwzględnej podziatu kompetencji. Jeśli o mnie chodzi, przedstawiasz



się fizycznie bez zarzutu: mała główka, wąskie czoło i szerokie bary; typ nordycki przynosiący chlubę narodowi panów. Jeśli jednak chodzi o fizyczne (zdanie to wymówił przewlekłe, z obelżywym akcentem), szlachetna owa dama lekceważyła swój nierówny intelekt i chce rąbnąć ci na zakończenie roku bombę. Wiesz zapewne o jej podłych knowaniach?

— Wiem.

— To się cięsz. Zdasz sobie chyba również sprawę, że z jedną dwójką delikwent może ewentualnie uzyskać świadectwo ukończenia szkoły, pod warunkiem, że nie przystąpi do egzaminów maturalnych?

— Panie profesorze!

— Tak?

— Ja najmocniej przepraszam, ale pan zaczyna mnie nudzić. Poza tym bolą mnie nogi od długiego i bezproduktywnego stania. Nie pogniewa się pan przecież, jak se siedę.

To mówiąc, bezczelny urwis rozwałił się w ławce niczym tygrys z przetrąconym stołem pacierzowym. Bał gdyby się tylko rozwałił — nie takiego! Pozwolił sobie w dodatku, niecnota, na kilka podłych epitetów i wykład, który przypłacił nieszczeremu profesorowi o bóle w klatce piersiowej. Nieszczerzy profesor dałby wszystko, aby pozbył się Jacka, ten jednakże podjął dyskusję w tonie jednoznacznie pogodnym:

— Wstyd, panie profesorze, jak poważam i kocham Najświętsze Serce Chrystusa! Pan niechybnie zaprzedał się diabłu. Cmi pan te ohydne papierosiska, z czego oni to robią? Po-chlebia pan możnym, dokuca biedakom. Szkańda! szkańda! Cicho! — syknął widząc, że usta Idioty składają się do wrzasku. — Nie skończyłem jeszcze, panie profesorze, odpowiedź na pytanie, w czym tkwi istota i siła sienkiewiczowskiego talentu, a jak pan dostał czkawki po tym kopicie z siana i paznokci, to służę uprzejmie camelem. No, jazda! — wrzucił zszokowanemu Manolowi paczkę z wizerunkiem dromadera na tle egipskich piramid.

— Poczęstuj pana profesora, lizusie! Nie? Noto nie! Gdyby jednak pan profesor nabral ochoty, jeździłby gotowe.

— Dalej, dalej, nie żałuj sobie — powiedział niby to bez troski Idiotą repetyując długopis z miana strzelca w plutonie ezekucyjnym. Decyzja zapadła, Jacek był już tylko trupem.

Trup wszelako, nie przeczuwając widocznie swego żalosnego końca, ciągnął wesoło:

— Siekać, rąbać, bigosować, mości panowie! Różni, mordu, kto w Boga wierzy! Już tam Jerema kazał zastrugać dla Bohuna palik, już tam nawłócił pohańca na rożen i przyozdobił trupami wisielców wszystkie okoliczne drzewka, podobnie jak to później uczynił świetlanej pamięci pułkownik Wołodjowski, czekając w kresowej stolicy na przyjazd ukochanej Basieńki i donosząc jej w listach, że dwudziestu czy trzydziestu zdrajców dynda już na gale-ziach. Żywi przy tym nadzieję, iż nim świeżo poślubiona żona ściągnie u boku pana Zagłoby do tortu, dyndać będzie około setki. Basieńka,

serce szczerzoliwe, bardzo lubiła odwalić sobie przed kolacją kilka tatarskich główek z płuczkami albo ustrzelić w krzakach dzikusa. Kawał o nopolisach przypomniał mi się w tym momencie, panie nauczycielu. Zna pan zapewne tę budującą afrykańską historię?

Profesor uśmiechnął się zainteresowanie. Dzielnie, trzeba przyznać, panował nad nerwami, i miał wszelkie powody do dumy.

— Nie słyszałem jej, panie bracie.

— Opowiedz!

— Ależ tak, proszę!

— Więc spotkało się na safari grono myśliwych — zaczął Jacek mrużąc filuternie oko.

— Byli to oczywiście biali: nieustraszeni pogromcy dzikich zwierząt. Pili whisky i rozprawiali o swoich sukcesach. Kenijczyk miał na rozkładzie trzydzieści lwów i piędziesiąt słoni, Tanzańczyk położył trupem sto tygrysów, ale wszystkich zakosił dżentelmen z Republiki Południowej Afryki oświadczając skromnie, że kropnął ze swojego sztucera dwieście nopolisów.

Klasa i profesor słuchali opowieści Jacka w skupieniu, ten jednakże zawiesił głos i patrzył beznamiętnie w okno.

— Koniec? — zapytał rozczarowany profesor.

— Koniec — przytaknął Jacek.

— Mógłbyś nam przynajmniej wyjaśnić, co to są te nopolisy.

— O to samo właśnie poprosili dżentelmeni z RPA panowie z Kenii i Tanzanii, a on im wyjaśnił, że nopolis, to takie czarne chuderlawe zwierzę, które kryje się w buszu i nim wygarniesz do niego z grubej rury, podnosi do góry łapki i zaczyna krzyczeć: — No, no, please! No, please!

Ktoś zachichotał nerwowo. Klasa uczyła się od czterech lat angielskiego i choć nie zrobiła w tym zakresie nadzwyczajnych postępów, chwyciła sens makabrycznego dowcipu. Chwycił go również Idiotą i poczerwiał ze złości. Aluzja była dostatecznie przejrzyta. Bacher ma czelność porównywać nieśmiertelnych bohaterów Sienkiewicza z bandą pretoriańskich rasistów. Zaciął pięść i długopis trzasnął mu w palcach jak zapalka. Spokój! — nakazywał sobie w duchu. — Spokój, bo przeniesiesz się za sprawą tego bękarta na tamten świat.

Tymczasem rozparty w ławce syn karykaturzysty poczęstował go perfidnym komplementem:

— Ależ pan ma krzepę w garści, panie profesorze! Zupełnie jak Zbyszko z Bogdańca, który wyściskał z galezi sok. Najbardziej jednak imponowały mi zawsze kompaniony panakmi-cioowe i pan Andrzej przepelniony głęboką i bezinteresowną miłością do ludzkości. Pan Andrzej wrzasnął nierzaz w karczmie na parobka:

— Chłobie, gorzałki szybko, bo zetne! — A jak sobie popił, nigdy nie był od tego, żeby puścić z dymem jakąś wieś albo wyszlachetować dla rozgrywki pół miasteczka. Za to go właśnie tak kochamy, drogi panie profesorze, i dzięki takim właśnie jak on postaciom trylogia Sienkiewicza jest prawdziwym arcydziełem, a nie

jakąś tam papierową bajdą, gdzie rycerze oplakują rzewnymi łzami każdego zabitego wroga, w wolnych zaś chwilach nie tańczą bynajmniej, nie hulają, nie żrą, nie chłają, nie zalecają się do dziewczyn, jeno leżą krzyżem w kościele lub mamroczą bez końca o swoim przywiązaniu do ojczyzny. Gdyby pan wykastał trylogię z okrucieństwa, pozostałby z niej taki właśnie gnój i Sienkiewicz mógłby pośmiertnie kandydować do nagrody pocieszenia w konkursie utworów zapomnianych.

Idiota, gotów postawić chłopcu dwójkę i wyrzucić go na zbitą mordę z klasy, zaskoczony był pointą Jackowego wywodu. Zupełnie nie wiedział, co robić. Wpatrywał się w zdruzgotanego długopis i szperał gorączkowo w zakamarkach mózgu z nadzieją, iż znajdzie jakąś ciętą i dowcipną replikę; tymczasem w korytarzu zaterkotał elektryczny dzwonek i niedoszła ofiara, Jacek T., wstał, skinął profesorowi głową i opuścił poligon bitewny, zostawiając Idiotę sam na sam z trzema rzędami oniemiałych maturzystów.

3.

Wchodząc do bramy Jacek zderzył się nieoczekiwane z Gejszą. Było to zderzenie w sensie dosłownym — oboje zamysłeni i podążający w przeciwnym kierunku wpadli na siebie niczym dwa średnio rozpędzone samochody bez zderzaków. Jacek ułknął nosem w wyszczekowane, pachnących odurzająco włosach dziewczyny, ta zaś chwyciła go delikatnie za ramiona i odepchnęła lekko od swoich dużych jędrnych piersi. Jacek mruknął ponuro: przepraszam, notując jednocześnie przyjaźnie na polity i na polity żartobliwie spojrzenie, jakim Gejsza obdarzyła go spod pięknie wymodelowanych, ciemnoczarnych brwi.

Sekunda przeznaczona na taki incydent już minęła, ale Jacek dałby głowę, że były to przynajmniej dwie sekundy. Czuł wokół serca gorącą, miękką, promieniującą rozkosznie obłąk. Los rzucił mu niczym kolo ratunkowe narkotyk ze skutkiem natychmiastowym; zapomniał o niepotrzebnym doprawdy starciu z Idiotą; nużący dzień nabrał blasku; mroczna, cuchnąca kotami klatka schodowa wydała mu się nagle kochanym i sympatycznym schroniskiem. Na trzecim piętrze sięgnął po klucz i otworzył drzwi z nieczystym pragnieniem ucałowania starczych, usianych zmarszczkami policzków babci. Był nawet gotów chwycić siatkę i ruszyć do sklepu po zakupy, ale stwierdził z radością, że w owych szlachetnych zapachach zdążył go już wyprzedzić ukochany brat.

Bernard siedział z babcią przy okrągłym, surowo zastawionym stole. W buchającej parą wazie żuru pławilo się peto białej kielbasy, na półmisku leżały soczyste platy szynki i baleronu; salaterka kipiała od drogich w owym czasie pomidorów, pokrojonych babcią ręką w ćwiartki, doprawionych cebulą, posypanych tartym serem i skropionych obficie sosem z octu, oliwy i musztardy. Nie zabrakło również wśród tych wspaniałości napoczętej butelki poloneza, dwóch zagranicznych napoczętych butelek poloneza, dwóch zagranicznych soków grapefrutowych w litrowych kartonach i kilku rzucanych niedbale na obrus paczek amerykańskich papierosów. Szaleństwo, jednym słowem, zdolne złagodzić każde nieszczęście, a jak ktoś był szczęśliwy, to już chyba na ten widok mógłby tylko oszaleć.

Jacek ucałował babkę, uścisnął dłoń brata i zaczął palasować łapczywie żur z kielbasą. Każdy wydobyt z odmętów żuru kęs kielbasy smarował obficie musztardą, aby zmiadzić go następnie w kleszczach swoich białych, zdrowych zębów. Szynkę i baleron jadł już z nieco mniejszym rozpędem.

— Kielicha? — zapytał Bernard.

— Nie, dziękuję. Wole sok.

Pili więc: starszy wódkę, której ubywało systematycznie w butelece, młodszy ekstrakt z grapefruita. Babka pogłodziła trochę pod nosem, zdjęła ze stołu opróżnione talerze i wyszła powłócząc nogami. Bracia zasadzili sobie w ustach papierosy i przyglądali się jeden drugiemu z miłością. Owiane dymem twarze, podobne na swój sposób i niepodobne, spowzniały, jakby przekazali sobie raptiem bez udziału słów jakąś głęboką, groźną, skrywaną od dawna tajemnicę.

— Chciałbyś się na pewno dowiedzieć — zatakał gwałtownie Jacek — co tam słychać w budzie, przed maturą. Otóż nie dalej jak godzinę temu stoczyłem brutalną walkę ze skurwysynem — polonistą i chociaż jestem prawdopodobnie jego najlepszym uczniem, facet zrobił wszystko, żeby mnie upierdolić.

— Może trzeba skurwysyna posmarować? — Daj spokój, Bernard. Ciągłe byś tylko smarował i smarował, jakbyś miał miliony. W tej bogatej szkole, pełnej zdeprawowanych beltrów i równiarzy, których rodzice obracają tysiącami dolarów, przepukuje się zawitym systemem, przez pośredników i bez świadków, i niekoniecznie muszą to być akurat pieniadze. Co ty możesz mu dać, takiemu skurwysynowi?

— Mogę wziąć go na bok i dać mu w ryja.

— W ryja to ja sam mogę rąbnąć ścierwo, bez twojej pomocy. Zostawmy zresztą tę sprawę; poradzę sobie jakoś, skoro ci tak bardzo na tym zależy.

— I stądiesz do egzaminów maturalnych?

— Nie. Dadzą mi na odpierdół świadectwo ukończenia szkoły, ale powiem ci szczerze, że w tej chwili nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

— A co ma dla ciebie znaczenie, chłopaku?

Jacek wchłonął do płuc potężny haust dymu, zdusił niedopalek w popielniczkę i spojrzał starszemu bratu w oczy z depresją osaczonego tygrysa.

— Wyperdolej z kraju — powiedział.

— Po co?

— Żeby złożyć wizytę naszemu kochanemu tatusiowi.

— Jak chcesz to zrobić?

— Uprawdę samolot.

Każdy inny, starszy o dwadzieścia dwa lata brat wybuchnąłby w tym momencie śmiechem. Ale Bernardowi nie było wcale do śmiechu. Bernard dobrze znał swojego małego, szalonego i jednocześnie piekielnie trzeźwego bratka. Opróżnił zatem spokojnie stugramowy kieliszek i powiedział z flegmą:

— Przedstaw mi, jeśli łaska, szczegóły twego ambitnego planu.

C. D. N.

MIEDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE PROGRAM WYSTAWIENNICZY NA ROK 1989

14-17.03. — Targi Krajowe „WIOSNA”
10-14.04. — INFOSYSTEM — Międzynarodowe Targi Elektroniki, Telekomunikacji i Techniki Komputerowej.
10-14.04. — POLIGRAFIA — Międzynarodowa Ekspozycja Maszyn Poligraficznych.
25-28.04. — ENVIRONES — Międzynarodowa Wystawa Aparatury i Systemów Pomiarowo-Kontrolnych dla Ochrony Środowiska.
25-28.04. — POL-EKO — Międzynarodowa Wystawa Ekologiczna.
02-07.05. — POLSKIE MEBLE — Proekspozycyjna Wystawa Polskich Mebli.
11-18.06. — MIEDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE.
12-18.06. — MTP-INTERFASHION-ŁÓDŹ — Międzynarodowe Targi Odzieży, Tkanin, Dzierżawstwa i Wyrobów Skórzanych.
03-07.09. — SIMMEX — Międzynarodowe Targi Górniczo-Energetyki i Metalurgii.
(Katowice)
03-08.09. — Targi Krajowe „JESIEŃ”
03-10.10. — Kongres Międzynarodowego Związku Ogrodniczych (AIPH).
08-15.10. — POLAGRA — Międzynarodowe Targi Rolno-Przemysłowe.
Krajowa Wystawa Ogrodnictwa
08-15.10. — TAROPAK — Międzynarodowy Salon Techniki Pakowania i Magazynowania.
21-23.10. — Międzynarodowa Wystawa Psów Rasowych.
24-27.10. — KOOPERACJA — Międzynarodowe Targi Drobno-Przemysłu i Rzemiosła.
28.11.-03.12. — INTERART — Targi Sztuki Krajów Socjalistycznych; Targi Materiałów, Sprzętu do Twórczości Plastycznej.

MIEDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE
ul. Głogowska 14, 60-734 Poznań
tel. 69-55-41, telex: 413251 targ pl

318/k



Przedsiębiorstwo Zagraniczne

POLCONTACT

ŁÓDŹ ul. LIŚCIASTA 41 tel. 55 64 44 tlix 88 66 22

OFERUJE

kopalniom, hutom, zakładom energetycznym oraz innym jednostkom gospodarczym:

- ▲ ZAPŁONNIKI TZ-04 do lamp sodowych 400 W (wyładowczych),
- ▲ PRZEKAŹNIKI ZANIKU FAZY PZF-3 do ochrony silników trójfazowych
- ▲ STYCZNIKI CR do łączenia baterii kondensatorów,
- ▲ PRZEKŁADNIKI prądowe niskiego napięcia ELA-1,
- ▲ SPRZĘT OŚWIETLENIOWY DUŻEJ MOCY: 1000 W, 2000 W, 3500 W, ▲ INNE urządzenia elektroniczne. 733/K

Z OSTATNIEJ CHWILI!



Superwygrana w Super Lotku w Łodzi

38.272.098 zł

15.667.660 zł
7.091.692 zł
7.995.361 zł

wypłacono tylko w nowym roku w oddziale łódzkim

Łódź miastem rekordowych wygranych w Totalizatorze Sportowym!!!

Na wyliczanie wygranych od 1 do 5 milionów złotych brakuje miejsc.

Wpisać się na honorową listę milionerów można tylko za pośrednictwem Kolektur Totalizatora Sportowego! Stoją otworem!

Życzymy wszystkim naszym Sympatykom szczęśliwego typowania oraz rekordowych wygranych.

P.P. Totalizator Sportowy
OM w Łodzi

728/K

Przedsiębiorstwo Elektromontaż

ŁÓDŹ ul. TRAKTOROWA 141/143

ZATRUDNI OD ZARAZ

na korzystnych warunkach płacowych:

- * Inżynierów i techników mechaników na stanowiska
- kierownika zespołu konstruktorów
- konstruktora narzędzi
- technologa
- technika ds. normowania pracy
- * Inżyniera elektronika na stanowisko projektanta
- * Kierownika magazynu i zastępcę
- * Specjalistów ds. zaopatrzenia
- * Inżynierów lub techników elektryków do działu przygotowania produkcji i działu eksportu
- Inspektora ds. plac
- Księgowo
- Słusarzy-sprawczy

Przedsiębiorstwo nie przyjmuje osób po porzuceniu pracy.

Przedsiębiorstwo prowadzi roboty eksportowe na terenie ZSRR, CSRS i NRD.

Informacji udziela Dział Kadr — telefon 52-47-15 w. 280, 279 i 277. 1517/K

Dostawy hurtowe artykułów każdej branży

to oferta dla przedsiębiorstw i odbiorców indywidualnych całego kraju, jaką przedstawia

PRZEDSIĘBIORSTWO TECHNICZNO-HANDLOWE

* „PROMEX” *
Sp. z o.o. JGU

ul. Kopernika 5

26-600 Radom

oferty dostaw
i możliwości
zakupienia
atrakcyjnych
towarów



Prosimy o kontaktowanie się pod nr 255-49 w celu zapoznania się z aktualną ofertą i ustalenia terminów dostaw

Przyjmujemy zlecenia na hurtowe dostawy artykułów zamówionych na specjalne życzenie P.T. Klientów.

Z A P R A S Z A M Y
„PROMEX” DOSTARCZYĆ MOŻE WSZYSTKO

uwaga fotoamatorzy!

— U NAS JUŻ REFORMA —

NAJTAŃSZE ODBITKI BARWNE W POLSCE NA PAPIERZE AGFA.

- Z filmów wywołanych u nas, przy zamówieniu po 1 sztuce z dobrych
- małoobrazkowych, format 7 x 10 — idealny format do albumu — cena — 180 zł.
- małoobrazkowych i pocket format 9 x 13 — cena — 250 zł.
- małoobrazkowych i słoików format 13 x 18 — cena — 450 zł.

TYLKO DLA BOGATYCH

Odbitki na papierze KODAKA — bardzo drogie — bardzo dobre.
Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP ZAPRASZA

03-318 Warszawa — Bródno
ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-85
00-545 Warszawa — Śródmieście
ul. Marszałkowska 72, tel. 28-32-29

PRACE MOŻNA RÓWNIEŻ NADSYLAĆ POCZTĄ.

KUPIMY małe pawilony lub lokale sklepowe, własnościowe nadające się na punkty przyjęć w centrum miast wojewódzkich.

685/K

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zastrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

BIBLIOTEKA, KTÓREJ JUŻ NIE MA

W 1988 r. zaczęła pracować 27 Rejonowa Biblioteka Publiczna dla Dorosłych na Bałutach. Przejechała ona około 35-tysięczny księgozbiór Biblioteki Łódzkiego Domu Kultury, kończąc w ten sposób istnienie tej zasłużonej dla kultury miasta placówki. Na skutek generalnego remontu gmachu LDK została w r. 1978 przeniesiona do Domu Filmu i Plastyki LDK przy ul. Lagiewnickiej 118. Po ukończeniu remontu względy lokalowe a zapewne i finansowe spowodowały decyzję zaniechania prowadzenia działalności bibliotecznej w macierzystej siedzibie.

Okres świetności biblioteki przypada na lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte i jest nierozdzielnie związany z nazwiskiem wieloletniej kierowniczki Krystyny Lewickiej. W czasie gdy „rejonówki” mieściły się w starym budownictwie i małych lokalach blokowych Biblioteka LDK wyróżniała się obszerną salą biblioteczną, estetyczną i funkcjonalnie urządzone. Założona w 1947 r. dostępna była dla wszystkich mieszkańców Łodzi od 18 lat. Kompletowała literaturę piękną, popularnonaukową i materiały repertuarowe dla amatorskiego ruchu artystycznego. W 1985 r. stan księgozbioru osiągnął 26.873 woluminy. Przyciągała czytelników nie tylko dobrym księgozbiorem, ale i rozbudowanymi kartotekami (osobową pisarzy polskich i obcych, zagadnieniową, przewodników turystycznych, materiałów repertuarowych, i społecznej poezji) a także udzielanymi informacjami bibliograficznymi. Biblioteka prowadziła instruktaż i szkolenie pracowników bibliotek związkowych do r. 1961, kiedy to podjęła je Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego. Była też terenem praktyk słuchaczy Studium Kulturalno-Oświatowego i Bibliotekarskiego i organizatorem licznych pokazowych imprez i spotkań z pisarzami.

IZABELA NAGÓRSKA

KONCERT W TUNELU

Gdzieś w pierwszych miesiącach 1945 roku gwoździł podniesienia wydajności pracy w podziemiach Dory-Mittelbau, komendant obozu działając w porozumieniu z Dyrekcją Zakładów Zbrojeniowych wydał rozkaz, aby specjalna orkiestra obozowa (rodzaj orkiestry symfonicznej złożonej z wybitnych w większości muzyków filharmonii, oper, teatrów i kabaretów podbitej Europy) przegrywała codziennie w janej hali produkcyjnej bądź w biurach. Taką informację otrzymał któregoś dnia pracownik „Büro für Rudermaschine von V 2” (Biuro Maszyn Sterowniczych V 2), którego kierownikiem był sympatyczny skądinąd Austriak, a sekretarką młoda Niemka o rubensowskich kształtach, którą nazywano „Fräulein Boy”. Dość często do tego „Büro” zaglądał sam inż. Werner von Braun, który chętnie korzystał z usług dobrych rysowników. Należał do nich Janusz Banaszkiewicz, który wykonywał dla niego odręczne rysunki różnych maszyn, przemysłowych i urządzeń, (Janusz był po II wojnie etatowym rysownikiem czy nawet redaktorem „Gazety Poznańskiej”). Zginął w katastrofie samochodowej w latach 60.).

Zapowiedziany koncert rozpoczął się w naszym biurze o około 2 godziny przed zakończeniem pracy. Ta improwizowana orkiestra symfoniczna grała „sercem i duszą”, wszyscy słuchali jej jak urzeczeni. Jeśli ktoś daje się wyprowadzić wszystkim, to my wiązaliśmy się z nimi i nie mieliśmy w niej najmniejszej, a przede wszystkim takim tęsknotą za najbliższymi i wolnością, za prawem do normalnego życia i miłości, za wszystkim, czego zostaliśmy pozbawieni. Koncert obejmował głównie muzykę rozrywkową.

W pewnym momencie zacząłem odczuwać jakiś nieokreślony lek i niepokój, który mimo wysiłków z mego strony do opanowania nie udało mi się ustąpić, ale wręcz odwrotnie — nasilał się i potęgował. Obserwując innych i to zarówno pracowników cywilnych jak i więźniów odnosiłem wrażenie, że doznają oni podobnych uczuć.

Gdy ucichły dźwięki, wszyscy byli wzruszeni, przejeżdżając do głębi niepowtarzalnym klimatem, jaki stworzyła piękna gra, ale milczący i poważni. Nikomu nie przyszło do głowy, aby trud muzyków nagrodzić brawami. Po koncercie, nie spiesząc się, zebrał się jak zwykle w szoku marszowym i skierowali bocznym tunelem do głównej sztolni, która prowadziła do bramy wejściowej. Nim jednak dotarliśmy do sztolni, usłyszeliśmy głośne nawoływania i krzyki, przepłatanne szlochaniem psów.

W sztolni czekał już na nas luźno rozstawiony szpaler esesmanów którzy krzykiem zachęcali zbliżających się więźniów do patrzenia w prawo w górę. To co ujrzeliśmy, było dla nas koszmarnym wstrząsem. Oto na potężnej suwnicy elektrycznej umieszczonej pod pulapem sztolni wisiało 12 bezwładnych ciał w paszkach. Każdy skazaniec miał ręce z tyłu związane drutem, a usta zaciśnięte kawałkiem drewna zawieszonym drutem na szyi. Kto odwracał głowę lub w jakikolwiek inny sposób okazywał niezadowolenie z tego, co należało oglądać z entuzjazmem i radością, obrywał esesmańską szpicrutą po plecach lub głowie.

Jak się później dowiedzieliśmy, ta okrutna egzekucja stanowiła akcję odwetową za szeptów dokonany na jednej z hal produkcyjnych, polegający na sypaniu piasku do łożysk tocznych maszyn, co powodowało ich unieruchomienie, a w konsekwencji przestój w produkcji niezbędnych elementów do rakiet. Przed egzekucją suwnicę opuszczono nisko tuż nad głowami nieszczęśliwych, zakładając im na szyję różnej długości stryczki. Egzekucja odbywała się przy wesołych dźwiękach orkiestry obozowej. Suwnica uносиła się do góry, zaciągając stopniowo sznur na szyi coraz to innemu skazanemu. Temu widokowi przyglądali się uśmiechnięci, niemal radośni esesmani, nader poważni pracownicy cywilni, często podejrzewani o sympatię dla więźniów.

H.P.

STACH KASZYŃSKI Z WARTY

W twórczości niedawno zmarłego prof. Stanisława Kaszyńskiego przewija się motywy ojca, który zginął tragicznie w pierwszych latach okupacji oraz motywy dziadka, który „miał sady” (a umarł nagle, wybierając się na ryby — H.P.). Pamiętając doskonale jednego i drugiego, chciałbym w wątki nieco poszerzyć. Ojciec Stacha, brat mojej matki, Władysław, w kawalerskim jeszcze stanie zaglądał czasem do domu rodziców moich, ciekawym zapewne, tam słysząc u młodszej siostry. Lubił dzieci i umiał się z nimi bawić. Robił z nas, maluchów, kolo i kazał się poruszać w lewo lub w prawo w rytm śpiewanej przez siebie piosenki.

Pamiętam go także jako zapamiętałego reżysera teatrów amatorskich w Warcie. Był niejako „nadwornym” reżyserem Towarzystwa Śpiewaczego „Lira”, które dość często wystawiało na deskach dawnej remizy strażackiej (obecnie szkoła im. S. Kaszyńskiego) inscenizacje muzyczne Krumpholtza z dowcipnymi kupletami. Jedną z ostatnich przed Wrześniem 1939 r. były „Krowdzkie zuchy”. Wuj Władysław należał do generacji, która inaugurowała bale i zabawy mazurem bądź polonezem. Zabawy

takie ongiś odbywały się w zasobniejszych domach warciańskich obywateli.

W domu dziadka Kaszyńskiego, w rynku, była kiedyś księgarnia Mariana Tylińskiego, którego zwanego, nie wiedząc dlaczego — „Manius Opera”. W księgarni tej można było kupić głównie modne wówczas romanse za 95 groszy, sensacyjne i mroczne krew opowieści kryminalne, zwykle o szokujących podwójnych tytułach. Obok tych niewątpliwych atrakcji były także do dyspozycji „szanownej klienteli” dzieła wybitnych twórców polskiej literatury.

Dziadek Antoni Kaszyński był człowiekiem towarzyskim, dowcipnym i inteligentnym. Uwielbiał skrzypce i grał na nich dumki ukraińskie, polki, oberki itp. W gronie przyjaciół nie gardził alkoholem, jak o tym wspomina Stach. Ale nie przypominam sobie, abym go kiedykolwiek widział „zawianego”. Znał swoją miarę.

Wspomina Stachu o dziadku, zapominając mimochodem o babce Józefie, rodzonej siostrze Józefa Kolińskiego, wybitnego łódzkiego okulisty, społecznika i publicysty (1852—1932). Nie sięgając zbyt głęboko w przeszłość, jeden z protoplastów Józefa Kolińskiego zasiadał z wyboru „od pospólstwa” we władzach miasta Warty w roku Pańskim 1772.

Pragnąłbym też wspomnieć, że Stach Kaszyński był ab Societate Conditae (1886) przewodniczącym Towarzystwa Przyjaciół Miasta i Rzeki Warty, których był prawdziwym przyjacielem i plewnicą.

HENRYK PANKIEWICZ

NA RADOGOSZCZU

Czasem zdarza się, że słyszę w rozmowie, bądź też przeczytam w publikacji prasowej błędną odmianę nazwy jednej z podzielnicy Łodzi — Bałut, na terenie której urodziłem się, wychowałem, chodziłem do szkół, pracuję i mieszkam obecnie. Chodzi o RADOGOSZCZ.

Twierdząc, że nazwa ta jest rodzaju męskiego (a nie żeńskiego jak np. Bydgoszcz) winno używać się formy: na RADOGOSZCZU, a nie na RADOGOSZCZY. Nazwa RADOGOSZCZ pochodzi od imienia RADOGOSTA (RADYGASTA) — w mitologii słowiańskiej naczelnego bóstwa wielkiego plemienia Redarów, który prawdopodobnie czczony był jako bóg słońca, ognia i płodów rolnych.

W tej RADOGOSZCZY czczono różne bóstwa z najwyższym z nich RADOGOSTEM — SWAROŻYCEM i jestem przekonany, że od niego pochodzi nazwa RADOGOSZCZ w Łodzi.

PAWEŁ NALEWAJSKI

PS. Pracuję w zakładzie o nazwie „Radogoszcz”.

POCZTÓWKA Z LONDYNU

Serdecznie wszystkich pozdrawiam. Już niedługo będę w Łodzi. Londyn jest wspaniały, ale czasu tu nie marnuję. Z dziennikarskiego obowiązku donoszę wam, że wczoraj (14.01.1989 r.) w supermarkecie zabrakło chleba już o godzinie 16. I co Wy na to?

ZOFIA KEDZIORA

Nie nas to a nie nie obchodzi. Niech się o chleb w Londynie martwią londyńczycy. My i tak jesteśmy lepszy. W sobotę (11.02.1989 r.) na Chocajnie w rejonie Czerwonego Rynku chleba nie było już o godzinie 10.

REDAKTOR DYŻURNY

JAK WYGLĄDA PODRÓŻ DO RAJU

Możliwości wyjazdu na budowę eksportową są dwie. Umowa „Dromexu” z określonymi przedsiębiorstwami. Druga natomiast — to posiadając zgodę dyrektora macierzystego zakładu pracy na urlop bezpłatny, załatwienie pracy na własną rękę. W obu przypadkach konieczny jest 5-letni staż pracy w jednym zakładzie, no i posiadanie określonego udokumentowanego zawodu. Czas oczekiwania na wyjazd różny. Od kilku lat do kilku miesięcy. Zależy to nie tylko od szczęścia. Następnie, najczęściej zupełnie niespodziewanie otrzymuje się telegram z prośbą o zgłoszenie się w „Dromexie” w celu pobrania dokumentów.

Kilka dni, które pozostają do wyjazdu to tysiące spraw do załatwienia, pożegnania i oczywiście kupno „towaru”, który będzie można korzystnie sprzedać w Iraku. Są to: okulary przeciwsłoneczne, aparaty telefoniczne, maszyny do golenia, zegarki na rękę i budziki, grzałki elektryczne, garnitury. Nie wolno oczywiście zapomnieć o alkoholu.

Nadchodzi dzień odjazdu. Całymi rodzinami, z maksymalnym bagażem (25 kg) meldujemy się w „Dromexie”, gdzie otrzymujemy paszporty służbowe, bilety lotnicze i wymarzone umowy o pracę płatną w najprawdziwszych dolarach. Wiemy więc, że poza placą zasadniczą otrzymamy 15 proc. premii. Do tego mogą dość godzin nadliczbowe — płatne podobnie jak zwykle. Obiady będą bezpłatne, natomiast za śniadania i kolacje będziemy płacić po 4,5 dinara. Zasady płatności będą następujące: 60 procent wypracowanych kwot będzie transferowane na koncie w kraju, 20 proc. — otrzymamy w miejscowej walucie do ręki. Natomiast 20 proc. odstawimy po państwowej cenie skupu „Dromexowi”, który uzyskany przelewnik będzie systematycznie wysyłał pozostałym w kraju rodzinom.

Tak to pełni nadziei na pełne konta dolarowe opuszczamy Polskę, by po kilku godzinach wylądować na przepięknym lotnisku (porównanie do Okęcia) w Bagdadzie. Odprawa celna i przejeżdżanie nas przedstawiciele „Dromexu”. Mimo, że jest noc mamy wrażenie, że ktoś włączył dmuchawę z gorącym powietrzem. To jednak rzeczywistość, czyli temperatura około 35 st. C. Ubijamy się jakos w dwóch autobusach i rozpoczynamy następną podróż. Tym razem na campy w Falluji i Ramadji. Campy, które przejeżdżamy po Japończykach. Odległość do Falluji, około 60 km w ruchu miejscim, pokonujemy w około 50 minut. Natężenie ruchu, tempo jazdy, bezustanny dźwięk klaksonów przyprawia o ból głowy.

Wypatrujemy śladów wojny. Nigdzie ich nie widać. Dojeżdżamy na camp i... szok. Szlaban, równo poustawiane baraki, wyasfaltowane alejki między nimi, no i ludzie; ogorzone od słońca twarze. co drugi, trzeci z brodą, prawie wszyscy wassel. Skojarzenia nie są najprzyjemniejsze. Zbieramy się w ogromnej sali, która okazuje się stołówką obiadową. Wypełniamy przeróżne formularze, ankietę, następnie udajemy się na spóźnioną kolację. Pozostałe jeszcze tylko zakwaterowanie w... barakach (przepraszam, pokojach) i można spać. Rano następną odprawę, tym razem w Ramadji.

ALBIN R.

INSTYTUCJE WYJAŚNIAJĄ

Od naczelnika Miasta i Gminy w Tuszynie w województwie piotrkowskim — mgr Jerzego Waldemara Kościńskiego otrzymaliśmy wyjaśnienie w sprawie artykułu Pawła Tomaszewskiego „Skóra na niedźwiedziu”, który to artykuł ukazał się w „Odgłosach” nr 6 z 5 lutego 1989 roku. Oto treść tego wyjaśnienia:

25 maja 1981 roku w Państwowym Biurze Notarialnym w Piotrkowie Tryb. sporządzono notarialną umowę o oddanie działki w użytkowanie wieczyste na rzecz ob. Mirosława Peszke. Nie jest jednak prawdą stwierdzenie, że działkę powyższą ob. Mirosław Peszke kupił z Państwowego Funduszu Ziemi. Uiszczona opłata

stanowi równowartość opłat rocznych za 15 lat użytkowania wieczystego. Bezpornym faktem jest też to, że ob. Mirosław Peszke został wprowadzony na działkę i granice zostały mu okazane.

Po sporządzeniu aktu notarialnego nie wystąpił do tut. Urzędu z wnioskiem o wydanie pozwolenia na budowę domu ani na ogrodzenie działki. Nie przedłożył również planu realizacyjnego wraz z projektem technicznym. Po przystąpieniu do ogrodzenia działki właściciel sąsiedniej posesji — ob. Kotlicki Władysław zabrał pracę ob. Mirosława Peszke. Urząd nie mógł w tym wypadku zastosować żadnej sankcji w stosunku do ob. Władysława Kotlickiego, gdyż było to działanie podlegające ściganiu z oskarżenia prywatnego i stanowiące czyn niedozwolony w rozumieniu art. 157 § 1 k.p.k., a nie stosownym pozewem może wystąpić tylko pokrzywdzony.

Urząd byłby obowiązany do zajęcia się sprawą wówczas, gdyby użytkownik wieczysty wystąpił z wnioskiem o rozgraniczenie, co w sytuacji ob. Mirosława Peszke nie przebiegało, a o zmianie adresu nie zawiadomił. Jeżeli chodzi o kwestię podatku od nieruchomości to obowiązani są o płać zarówno właściciele jak i użytkownicy wieczysti, a ob. Mirosław Peszke jest nadeł użytkownikom wspomnianej działki. Od żadnej decyzji wymiarowej nie wnosił odwołania i wymierzony podatek uiszczał.

W latach 1986—1987 przeprowadzono aktualizację ewidencji gruntów m. Tuszyna z ustaleniem stanu władania. Aktualizacji dokonywało Okręgowe Przedsiębiorstwo Geodezyjno-Kartograficzne w Łodzi. Ewidencję w momencie jej ugodnienia ob. Mirosław Peszke podpisał stosowny protokół, w którym rzeczywista powierzchnia działki została określona na 1223 m kw. i nie zgłosił żadnych zastrzeżeń.

Wyjaśniam ponadto, że w lutym 1988 roku tut. Urząd wysłał do ob. Mirosława Peszke pismo, wraz z propozycją załatwienia do końca tej sprawy, tak aby umożliwić użytkownikowi budowę. Wyjaśnialiśmy w nim wszystkie kwestie niemożności w obecnym czasie budowy na niej domu mieszkalnego z uwagi na inne przeznaczenie terenu w planie zagospodarowania przestrzennego m. Tuszyna. Sporna działka leży na terenach upraw polowych i może być przeznaczona tylko pod produkcję rolną. W tej sytuacji zaproponowaliśmy rozwiązanie umowy użytkowania wieczystego w stosunku do spornej działki oraz przydzielenie w zamian innej z możliwości jej zabudowy. W piśmie tym prosiłem ob. Mirosława Peszke o zajęcie stanowiska odnośnie naszej propozycji. Nie był jednak uprzejmy udzielić na nie żadnej odpowiedzi, chyba że odpowiedział jest artykuł Pawła Tomaszewskiego.

Jednocześnie sugeruję, aby w przyszłości w podobnych sytuacjach przed publikacją artykułów zasięgać informacji i wysłuchać właśnie drugiej strony.

Mgr inż. ANDRZEJ DOLIŃSKI z Wojewódzkiej Dyrekcji Dróg Miejskich w Łodzi wyjaśnia, że w listopadzie 1988 roku wykonano drobne naprawy na kładce dla pieszych nad torami PKP przy ul. Srebrzyńskiej, a w 1989 roku planowany jest remont kapitalny tej kładki.

Z pewnym opóźnieniem — brak miejsca — odnotowujemy informację naczelnika Powiatu mgr HENRYKA BALIŃSKIEGO o likwidacji z końcem roku 1988 „Salonu Gier Komputerowych” na Bałutach przy ul. Tomaszewskiej.

Kierownik Zakładu Gospodarki Ciepłej w Śródmieściu — mgr inż. ZBIGNIEW PACZESNY przekazał nam wiadomość, że w domu przy ul. Zielonej 9 dokonano remontu instalacji ciepłej i powinna ona pracować bez zarzutu.

W związku z informacją pana Zbigniewa O. zamieszczoną w „Relacjach z dyżuru reporterskiego” (Odgłosy nr 7/1611) na temat ferii w MDK Łódź—Bałuty wyjaśniamy, że w okresie tym nasza placówka była dostępna dla wszystkich dzieci przez cały dzień i prowadzone w niej były różnorodne zajęcia. Informacje na ten temat zamieszczone były w informatorze, który był kolportowany w styczniu w szkołach, placówkach wychowania pozaszkolnego i indywidualnie wśród dzieci. Jeden egzemplarz wywieszony był przy wejściu do placówki i z niego mógł pan Zbigniew O. dowiedzieć się jak pracujemy i wybrać dla swoich dzieci odpowiednią imprezę w pracowni plastycznej lub innej.

Ponadto wyjaśniamy, że w godzinach 13.00—15.00 każdego dnia w pracy placówki następowała przerwa spowodowana koniecznością przygotowania placówki do zajęć popołudniowych i dania możliwości dzieciom zjedzenia gorącego posiłku w domu, gdyż niestety nasza placówka nie ma warunków do prowadzenia stołówek.

Notatka w „Odgłosach” wywołała poruszenie wśród całej Rady Pedagogicznej i w związku z tym prosimy o jej sprostowanie lub zamieszczenie naszego wyjaśnienia na łamach tygodnika.

Kończąc zapraszamy dzieci do naszych pracowni i łączymy serdeczne pozdrowienia w imieniu pracowników MDK Łódź — Bałuty.

LUCYNA KOZERAWSKA

REDAKCJA — CZYTELNICY

MIROSLAW PETRUSZKA, Łódź. Obszerna pana wypowiedź na temat książki Jerzego Kosinińskiego „Malowany Ptak” i autora opublikujemy, kiedy książka będzie dostępna w księgarniach. Teraz trudno decydować, kto ma rację, a kto i jakim ulega sugestiom bądź mitom.

JAROSŁAW KAWKA, Witkowo. Fan-Club Krystyny Głowickiej „BRAVO”. Serdecznie pozdrawiamy i dziękujemy za pozdrowienia. W najbliższych planach nie mamy nic o Krystynie Głowickiej. O Waszej prośbie będziemy pamiętać.

MARIA JAZDZEWSKA, Łódź. List pani w sprawie dworca Łódź — Żabieniec ukazał się z opóźnieniem. Przepraszamy.

PIOTR BARCZYK, Sławków. Można brak zgody na publikację tłumaczyć brakiem naszej odwagi, ale czy nie zastanowił się pan nad tym, że to się po prostu nie nadaje do druku. Nie wszystko, co kto napisze musi zaraz kwalifikować się do gazety. Nie wszyscy jakoś z tym się godzą.

PIOTR WYPYCH, Łódź. Staramy się prezentować czytelnikom różne tematy, aby każdy mógł znaleźć coś dla siebie interesującego. Problem stref wolnocłowych też nas interesuje. Ale życie jest tak bogate, że nieszczęście z sobą coraz to coś nowego, i niektóre tematy czyni mniej pilnymi w realizacji. Prosimy o cierpliwość.

ZOFIA KWAPIS, Julianów koło Rawy Mazowieckiej. W miarę naszych możliwości postaramy się pomóc pani.



WESTA




Szanowni Państwo!

Oferujemy Wam niskie składki, wysokie odszkodowania oraz błyskawiczną likwidację szkód, w następujących rodzajach ubezpieczeń:

- * mieszkań
- * warsztatów rzemieślniczych (do cen wolnorynkowych — wyposażenia)
- * rodzinne łącznie z pracodawcą
- * posagowe
- * renty natychmiast płatne lub odroczone (wyposażenie dodatkowe nie podlegające zaborowi mienia przez sąd)

o r a z:

- * wszelkiego rodzaju ubezpieczenia niekonwencjonalne, których warunki jesteśmy gotowi z Państwem uzgodnić

Polisa ubezpieczeniowa to także towar —
Ty wybierasz zakład, w którym się ubezpieczasz —
„WESTA” czeka na Ciebie!

- * zatrudnimy pośredników ubezpieczeniowych i pracowników biurowych, posiadających praktykę w ubezpieczeniach krajowych i zagranicznych w sektorze uspołecznionym i nieuspołecznionym. Wyjątkowo dobre warunki placowe.

„WESTA” — Przedstawicielstwo w Łodzi, ul. Nowotki 5, tel. 32-56-61.

819/K

iC

Sp. z o.o.
ul. Młodnicka 52
04-239 Warszawa
telex 815 686 helio pl

nterommerce

SZANOWNI PAŃSTWO
użytkownicy sprzętu audio-video
firmy

GoldStar

Spółka z o.o.

* „INTER COMMERCE” *
uruchamia na terenie kraju sieć placówek serwisowych
sprzętu RTV firmy

* GOLD STAR *

Punkty serwisowe w dużych miastach wojewódzkich będą świadczyć usługi pogwarancyjne odpłatnie za złotówki. W związku z tym prosimy o przysłanie listem na nasz adres następujących informacji:

- ▲ rodzaj i typ sprzętu użytkowanego.
- ▲ rok produkcji.

Dane te są nam potrzebne do skompletowania i zamówienia odpowiednich ilości i asortymentu części zamiennych.

Adresy placówek serwisowych podane zostaną w odrębnych ogłoszeniach.

Jednocześnie zapraszamy do współpracy rzemieślnicze punkty serwisowe, zajmujące się naprawą i strojeniem zachodniego sprzętu RTV.

Oferty listowne z podaniem lokalizacji, powierzchni użytkowej lokalu, wyposażenia technicznego, adresu i numeru telefonu prosimy kierować pod adresem firmy:

„Inter Commerce” 04-239 Warszawa ul. Młodnicka 52,
telex 815686.

Zapewniamy części zamienne i korzystne warunki współpracy.

casio

- Sumatory biurowe 10-, 12-, 14-, i 16-pozycyjne z drukarką i wyświetlaczem optycznym
- Kalkulatory inżynierskie
- Kalkulatory biurowe 8-, 10-pozycyjne
- Kalkulatory kieszonkowe
- Maszyny elektroniczne do pisania
- OVERLOCKI przemysłowe i półprzemysłowe oraz maszyny kuśnierskie

OFERUJE

PRZEDSIĘBIORSTWO WIELOBRANŻOWE
„JAKRAN”
Radom, ul. Mariacka 4/6
tel. 248-31 tlx. 67 588 JAKRAN

818/K

jakran

Biuro Usług Turystycznych

„SARTOUR”

Łódź, ul. Piękna 18, tel. 84-67-99
Sieradz, al. Pokoju 3 m. 32
tel. 59-38

- weekendy do Berlina Zach. — 35.000 zł dla osób indywidualnych i zakładów pracy lub czterodniowe w cenie 38.000 zł + 50 DEM
- weekendy narciarskie do Zielenicy

Organizujemy wycieczki dla szkół i zakładów pracy

WAKACJE — 1989

- kolonie i wczasy w atrakcyjnych miejscowościach
- wczasy i obozy specjalistyczne (jeździeckie, kurs na prawo jazdy)
- proponujemy dachy i domki letniskowe na Mazurach

ZAPRASZAMY W GODZINACH
11 do 17

OGŁASZAJ SIĘ W

„Odgłosach”

tel. 36 80 99



DUŻA OBNIŻKA CEN, SZCZEGÓŁY W SKLEPACH
zapraszamy



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia – podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, który przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

23 lutego — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godziny 10–15.

2 marca — EUGENIUSZ IWANICKI — godziny 10–15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z 16 LUTEGO 1989 ROKU

W olbrzymim pawilonie spożywczym przy ul. Haska, o czym już pisaliśmy, nie było drgnęło. Czynny jest w godz. 6.00–14.00 a więc gdy ludzie są w pracy, i na ruszenie drugiej zmiany nie zanoszą. Pani Anna Wdowczak informuje nas ponadto, że piekarni z tamtejszej piekarni częściowo trafia do tego pawilonu, ale tylko rano, a resztę wywozi się do miasta. I żeby było weselej, później przywozi się z miasta na ul. Haska pieczywo czerstwe.

Jedną z naszych Czytelniczek zwraca uwagę na pracę urzędników z FWP na ul. Piotrkowskiej przy Brzeźnej. Kiedy chciała zamówić wczasy profilaktyczne na sierpień dla chorego dziecka, dowiedziała się, że przez takich jak ona urzędnicy FWP tracą premie, bo wszyscy chcą odpoczywać tylko latem. Mój Boże, a kiedyś to śpiewało się piosenki o wesołym pociągu, co nas wiezie na wczasy.

W Pabianicach w restauracji „Powszechna” podczas wydawania posiłków na abonamenty było cicho i miło. Alkohol podawano dopiero od 16.00 i człowiek mógł spokojnie zjeść obiad. Teraz gastronomia musi gonić za zyskiem i w restauracji serwuje się wódkę non stop od 13.00. Pani Teresie Walczak, która stołuje się w „Powszechniej”, obiad skusomowany w dniu wypłat śni się długo po nocach.

W numerze „Odgłosów” z 12 lutego ukazały się zdjęcia pięknych dziewczyn. Pani Alicja Kowalska uważa, że za te „ospowate” fotografie dziewczyny powinny pociągnąć odpowiedzialność redakcja. Jak się pokazuje coś pięknego, to trzeba to robić ładnie i dobrze, tym bardziej, że cena gazety rośnie. Słusznie, pani Alicjo. Bijemy się w pierś i za ten zły papier, co nie z naszej winy, i za złą technikę drukarską, co też nie jest naszą winą.

Emeryta nie stać na podłączenie do sieci gazowej, więc od dwudziestu lat korzysta z propanu-butanu w butli. Kiedy pan Jan Kowalski zakupił butlę przed 20 laty, płać za dostawę 110 zł. W ub miesiąc zapłacił za gaz 1300, a w lutym już 1760 zł. Na dodatek musi gotować też na węgiel, który również podrożał. A emerytura skończyła się o 3200 zł (od 1988 roku). Ręce opadają, ale emeryt ani nie zastrajkuje, ani nie ma siły, żeby krzyczeć na ulicy.

Ul. Marysińska 69, blok 119. Po wymianie rur od ponad pół roku leżą zwalony ziemi i gruzu na zdewastowanym kwatniku. Administracja urzędnicza przy ul. Nowopolskiej 12, chyba za daleko. Banda wyrostków grasuje po nocach i zabawia się na kłódkach schodowych własnego bloku w ten sposób, że spala przyciski w windach albo wręcz je rozbiiera. Zdarza się to raz na tydzień, a pana dzielniczego ani widu. Ponadto nasza Czytelniczka (nazwisko do wiadomości redakcji) zastanawia się, do kogo należy teren w pobliżu bloku, gdzie mieści się krańcowa autobusowa linia 88. Krajoznawcy iście księżycowy, gruz, zwalony błota i nie uprzątnięte śmietniki.

Pan Drazgowski denerwuje się, że ulicę Przejazd nazwano im J. Tuwima, chociaż Tuwim tam wcale nie mieszkał. A skoro wracamy do Pileckiego to czemu ul. Legionów nazywa się Zielona? Ul. Traugutta od Sienkiewicza do Kilińskiego nazywa się Strzelecka, bo stał tam Dom Strzelca. No cóż, może do tego wrócić.

Z głowy na nogi Pani Barbara Kraszewska otrzymała w spadku po Wd. Gospodarki Komunalnej UME telefon 36-37-53. Tyle szczęścia, że od poniedziałku do piątku dzwonią do niej osoby prywatne i urzędy z całej Polski, często po rury lub muszle klozetowe. Urząd dał telefon, żeby pozbyć się kłopotów? Nie! W soboty i niedziele aparat jest stale zajęty i jak pani Barbara miała akurat imieniny, płakać jej się chciało, bo nikt do niej nie zadzwonił! I nawet Naprawa Telefonów nie może sobie z tym poradzić. Ludzie dzwonią do p. Barbary, a tam wciąż zajęte, chociaż ona z nikim nie rozmawia.

Poza tym jak zauważa p. Barbara, kamienicznicy mają prawo do mieszkania we własnej kamienicy i decydowania, co tam można robić a czego nie, bo pańskie okno konia tuczy. Gdzie tam! Ludzie burzą ściany, dewastują, administracja nie dba, a właściciela nikt nie pyta o zdanie. Ba, właściciel musi sam sobie płacić czynsz za mieszkanie, tyle że to się delikatnie nazywa „świadczeniem w wysokości czynszu”. To jest dopiero stan na głowie. A co na to prawnicy?

Dziś, 16 lutego, panią J.K. szlag trafił w sklepie mięsnym. Ogródkiem mówi się, że pani J.K. i setki innych klientów, zostali zbulwersowani Tym, że nagle podniesiono ceny na wyższej jakości wędliny z przydziału na kartki. Czy nie należało poczekać z tym przynajmniej do 1 marca, aż ludzie wykupią swoje lutowe przydziały kartkowe?

Pan Tadeusz, ojciec syna inwalidy, zwraca uwagę, że inwalidzi I i II grupy uzyskiwali 50 proc. ulgę w opłatach ubezpieczenia komunikacyjnego samochodów. W 1988 roku PZU zlikwidował te ulgi. Potem, że względu na większość korzystających z ulg kombatanów, PZU wycofał się z tej decyzji. Ale po tym i zainteresowani o tym nie wiedzą. Wygląda na to, że inwalidzi także dzielą się na równych i równiejszych. A podczas X Plenum mówili się, że należy zapewnić osłonę socjalną najbardziej potrzebującym.

Tragiczna sytuacja komunikacyjna na osiedlu Komorniki. Nie dokonano obwodnicy, która miała omijać osiedla mieszkaniowe. Od 1988 roku ulica Komorniki nieprzejezdna, płyty betonowe i dziury. Ruch przenosił się na ul. Kurczaki. Zamiast zakończyć prace na ul. Komorniki, łąduje się pieniądze w prowizorkę na ul. Kurczaki, poszerza ją i zamyka, a auta jeżdżą po uliczkach osiedlowych. Nieprzejezdna jest też ulica Chóralna, gdzie inwestor zostawił bałagan po budowie centrali telefonicznej. Pan M. (nazwisko do wiadomości redakcji) uważa, że straty przy niszczeniu trawników i krawężników przez samochody są wyższe niż koszty inwestycji drogowych. I co w takiej sytuacji robi samorząd terytorialny który ponoć ma teraz duże uprawnienia?

Pani Jadwidze Roman, byłej bibliotekarce, serdecznie dziękujemy za zwrócenie uwagi na książkę wydaną w 1948 r. przez Sp. Wyd. „Czytelnik”, z której być może skorzystamy.

Czytelnik, który swoje dane personalne zastrzegł tylko do wiadomości redakcji, apeluje, abyśmy więcej pisali o działaniu aparatu ścisłego, o blaskach i cieniach pracy milicji. Zadzwonił do nas zainsprowowany publikacją A. Gębarowskiego o telewizorze. Ponieważ Andrzej Gębarowski był jeszcze dziś widziany w redakcji, więc być może do chwili zatrzymania podejmie jakąś kolejną próbę „w tym temacie”. Do usłyszenia!

RYSZARD BINKOWSKI

NR 9 (1613), 26 LUTEGO 1989 R.

1

Pod prąd

Właściwy czas

Kiedy byłem dzieckiem, bardzo chciałem mieć trąbkę. Prawdziwą trąbkę, metalową, zlocistą.

Pamiętam, spędzałem kiedyś wakacje u wujka na wsi. Było to w czasach, gdy nie myślimy jeszcze o powszechnym, zorganizowanym wypoczynku letnim dla uczniów szkolnej, która, przynajmniej na moje ulicy, na ogół szlifowała latem bruki lub też zajmowała się pomocą rodzinie w zarabianiu złotych — nie tak znowu łatwych wtedy do zdobycia, ale jeszcze wymienialnych w banku na dolary. Ja na szczęście nie musiałem stać przy krosnach, ani w sklepie obok ojca, gdyż stać go było na wysłanie mnie na wies „na letaki”, do brata matki, który miał kilkuletnią resztówkę pod Warszawą. I tam też właśnie po raz pierwszy w życiu zobaczyłem z bliska trąbkę.

Wuj grał na niej od święta w miejscowej kapeli. Na co dzień zaś leżała ona w futerałku na szafie. Bywało, że gdy oboje wujostwo wychodzili w pole, czy do sadu, z biciem serca brałem instrument do ręki i usiłowałem na nim grać. Oczywiście nie było to proste, szczególnie, że nikt nigdy nie mówił mi, w jaki sposób wydobywa się z trąbki głos. Niemniej próbowałem wytrwale i w końcu udało mi się nawet wydać kilka w miarę czystych dźwięków. Po powrocie z wakacji długo o niczym innym nie myślałem, jak tylko o trąbce, prawdziwej trąbce z trzema wentylami. Kiedyś zdobyłem się na odwagę i poprosiłem ojca, aby mi taką kupił. Pamiętam, spojrział na mnie zdziwiony, po czym obiecał, że gdy dorosnę, być może prośba moja zostanie spełniona. Niestety, nie zdążył dotrzymać obietnicy, gdyż zmarł.

Kupiłem więc sobie trąbkę sam, za jedną z pierwszych pensji. Nie była nowa, ale i tak prezentowała się doskonale. Coż jednak z tego, skoro kiedy przyniosłem ją do domu i zacząłem grać, cała radość ze spełnienia się marzeń dzieciństwa uleciała ze mnie wraz z niewprawnie wdmuchiwanym w usłnik powietrzem. Nie czułem już tego dreszczu emocji, co u wujka na wsi i wkrótce rzuciłem trąbkę w kącie. Wtedy też zrozumiałem, że moje marzenie spełniło się zbyt późno, abym potrafił się z tego naprawdę cieszyć.

Podobnie rzecz miała się z samochodem, kiedy już jako mąż i ojciec dzieciom zacząłem coraz częściej widzieć się z kierownicą własnej syrenki. Co prawda, niektórzy twierdzą, że syrenka to nie samochód, ale dla mnie wówczas pojazd ten był szczytem marzeń o dobrobycie polskiej rodziny. Los chciał, iż mimo licznych wyrzeczeń, nie zdołałem go jednak kupić, gdyż najpierw przez parę lat urządziłem z rodziną nasze nowe mieszkanie i na ten cel szły wszystkie nasze oszczędności, a później, kiedy mieliśmy już meble, radio, telewizor, pralkę, lodówkę, a nawet magnetofon „Tonette”, o który doproszali się dzieci, i po kolejnych latach wyrzeczeń zgromadziłem wreszcie wystarczającą sumę na „malucha”, niespodziewanie dla wszystkich, w tym również dla siebie samego rozmyśliłem się, pieniądze zaś przejeździłem, przepiliśmy i przebraliśmy w wczasach w Bułgarii. Po prostu osiągnąłem akurat wiek, w którym chęć posiadania powoli wygasa, za to coraz trudniej pozbyć się starych nawyków. A ja nawykłem już do korzystania z komunikacji publicznej i było mi z tym całkiem dobrze.

Ponieważ nie chciałem zanudzać czytelników dalszymi wspomnieniami o spełnionych i niespełnionych marzeniach, poprzestane na tych dwóch. A przedstawiłem je po to, aby posłużyły mi za ilustrację tezy, że w życiu człowieka na wszystko jest odpowiedni czas i jeśli się go przegapi, obojętnie z jakich przyczyn, trudno potem udawać, że on jeszcze trwa.

I tak jest czas na naukę, na wielką miłość, na założenie rodziny, urodzenie i wychowanie

dzieci... Oczywiście każdy czuje go sam, po swojemu i w różnym wieku. Stąd też wyjątki. Generalnie jednak do szkoły chodzi się mając kilka, kilkanaście lat, z dziewczynami — do ślubu, a z żoną do łóżka — póki widzi się w niej jeszcze kobietę, nie zaś już tylko żonę i matkę. I błąda temu, kto w porę nie zdążył zrobić tego, co chciał lub co w życiu zrobić należało.

Z tego też powodu ilekroć słyszę, że pierwsze samodzielne mieszkanie przyznaje się rodzinom, w których dzieci zaczęły już studiować, dobrym fachowcy zostają dyrektorami tuż przed emeryturą, a w Sejmie posłów, którzy nie są dziadkami, można policzyć niemalże na palcach jednej ręki, to ogarnia mnie żołąć. Tak samo, gdy ktoś mówi z pretencją w głosie, że teraz młodzież chciałaby mieć wszystko, że nie potrafią czekać, że naszemu pokoleniu nie było tak łatwo, a jednak...

Może dlatego, że sam należę do tego „naszego pokolenia” i mam świadomość, że jest bardzo dużo rzeczy, które dziś mogę już mieć, a z których nigdy już nie będę się cieszył. Poza tym jestem przekonany, iż historia oceni kiedyś, że nie było to wcale najlepsze pokolenie. I nie ma większego znaczenia, że wcale nie z jego winy.

JÓZEF RETMAN

2

Nagle zastępstwo

Nowe Ateny

Jako siedemnastoletni uczeń liceum przeczytałem jednym tchem „Historię filozofii” Władysława Tatarkiewicza i postanowiłem zostać filozofem. I to nie było jakimś od razu, po krótkiej naradzie z dwoma jeszcze, podobnie „wykształconymi” kolegami, opracowaliśmy ramy nowego systemu filozoficznego. Nazywał się „ewentualizm krytyczny”. Miał jeszcze jakieś szczegółowe gałęzie jak np. „ewentualizm poznawczy” itp. dziś już dokładnie nie pamiętam. Zasadą tego „ewentualizmu” było epokowe stwierdzenie: „wszystko może być tak ewentualnie inaczej”.

Geneza tej śmiałej doktryny jest dość oczywista, jeśli się zważy, że powstała ona w wyniku systematycznej i szybkiej lektury prof. Władysława Tatarkiewicza — o kilku zupełnie przeciwnych systemach ontologicznych, poznawczych czy jakich tam jeszcze czytało się ciurkiem, w ciągu jednego wieczoru. Każdy wydawał się odkrywczy i genialny a w efekcie powstał w młodym, głupim błąd chaos i przekonanie, że albo jest tak, jak pisze jeden filozof albo zupełnie inaczej, czyli jak pisał inny klasyk. Stąd właśnie ów „ewentualizm”.

I oto, proszę państwa, w wieku uprzejmie nazywanym dojrzalszym (czytaj — początki sklerozy) przypomniał mi się ów „ewentualizm” i wydał teorią, jeśli nie w pełni naukową i wytrzymującą próbę krytyki teoretycznej, to przynajmniej wcale interesującą i znajdującą zastosowanie praktyczne. Bo czy też świat wokół nas nie jest właśnie „ewentualistyczny”? Czy mamy mało wokół przykładów, że co wieczór piękne i cacy, dzisiaj okropne i be albo na odwrót? Albo czy nie jest tak, że zależnie od punktu widzenia coś jest nowoczesne i pożądane albo zgola anachroniczne i tylko potępienia godne?

Rozstrzygnijcie się, drodzy Czytelnicy, choćby po obszarach praktyki społeczno-ekonomicznej i politycznej a zapewne zostaniecie gorącymi zwolennikami szkoły „ewentualistycznej”. Kiedy zwolennikowie będzie już dostatecznie dużo założymy koło, potem stowarzyszenie itd. Ja zostanę prezesem i duchowym przywódcą nowej szkoły filozoficznej, będę miał niezliczone wykłady i odczyty i nareszcie przestanę wegetować z lichej, fletonowej wierszówki.

Przykłady najprostsze, pierwsze z brzegu, które każdego przekonają, że „ewentualizm” jest koncepcją głęboko słuszną i racjonalnie tłumaczącą procesy wokół nas zachodzące: był przywaczarz „elementem”, zakazał, wrogim ustroju i ludu? Był A kim jest? Chłuba narodu, człowiekiem z inicjatywą, podporą naszego zdechłego rynku i przykładem dla młodego pokolenia! Był Roman Dmowski uosobieniem wstętnictwa, reakcji, ksenofobem, antysemitą — najgorszym prawicowcem, patronującym duchowemu różnym ONR-om, Fa-langom i takim tam różnym świniostwom? Był A kim jest? Światłym krzewicielem nowoczesnej myśli narodowej i państwowej, intelektualistą na europejską miarę, przykładem patrioty! O niejakim Józefie P. niedawno pisałem, sprawa jest analogiczna.

A tak niedawno był socjalizm najlepszym ustrojem na dzisiejsze czasy, realizacją odwiecznych dążeń ludu do sprawiedliwości społecznej? Był A co się okazuje? Starysek Karol Marks pisał — nie kryjąc oburzenia — że kapitał zabiera robotnikowi nawet do trzydziestu procent wypracowanej przez niego wartości dodatkowej! Taki wyzysk musi się skończyć rewolucją — pisał dalej. A teraz? Policzenie państwo jaką część dochodu socjalistycznego przedsiębiorstwa zagarnia w imieniu socjalistycznego państwa minister Wróblewski?

Mam już — jako twórca „ewentualizmu krytycznego” — epigona Profesor Jarema Maciszewski rzekł był, że marksistów obowiązują dziś tylko jeden dogmat — brzmiał on: nie ma żadnych dogmatów! Czyż to nie „ewentualizm” czystej wody?

Nawet w sprawach zagranicznych „ewentualizm” świeci triumfy. Reagan i pani Margaret Thatcher to były jeszcze niedawno takie paskudne postacie, że wprost patrzeć trudno. A teraz? Proszę bardzo, jacy to sympatyczni, mili ludzie!

Przykłady można mnożyć w nieskończoność. Wszyscy znamy ich aż nadto. Naprawdę, „ewentualizm krytyczny”! Wybiła nasza godzina! Ruszajmy z posad kogo tam jeszcze można ruszyć. Sami zajmijmy najlepsze posady...

ANDRZEJ KAROL

3

Sport

Najtrudniej będzie pozbyć się fikcji

Bardzo podoba mi się powiedzenie mego (starszego) kolegi, który utrzymuje, że zawodowiec to taki facet, który robi dokładnie to, czego się od niego oczekuje. Jeśli jest on na przykład stolarzem i zamawia się u niego okragły stół o trzech nogach, to robi okragły stół o trzech nogach, a nie łózkę. Z tego można wnosić, że zawodowiec to nie tylko ten, kto bierze pieniądze za swoją pracę i się z tego utrzymuje, ale to również ten, kto potrafi tę pracę wykonać znakomicie. Mimo, że obaj biorą pieniądze za swoją pracę, to często niedo- czytani nie ma nic wspólnego. Tak właśnie jest obecnie z zawodowstwem w piłce nożnej.

Względy ideologiczne w „długiej przeszłości” wymagały od nas, aby odrzucić zgniełe wzory imperialistycznych modeli i utrzymać — wbrew faktom — amatorstwo. Taki amator grający w kopalnianym zespole nosił dumny tytuł górnika przodowego, choć nigdy w życiu nie był w przodku. Z górnikiem miał tyle wspólnego, że razem kopali. Oni węgiel, on piłkę. No i klub nazywał się „Górnik”. Piłkarze z Łodzi rozlokowani byli w „patronackich zakładach”, gdzie występowali w charakterze tacy,

przedzalników, ładowaczy lub zgola inżynierów, chociaż zupełnie nie znali się na przedzalnictwie, tkactwie i tak dalej. W każdej większej fabryce byli tacy pracownicy, co listę podpisywali i brali pieniądze. Byli to amatorzy, sportowcy, z których emanowała wręcz wyższość nad zgnielymi, skorumpowanymi, zachodnimi zawodowcami.

Później wszystko się odmień- niło i zerwano z fikcją. Trochę pomogli w tym i prawdziwi robotnicy, domagając się uczciwości również w sporcie, miast dotychczasowego oszukaństwa. Wprowadzono stypendia i pilkarsze — jak Bóg przykazał — chodzili do klubowej kasy a to po stypendium, a to po nagrodzie, a to po premii, a to po... Sytuacja jakby się wyklarowała. Sportowcy pracuje w klubie, w klubie więc bierze pieniądze za swą pracę, którą jest sport. Tylko że w dalszym ciągu nie jest to taka czysta sprawa do końca, bo na przykład w różnych organizacjach piłkarskich, jak UEFA czy FIFA nadal występujemy jako amatorzy. Poza tym na sportowcach, a już szczególnie na piłkarzach, sprawdza się prawda, że zawodowstwo wcale nie zależy tylko od brania pieniędzy w tej instytucji, w której się rzeczywiście pracuje.

Teraz szeroko dyskutuje się o wprowadzeniu prawdziwego zawodowstwa do piłki nożnej. I ludzie znający się na rzeczy łapią się za głowę. Tyle będzie z tym kłopotów, problemów i zawracania głowy. Niektórzy więc zastanawiają się zupełnie poważnie, czy by czasem nie dać sobie z tym spokoju. Ale chyba nie da rady. Inni prą ostro do reform. Tacy postępują.

Wprowadzenie zawodowstwa do polskiej piłki nożnej, to przecież nie tylko płacenie za pracę w klubie z klubowej kasy, to nie tylko zerwanie z fikcją amatorstwa, to również konieczność przebudowy całej struktury PZPN i organizacji sportu piłkarskiego w Polsce. To opracowanie nowych zasad sportowego mecenatu, to radykalna zmiana sposobu myślenia samych sportowców, działaczy sportowych, organizatorów sportu, sportowych urzędników. Są tacy optymiści — a gdzie ich nie ma — którzy uważają, że wyda się kilka aktów prawnych i po kłopotach. Wiara ponoć przenosi góry, ale wiara w moc sprawczą aktów prawnych do niczego nie prowadzi. Zmienić się muszą nie tylko przepisy, ale i sposób myślenia i działania ludzi. Przepisy mogą tylko stworzyć dogodny do tego warunki.

UEFA ukarała niedawno GKS Katowice i Legię tylko po to, że kluby te nie stworzyły właściwych warunków dla pracy dziennikarzy. Nasi dziennikarze przywykli jakoś do tego, że obiektywne warunki utrudniają im pracę albo drwili im zamyka się przed nosem. Dziennikarze zachodni są jednak zawodowcami i wiedzą, że redakcja wymaga od nich informacji, a jak je zdobędzie, to ich sprawa. Dziennikarz-zawodowiec — powiada jeden z moich (starszych) kolegów — to taki facet, że jak go wyrzuci drzwiami, to on wraca oknem i dowie się, czego ma się dowiedzieć. W Nowej Hucie PZPN zakazał wpuszczania dziennikarzy na obrady prezesów drugoligowych klubów i w „Temple” ukazała się wiadomość, że nie będzie żadnej wiadomości, bo nie wpuścili.

Zawodowstwo w piłce nożnej to nie tylko dobra placa za dobrą grę, ale też dobra pozycja klubu, który będzie miał pieniądze na utrzymanie stadionu na wysokim poziomie, który będzie dbał o wygodę kibiców, żeby z głodu nie umarli i żeby mogli orzeźwić się wodą mineralną, żeby każdy miał swoje miejsce, za które niebagatelnie zapłacił, żeby był porządek i mecz na wysokim poziomie. Jeśli klub nie będzie miał na to pieniędzy — to... solajturę.

Czy w Polsce solajturę jakiś klub? Nie słyszałam. Zawsze bowiem znajdą się „dobrzy wujkowie” lewicowo nastawieni, którzy otworzą lewą kase, wyjmą coś z lewego konta, zawrą jakiś lewy interes. Dla dobra klubu, miasta, województwa, sportu w ogóle. No i tak onahy ten kulawy interes, który nazywa się piłka nożna. Jeśli rzeczywiście ma tu zapanować zawodowstwo — to trzeba oczyścić to bagno z fikcji, kamuflażu, różnych afer i nieprawd. Czy nas będzie na to stać?

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

Eva usiadła na szerokim loveseat, obok Ducha i Georgii.
— Udać — powiedziała szep-tem. — Rozmawiajmy cicho, zobaczycie, że przestanę chrapać.
Po chwili chrapanie ustało. Mannix podłuchiwał. Georgia rzuciła szybkie spojrzenie na Ducha i postukała się w głowę. Duch postanowił rozładować sytuację.

— Eva — powiedział głośno, ale spokojnie. — Zachowaj się jak kurwa. Czego ty chcesz od swego biednego męża. Haruje jak wół, daje ci wszystko. Nie ma prawa popatrzeć na żadną kobietę? Scena, której byliśmy świadkami, nasuwa do Rymu Baudouina. W takim otoczeniu fest zupełnie nie na miejscu.

Eva Mannix patrzyła na niego z rozdziałową japo. Jeszcze nikt jej nie opierał tak surowo, od czasu, gdy Ron stał się milionerem. Nie protestowała jednak, ponieważ podobał jej się Duch i jego bezczelność.

— Mam w dupie to całe otoczenie — powiedziała tylko.

— Ale najbardziej nieprzyjemne jest to, że obraziłaś moją żonę. Rozmawiała z twoim mężem spokojnie, gdy ty zaczęłaś oskarżać go o romans z ekspedientkami i służącymi. Eva, moja żona nie przychodzi z takich środowisk. Jest bardzo utalentowaną malarką i bardzo inteligentną kobietą. Uważam, że obraziłaś ją, a tym samym mnie. Do magam się przeproszenia.

— Daj spokój — powiedziała Georgia. I do Ewy: — On żartuje, taki ma styl. Proszę się nie przejmować.

— Może ma rację — zastanowiła się Eva. — Na wszelki wypadek przeproszę. Swoją drogą chciałabym, żeby mój mąż mnie tak bronil.

— Nie bronil? — zaciekał się Duch.

Machnęła ręką z tak zdegustowanym wyrazem twarzy, że już wiedział wszystko. Matężstwo dawno minęło stę, kompletnego rozpadu. Teraz to już była zgnilizna.

Mannix milczał, a kiedy i oni milczeli, zachrapał głośno. Eva wstała, otworzyła buket z kostkami lodu, nabrała garść i wsunęła mężowi za koszulę. Drgnął, ale nadal udawał że śpi. Wtedy, mając nareszcie odpowiednią widownię, podniosła buket i wylała zawartość na głowę Mannixa.

Poderwał się, ścigał łapani wodę z głowy i twarzy, kostki lodu rozprysnęły się jak żywe srebro po marmurowych płytach przed kominkiem, na którym tiliły się dwa ciężkie logi drzewa.

— Połóż go — powiedziała Eva. — Należcie sobie.

— Pomogę ci — zaofiarował się Duch.

— Nie ma mowy.

Wzięła pijanego pod rękę, ustawiła prosto, przetrząsała jego ramie przez swój kark i z wyrwą posterowała nim do schodów. Kiedy znikł, Georgia powiedziała:

— Widzę, że chcesz ją wyjechać. Nie rób tego.

— Jesteś zazdrosna?

— Zwiariowałaś. Tylko ci radzę. Trzymaj się raczej bliżej niego. Ona nie ci nie pomoże, nie nie zlatwi. Ona nie znaczy nic. On jest właścicielem forsy. Jeżeli ją zerznie, to się nie ukryje. On pozna. On jest chorobliwie zazdrosny. Pozna. I zerwie z tobą kontakty.

— To cha mu w de — powiedział obojętnie Duch.

— Też by nie pogardził — zgodziła się Georgia — bo zauważyłam że facet ma tendencje homoseksualne. W tym basenie o mało nie wlał w ciebie.

— Nie powinien być zazdrosny o kobietę.

— Nie rób tego, co zamierzasz. Jedną mniej czy więcej, to nie ma znaczenia ale chodzi o ułatwienie sobie życia.

— Widzę, że to ty chcesz sobie ułatwić życie. Za wszelką cenę chcesz utrzymywać z nimi zdrowy kontakt, po to tylko, żeby w odpowiedniej chwili skonsultować faceta i coś na tym skorzystać.

Wzruszyła ramionami.

— Powiedziałam, co o tym myślę. Zrobisz, jak zechcesz.

Duch wtedy jeszcze nie znał tajemnicy Mannixa. Nie wiadomo, czy cała ta sytuacja rajcowała by go tak bardzo, gdyby wiedział wszystko o tym faciecie.

Kiedy wróciła Eva, Georgia okazywała zaniepokojenie. Wiedziała, że Eva zaproponuje im nocleg w tym domu. Wiedziała też, że Duch zostanie z Ewą na dole, aż do skutku. Zaś ona sama może zyskać okazję spotkania Mannixa gdzieś tam w jednej z sypialni. Jeżeli oczywiście człowiek nie był naprawdę pijany.

— Przenocujecie tutaj — powiedziała Eva — nie ma sensu jechać. Zjemy razem śniadanie.

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

Seks milionerów

(4)

— Nie mam wcale ochoty spać — powiedział Duch.

— A ja jestem strasznie zmęczona, mam ochotę położyć się... — powiedziała Georgia.

— Chodź, zaprowadzę cię do sypialni — Eva wzięła ją za rękę i wyszły.

Duch rąbnął sobie pół szklanki whisky z sodą, ale bez lodu, który stopił się na podłodze.

Rozsiadł się wygodnie, obejrzał uważnie to ogromne, a przecież bardzo oswojone wnętrze. To jest coś! Miał chociaż ćwiartkę takiego domu, i spokój. Przyszła mu do głowy myśl, która przychodzi do większości głów na świecie: jak to jest, że taki bęwał posiada tyle forsy? Duch nie wiedział jeszcze, że taką ilość forsy, taką ogromną, niezmierzoną ilość forsy posiadają zawsze bęwały, albo chorzy psychicznie, co na jedno wychodzi. Forsę potrafią robić tacy, którzy nie potrafią robić nic innego. Robienie forsy jest ucieczką od życia, jest rekompensata za braki fizyczne lub psychiczne, najczęściej zastępuje popęd seksualny. Alkoholizm, narkomania, robienie pieniędzy — to choroby społeczne o podobnie tragicznych skutkach dla świata, przy czym ostatnia jest najgroźniejsza, a powoduje ją wirus, zwany z angielska „greed” co po polsku znaczy: chciwość. Dopiero po wielu latach, kiedy pozna wielu milionerów, Duch zrozumie, że są to ludzie niepełnowartościowi, okaleczeni przez strach i dziesiątki wypływających z niego kompleksów. Ale już teraz, w milionowej posiadłości Mannixa, Duch wyczuwa problem Mannixa. Jest zwykłym dupkiem żołądkiem, a ma tyle pieniędzy. Jak on to zrobił, jak do tego doszedł? Wynalazł coś szczególniego? Oszukał kogoś? Zabił i ograbował? Ciepło, ciepło, coraz cieplej...

Duch postanawia zbadać sprawę, dowiedzieć się prawdy o Mannixie. Może nawet napisze o nim książkę? Nie każdy przecież Polak potrafi zrobić sto milionów dolarów!

— Na ile oceniasz majątek swojego męża? — zapytał obcesowo, gdy wróciła Eva.

— Nie wiem, ile ma forsy. Nie interesuje mnie to.

— Nigdy cię nie interesowało? — Kiedyś tak. Ale to było dawno.

— Eva — powiedział i przytulił ją mocno do siebie. — Ja wiem, że wasze życie jest do niczego. Tak samo, jak moje z Georgią. Widzę, że się rozumieję. Tak?

— That's right.

— Jesteś wspaniała dupa — powiedział z przekonaniem Duch, używając głosu przydechowanego, mężczyźnianego — i mam straszne pragnienie cię wyperdołić.

— O Jezu — Eva złapała powietrze — jeszcze nikt do mnie tak nie mówił... Jesteś bardzo bezpośredni.

— To źle?

Pokręciła głową i teraz dopiero zauważyła, że była w peruce. Wtedy peruki to był szal.

— Zdejm to świątowo — powiedział.

Znowu wyszła i przygotowała się w łazience. Jej własne włosy były o wiele lepsze od kupionych. Odświeżona, patrzyła z uśmiechem na samca.

— Tam za basenem jest pełno drzew — powiedział.

— Nie można. On puści refleksy, i są druty wszędzie, alarmy na złodzieja... Zastrzeliliby mnie i ciebie.

Dała znak ręką i poszedł za nią, wsiadł do maszyny firmy Pontiac Firebird o pojemności sześciu litrów i pojechali w noc.

— To jeden z naszych domów — powiedziała po półgodzinie szybkiej jazdy.

Był to inny dom niż tamten. Zamiast podióg wszędzie miękkiej czerwony dywan, o wysokim włosie. Kłanki złote, kurki w łazienkach i krany też złote, o czyszczeniu nie było to prawdziwe złoto, jakiś tombak, wyrobiony w kształt liści dębowych, kwiatów... Ponure wrażenie ekspozycji nowobogackiego kiczu w krainie zwanej Bourdelle.

Eva otwierała jedne drzwi po drugich, kryty basen był tu też, owszem, a w następnej sali wisiały z sufitu gruszki i worki bokserskie. Też ten bajzowy dywan. Kurza na przyrządach. Nowe krawce — przyrządówki.



— Boksował? — zdziwił się Duch.

— Wynajął sobie trenera. Urządził ten room. Przyszedł raz i za pierwszym uderzeniem wybił sobie kciuk. Nie wszedł tu już nigdy więcej, a mieszkaliśmy tu trzy lata.

Duch wyciągnął przyrządówki i dosunął serię bomb milioner-skemu workowi, który huczał z zadowolenia.

— Nie trać energii — powiedział Eva, i miała rację.

Zdjął rękawiczki i rzucił się na nią. Rozegrali się błyskawicznie. Była to zdrowa kobyla o niesłychanie mocnym cieple gładkiej, napiętej skórze. Musiała dbać o siebie nieźle.

Zwałił się na nią, i kiedy podnosiła nogi, zdążyła wyszeptać:

— Gdyby Romek wszedł teraz to by nas zabił...

Bang! Wszedł w nią, nabita, ciasna i napięta, czuła niesłychaną rozkosz. Chciał robić to jak najdłużej, mocno, agresywnie, z pasją — dokładnie tak, jak Mannix robił forsy. Ale miłośić jest lepsza niż wszystko inne na tym nędznym świecie, i Mannix o tym nie wiedział.

Odwrociła się tyłem, wypięta duży biały zad, wbijał się w nią z taką siłą, aż słyszał łoskot w uszach, jakby kruszył skalę.

Podczas odpoczynku zdziwili się oboje. Doskonale wpasowanie, zupełne zatracenie. To się wadko zdarza. Duch był zbyt doświadczony, żeby wytłumaczyć to sobie długotrwałym głodem seksualnym. To było coś znacznie ważniejszego. Ich ciała odnalazły się pośród milionów innych. Wiedział, że ma kochankę, jak ją sama cholera. Odtąd i on i ona będą starali się spotykać jak najczęściej i robić to gdzie tylko się da.

— Gdyby wszedł, zabiłby nas — powtórzyła.

— Gdyby wszedł, to ja bym go zabił — powiedział Duch.

Zrobiło się widać, dochodziła dziewiąta.

— Prowadź — Eva dała mu kluczyki samochodu.

Maszyna miała chyba ze dwieście koni, automatyk, ale szła jak burza. Jechał boczną drogą, lekko sfalowaną, pośród pól i drzew, trzymał sto, aż na zakręcie ledwie dał sobie radę, cudem uniknął śmierci, otarłszy się o barierę. Nie wiedział, co za diabeł. Przecież taki wiraz łatwo można pokonać stową.

— Jedź wolniej — powiedziała przestraszona. — Tu wolno tylko sześćdziesiąt.

— Sześćdziesiąt poza miastem?

— No, tak oznaczają. Przekroczysz o piętnaście mil to tracisz punkty.

Duch zrozumiał. Licznik wyskalowany w milach! Jechał na wirazu sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę! I to po całej nocy picia... Poczuł zimny pot na czole.

Siedzieli w pokoju śniadaniowym, w półkolistej wnęce okiennej, obsługiwani przez pokojówkę, kiedy wszedł Mannix. Rzucił badawcze spojrzenie na ich twarze. Już wiedział.

Nie ma mężczyzny, który po zdobyciu cudzej żony potrafi opanować zupełnie sygnały tryumfu nad zdradzionym samcem. Jest coś w sprzeczności, w uśmiechu, głosie, co mówi: wprost tamtemu: przegrałeś, idź do łóżka, zobacz jakie masz rogi... Mannix nie musiał iść do łó-

że. On znał rozmiary swojego poroża. Teraz najwyższy doszły dodatkowe odnogi.

Złomna atmosfera podczas przyjmowania kawy. Georgia zjawiała się wyspana, wykapana, zbyt ostry kontrast z resztą wymiętego towarzystwa.

Eva została w domu. Mannix jechał do swojej firmy, zabral z sobą Ducha. Zanim wysiedli na Eglinton, zdążył pokazać im wallczkę, dzięki której z każdego telefonu na świecie mógł połączyć się ze swoim aparatem do przyjmowania message'ów, czyli pozostawionych na taśmie informacji. Gadał o tym chęć

nek z Chagexu, czy z American Express mógłby wpaść w ręce Rona, Romusia — jak go nazywała czasami. Duch płacił, ale zawsze były to sumy niewielkie, dwadzieścia, najwyżej trzydzieści dolarów, reszta zostawała dla niego. Z Manpower wciąż dostawał zapomogę w wysokości dwudziestu tygodniowo, aż do czasu, kiedy pójdzie na kurs języka, półroczny który miał zacząć się we wrześniu.

Eva zakochała się w nim jak szalona. Stosunki z nim były dla niej zupełnym wyzwoleniem fizycznym. Jeszcze nigdy nie czuła się tak wolna, tak dzika. Wyprowadził ją do podziemia, w którym chodzilo o to, żeby z dwóch ciał, z dwóch organizmów zrobić jeden.

Po miesiącu już była gotowa odejść od Mannixa. Było jej wszystko jedno, ile forsy uda się jej wyciągnąć od męża. Wówczas jeszcze nie obowiązywało w Kanadzie prawo podziału majątku fifty-fifty. Teraz sprawa jest prosta. Facet może mieć milion, a kobieta nic, po jakimś czasie rozwód i należy się jej połowa. Nie pomogą protesty, mógł pomyśleć przed ślubem, kogo bierze. W drugą stronę to samo.

Wtedy wszystko zależało od tego, po czyjej stronie leży winna za rozbiście małżeństwa. Kobieta zdradzająca była na straconej pozycji. Mogła nie dostać nic, albo, jak w przypadku Ewy, najwyżej dwa tysiące dolarów tygodniowo w formie alimentów, zabezpieczających minimum poziom życia. Duch nie mógł

— Nie mam z nim życia — powiedziała, paląc papierosa w łożku, czego Duch nie znoślił. — Przestaliśmy się kochać już dawno. Sporadycznie on doskakuje do mnie, ale robi to szybko, zawsze w ubraniu, jakby się wstydział. Za to nierzaz się przekonałam, że w tajemnicy się onaniżuje. Ogląda przy tym pisma pornograficzne. Słuchaj, przynajmniej się nie bój, bo nikomu bym w życiu nie powiedziała: jakiś czas temu przespałam się z jednym z jego brokerów, ładny chłopak, i Ron przyjął go do firmy po to, żeby tamten mu naganił dziewczyny. Ten chłopak opowiedział mi o Romku. Jak wyjeżdżam do Europy albo na Hawaje, to w domu urządza baliety. Przychodzi dużo dziewczyn, tańczą nago, piją, potem kopulują na podłodze, ale on tego nie robi, tylko się przygląda. Siedzi w ubraniu na fotelu, pociąga ze szklanki i przygląda się, a czasami zamyka oczy i przez dłuższy czas nie patrzy. Niekiedy znów diabeł w niego wstępuje, każe ludziom robić to w rozmaitych figurach, a sam podchodzi do tej, to z drugiej strony, zagłada im między nogi. Tamten facet powiedział mi, że kiedyś przyprowadził Ronowi piękną długonogą call-girl, taką drogą kurwę dla bogatych, i Ron poszedł z nią do sypialni, rozebrał się, ale nie mógł się odważyć dotknąć tej dziewczyny. Płakał, trząsał się, jego cock cały czas był limp, leżał. Wreszcie dał jej duzo forsy, ukłaki przy niej i zaczął się modlić. On bardzo mocno wierzy w Boga, wiesz? Miał wyrzuty sumienia, że popełnia grzech. Nie chciał mnie zdradzić. Zdradzić żonę to grzech, no nie? — zaśmiała się gardłowo z dymem papierosa.

— Ale zdradzić takiego męża to na pewno nie grzech — powiedział Duch, wsuwając palce pod jej wilgotne futro.

— Pewnie — przyznała. — Ale on nie jest impotent, bo czasami skacze na mnie. Tylko ma coś splecione w głowie. Nie mam pojęcia, jak go wyprostować.

— A chciałabyś?

— Pewnie. Gdyby był taki, jak ty, moglibyśmy to zrobić razem z innymi ludźmi, wszyscy by się cieszyli. Najgorzej to tłumię w sobie utajone marzenia...

— Po co za niego wyszłaś? Zawsze był taki?

— A skąd! Znam go, od kiedy miałam osiemnaście... A on dwadzieścia dwa. Ostry był chłopaki Dlatego z nim byłam.

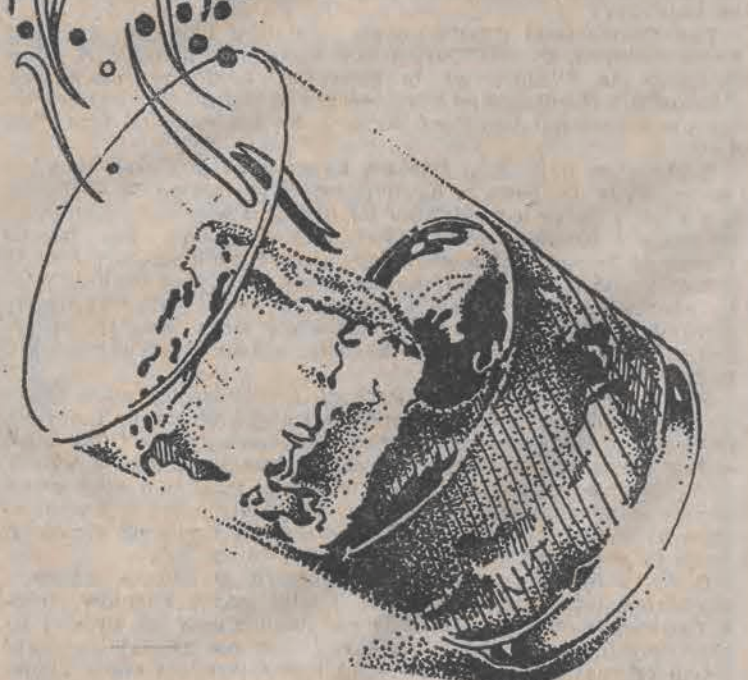
— Poznałście się tutaj?

— Nie. W Polsce.

— Opowiedz mi o tym.

— Nie teraz — zamruczała się.

Ale opowiem ci, przysięgam.



Krys. Dariusz romanowicz

wyjął ze zdumienia: dwa tysiące tygodniowo! Ludzie pracowali ciężko za stówkę. Wspaniałe życie czekało Ewę wyzwoleną — a jednak wiedział, że nie mógłby z nią żyć. Zdradzenie Rona, robienie go w konia — to miało urok, te spotkania tajemne w luksusowych hotelach: Inn on the Park, Westbury, Royal Hotel... Bomba. Ale żyć z tą prostytutką? Patrzeć każdego ranka na jej chłopską głowę, słuchać tego okropnego głosu?

I twarz, i głos były dobre w istniejącej konfiguracji. Tak należało to trzymać. Eva jednak nastawała coraz mocniej. Miała ogromną ilość biżuterii. Chciała to sprzedać, mogłoby za to żyć do śmierci w Meksyku albo w Brazylii. Zaczęła na serio planować ucieczkę.

Pewnego dnia Duch poprosił ją, żeby mu opowiedziała coś o jej życiu z Mannixem. Sądził, że o powie mu wszystko od początku, jak się poznali, jak sprawa się rozwijała. Ale Ewie wszystko rozjażyło się z seksem. Zapytana o życie z mężem zrozumiała to jednoznacznie.

— Powieź mi, w jaki sposób zrobił taką wielką forsy?

— Nie wiem wszystkiego. Jak przysięgniesz mi, że polećmy razem do Meksyku, to ci powiem, co wiem.

Duch nie zastanowił się wcale nad propozycją. Odpowiedział samą z niego wyszła, wbrew rozsądkowi, wbrew woli.

— Przysięgam. Lecimy razem. Kiedy tylko chcesz.

— I love you — powiedziała.

— Będziemy razem bardzo szczęśliwi. Nie nie będziesz musiał robić, tylko mnie kochać i pisać swoje wiersze. Ja też kiedyś pisałam do rymu, wiesz? Ale tylko wtedy, kiedy byłam smutna.

C.D.N.